





# ZŁODZIEJ

MEGAN WHALEN TURNER



**ArsMACHINA**   
NAKRĘCAMY WYOBRAŹNIĘ

Lublin 2012



Dla Sandy Passarelli



# Rozdział pierwszy

Nie mam pojęcia, ile czasu spędziłem już w królewskim więzieniu. Dnie wydawały się takie same, tyle tylko, że z każdym kolejnym byłem coraz bardziej brudny. Co rano rozedrgany, pomarańczowy blask latarni umocowanej tuż za drzwiami mojej celi zamieniał się w przyćmione, ale jednolite światło słońca, padające na główny dziedziniec. Wieczorami, gdy znów stawało się ciemniej, pocieszałem się, że jeden dzień mniej dzieli mnie od wyjścia na wolność. Dla zabicia czasu, skupiałem się na miłych wspomnieniach, układając je w kolejności chronologicznej i przyglądając im się szczegółowo. W nieskończoność analizowałem plany, które wydawały się takie proste zanim trafiłem do więzienia i przysięgałem sobie, a także każdemu bogu, którego znałem, że jeśli tylko uda mi się wyjść stąd cało, już nigdy, ale to nigdy nie zrobię więcej czegoś tak idiotycznie ryzykownego.

Schudłem od kiedy mnie aresztowano. Opasująca moją talię duża, żelazna obręcz zrobiła się luźna, jednak jeszcze nie na tyle, bym dał radę przecisnąć przez nią kości biodrowe. Niewielu więźniów pozostawało skutych wewnątrz swych cel, jedynie ci, których król szczególnie nie znosił: hrabiowie, książęta czy kanclerz skarbu, po tym, jak poinformował władcę, że nie ma więcej funduszy na wydatki. Nie byłem wprawdzie żadnym z nich, ale wydaje mi się, że można spokojnie założyć, że i mnie król nie znosił. Choć nie pamiętał mojego imienia i choć byłem pospolity jak kurz na drodze, to i tak nie chciał, abym wymknął mu się z rąk. Oprócz żelaznego pasa w talii, miałem jeszcze łańcuchy na kostkach i kompletnie bezużyteczne okowy na nadgarstkach. Na początku zsuwałem kajdany z dłoni, ale ponieważ czasami zmuszony byłem zakładać je z powrotem w pośpiechu, poobcierałem sobie przeguby do żywego mięsa. Po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że oszczędzę sobie bólu zostawiając je w spokoju. By

oderwać się od snów na jawie, postanowiłem zacząć ćwiczyć bezgłośnie poruszanie się po celi.

Łańcuch pozwalał mi na spacer po łuku od przedniego narożnika celi, przez jej środek, do kąta w głębi. Tam właśnie znajdowało się moje łóżko – kamienna półka przykryta workiem trocin. Pod nim stał nocnik. Poza mną, łańcuchem i dwa razy dziennie jedzeniem, w celi nie było niczego więcej.

Drzwi stanowiła zakratowana furta. Zaglądali przez nią patrolujący korytarze strażnicy, co dobrze świadczyło o mojej reputacji. W ramach dążenia do wielkości, bezwstydnie przechwalałem się swoimi umiejętnościami w każdej winiarni w mieście. Chciałem, żeby wszyscy wiedzieli, że jestem najlepszym złodziejem od czasów stworzenia śmiertelników i chyba udało mi się zbliżyć do osiągnięcia tego celu. Mój proces przyciągnął tłumy. Po aresztowaniu większość strażników przychodziła, aby mnie zobaczyć, a ja wciąż tkwiłem przykuty do łóżka, podczas gdy innym więźniom pozwalano czasem zażyć nieco wolności i słońca na więziennym dziedzińcu.

Zwłaszcza jeden z dozorców zastawał mnie zawsze akurat wtedy, gdy siedziałem z twarzą ukrytą w dłoniach.

– A cóż to? – śmiał się. – Jeszcze stąd nie uciekłeś?

Za każdym razem, gdy to robił, obrzucałem go obelgami. Nie było to zbyt rozsądne z mojej strony, ale jak zwykle nie umiałem utrzymać języka za zębami. Czegokolwiek bym jednak nie powiedział, mężczyzna tylko bardziej zanosił się śmiechem.

Wciąż towarzyszyło mi przejmujące zimno. Była wczesna wiosna, gdy mnie aresztowano i wywleczono siłą z Winiarni Pod Cienistym Dębem. Do tej pory, poza ścianami więzienia, miasto musiały już dotknąć letnie upały, zmuszając mieszkańców do popołudniowych drzemek. Jednak do cel nie docierały promienie słońca, więc wewnątrz było tak samo wilgotno i zimno,

jak wtedy, gdy tu trafiłem. Godzinami marzyłem o jego cieple i wyobrażałem sobie, jak przenika miejskie mury, nagrzewając ich żółte kamienie, o które przyjemnie było oprzeć się jeszcze wiele godzin po zmroku, jak wysusza kałuże wody,

a w nielicznych przypadkach także i wino, wylewane w ofierze bogom na ulice przed winiarniami.

Czasami oddalałem się na tyle, na ile pozwalały mi łańcuchy i spoglądałem przez kraty w furcie na drugą stronę szerokiej galerii, kryjącej w cieniu cele i na dziedziniec skąpany w świetle słońca. Więzienie miało dwa piętra, zaś cele umieszczono jedna nad drugą. Mnie ulokowano na wyższym poziomie. Każde z pomieszczeń wychodziło na galerię, tę zaś od dziedzińca dzieliły kamienne słupy. Nie było natomiast żadnych okien w zewnętrznych murach, grubych na trzy czy cztery stopy i zbudowanych z tak potężnych kamieni, że nawet dziesięciu mężczyzn nie byłoby w stanie ruszyć ich z miejsca. Jak głosiła legenda, dawni bogowie poustawiali je w jeden dzień.

Więzienie widać było z niemal każdego punktu w mieście, jako że miasto zbudowano na wzgórzu, zaś więzienie – na samym jego szczycie. Jediną inną budowlą znajdującą się w tym miejscu był królewski dom – megaron. Kiedyś stała tu jeszcze świątynia ku czci dawnych bogów, ale zniszczono ją, a bazylikę poświęconą nowym bogom wzniesiono nieco niżej. Kiedyś królewski dom był prawdziwym megaronem, pojedynczym pomieszczeniem z tronem i paleniskiem, zaś w budynku więzienia znajdowała się agora, gdzie spotykali się mieszkańcy, a kupcy sprzedawali swój towar. Cele były kramami pełnymi ubrań, wina, świec czy biżuterii importowanej z wysp. Co wybitniejsi obywatele stawali na kamiennych blokach i wygłaszali przemowy.

A potem, w swych długich łodziach, przybyli najeźdźcy, zupełnie inaczej podchodzący do kwestii handlu. Wymiany dóbr dokonywali pod gołym

niebem, na targowiskach przy swych statkach. Królewski megaron stał się siedzibą ich gubernatora, a solidny, kamienny budynek agory zmieniono w więzienie. Co wybitniejsi obywatele skończyli przykuci do kamiennych bloków, zamiast na nich stać.

Starych najeźdźców wyparli nowi, aż wreszcie Sounis się zbuntowało i przywróciło na tron własnego króla. Mimo to wciąż prowadzono handel na nabrzeżu. Ludzie po prostu przyzwyczaili się do tego. Nowy władca postanowił nadal używać dawnej agory w charakterze więzienia. Tak było mu na rękę, tym bardziej, że nic nie łączyło go z rodami, które rządziły miastem w przeszłości. Nim sam skończyłem za kratkami, większość mieszkańców już dawno zapomniała, że budynek więzienia spełniał kiedyś inną funkcję poza przetrzymywaniem tych, którzy nie płacili podatków oraz przestępców.

Leżałem w swojej celi na plecach, z nogami w górze, owinięty w łańcuch prowadzący od mojej talii do pierścienia umocowanego wysoko na ścianie. Było późno, słońce zaszło już wiele godzin temu, a więzienie oświetlały płonące kaganki. Porównywałem zalety posiadania czystych ubrań względem dobrego jedzenia i nie zwracałem najmniejszej uwagi na odgłosy kroków dobiegające zza drzwi mojej celi. Po wąskiej stronie budynku znajdowały się żelazne wrota, prowadzące do pokoju strażników. Dozorcy przechodzili przez nie kilka razy dziennie. Dawno przestałem zwracać uwagę na szcęk tych drzwi, byłem więc kompletnie zaskoczony, kiedy do wnętrza mojej celi wlała się skupiona dzięki soczewce wiązka światła. Chciałem wyplątać nogi z łańcucha i usiąść na pryczy w taki sposób, by wydać się gibkim, pełnym gracji i może odrobinę dzikim. Jednak wzięty z zaskoczenia i niemalże oślepiony, okazałem się niezdarny i niewiele brakowało, a spadłbym z kamiennej półki, gdyby nie powstrzymał mnie łańcuch wciąż owinięty wokół jednej stopy.

– To ten?

Nic dziwnego, że w głosie tym pobrzmiwało zdumienie. Wyprostowałem się i zamrugałem oczami, wciąż nie widząc zbyt wiele za snopem światła. Strażnik zapewnił tajemniczego przybysza, że rzeczywiście jestem tym, kogo szuka.

– No dobrze. Wyciągnijcie go stąd.

– Jak każesz, magu – odpowiedział strażnik, otwierając zakratowaną furkę, dzięki czemu dowiedziałem się, kto pojawił się przed moją celą tak późną nocą. Jeden z najpotężniejszych doradców króla. W czasach poprzedzających przybycie najeźdźców, uważano królewskiego maga za czarodzieja, teraz jednak nie wierzyli w to już nawet najbardziej przesądni obywatele. Mag był uczonym. Czytywał zwoje i księgi we wszystkich językach oraz studiował wszystko to, co zostało spisane, a także to, co nigdy nie zostało. Jeśli król potrzebował informacji, ile zboża rosło na konkretnym akrze ziemi, mag mógł mu to powiedzieć. Gdy zaś chciał wiedzieć, ilu rolników będzie głodowało, jeśli spali ten akr ziemi, mag wiedział i to. Mądrość tego człowieka w połączeniu z darem przekonywania pozwalała mu wpływać na władcę i czyniła z niego ważną personę na królewskim dworze. Mag był obecny w trakcie mojego procesu. Widziałem, jak siedział na galerii za plecami sędziów z nogą założoną na nogę i skrzyżowanymi na piersi ramionami.

Kiedy udało mi się wreszcie wyplątać z łańcuchów, strażnicy rozpięli pierścienie na mych stopach, używając do tego klucza tak grubego, jak mój kciuk. Pozostawili wprawdzie kajdany skuwające moje dłonie, ale odłączyli łańcuch łączący je z obręczą opasującą moją talię. Potem siłą postawili mnie na nogi i wywlekli z celi. Mag zmierzył mnie wzrokiem i zmarszczył nos, zapewne z powodu zapachu.

Chciał wiedzieć, jak mam na imię.



– Gen – powiedziałem. Poza tym nie interesowało go nic więcej.

– Prowadźcie go za mną – rzucił, odwracając się do mnie plecami i odchodząc. Niestety, wyglądało na to, że moje odruchy dotyczące równowagi i poruszania się pozostawały w całkowitej sprzeczności z zamierzeniami dozorców, tak więc przemierzałem portyk z gracją chorego kota, na zmianę to szarpany, to popychany. Przeszliśmy przez pomieszczenie strażników i skierowaliśmy się w stronę drzwi w zewnętrznej ścianie budynku, prowadzących na kamienne schody i dziedziniec, dzielący więzienie od południowego skrzydła królewskiego megaronu. Mury megaronu wznosiły się na cztery piętra nad naszymi głowami, otaczając nas z trzech stron. Pod rządami najeźdźców, maleńka twierdza zamieniła się w pałac, a w późniejszych czasach jeszcze bardziej urosła. Przeszliśmy przez dziedziniec podążając za strażnikiem z latarnią i znaleźliśmy się na schodach, wznoszących się ku drzwiom w murze megaronu.

Po drugiej stronie białe ściany korytarza odbijały światło całego mnóstwa latarni, potęgując je tak, że w środku było jasno niczym za dnia. Rzuciłem głową na boki i wyszarpnąłem jedną rękę z uścisku strażnika, by zakryć oczy. Blask wydał mi się czymś niemalże materialnym, atakującym moją głowę niczym groty włóczni. Obaj dozorczy stanęli w miejscu. Jeden z nich próbował pochwycić moje ramię, ale znów mu je wyrwałem. Mag także zatrzymał się, kiedy jego uwagę zwróciły nagłe hałasy.

– Dajcie mu chwilę, żeby jego oczy zdążyły się przyzwyczaić – powiedział.

Wprawdzie potrzebowałbym na to znacznie więcej czasu, ale i po tej minucie poczułem się lepiej. Mruganiem udało mi się pozbyć części łez i ruszyliśmy dalej. Szedłem ze spuszczoną głową i przymkniętymi oczami, więc niewiele widziałem z mijanych korytarzy. Miały marmurowe podłogi. Listwy przyścienne zdobiły malunki lilii, żółwi albo odpoczywających

ptaków. Znaleźliśmy się na klatce schodowej, gdzie sfora myśliwskich psów goniła lwa, weszliśmy na górę, skręciliśmy za róg i zatrzymaliśmy się przed drzwiami.

Mag zapukał, po czym zniknął we wnętrzu pomieszczenia. Z niejakim trudem, strażnikom udało się podążyć wraz ze mną jego śladem przez wąskie przejście. Rozglądałem się na wszystkie strony, by zobaczyć, kto też mógł być świadkiem mojego niezdarnego wejścia, ale pokój wydawał się zupełnie pusty.

Czułem ekscytację. Krew burzyła mi się w żyłach niczym wino chlupoczące w dzbanie, byłem jednak straszliwie zmęczony. Wchodzenie po schodach przypominało wspinaczkę na szczyt góry. Kolana uginały się pode mną, cieszyłem się więc, że podtrzymywali mnie strażnicy, nawet jeśli nie byli zbyt delikatni. Kiedy mnie puścili, straciłem równowagę i musiałem solidnie namłócić się rękami, żeby nie upaść. Moje łańcuchy zagrzechotały wściekle.

– Możecie odejść – powiedział mag do mych dozorców. – Wróćcie po niego za pół godziny.

Za pół godziny? Nadzieja, która zdążyła już we mnie urosnąć, podupadła nieco. Gdy strażnicy wyszli, rozejrzałem się po pomieszczeniu. Było niewielkie i mieściło w sobie biurko oraz kilka porozstawianych w różnych miejscach wygodnych krzeseł. Mag stanął przy blacie. Okno za jego plecami powinno wychodzić na większy dziedziniec megaronu, ale maleńkie szybki odbijały jedynie blask lamp płonących wewnątrz. Spojrzałem znów na krzesła. Wybrałem sobie najładniejsze i usiadłem. Mag zeszywniał. Jego zmarszczone brwi utworzyły jedną linię, przecinającą w poprzek górną część jego twarzy. Wciąż były ciemne, choć większość jego włosów okryła się już siwizną.

– Wstawaj – rozkazał.

Zatopiłem się jeszcze głębiej w wypełnionych pierzem poduszkach na siedzeniu i oparciu krzesła. Uczucie było niemal tak przyjemne, co posiadanie czystego odzienia. Nie mogłbym zmusić się do wstania, choćbym próbował. Moje kolana wciąż były za słabe, a żołądek rozważał pozbycie się tych niewielkich ilości pożywienia, które ostatnio zjadłem. Górna krawędź mebla znalazła się tuż za moimi uszami, więc oparłem na niej głowę i spojrzałem na maga, który nie ruszył się z miejsca. Widziałem go tuż nad koniuszkiem nosa.

Mężczyzna dał mi chwilę, bym przemyślał swoje położenie, po czym podszedł do krzesła, na którym siedziałem. Pochylił się nade mną, aż czubek jego nosa znalazł się w odległości zaledwie kilku cali od mojego. Wcześniej nie miałem okazji oglądać jego twarzy z tak bliska. Mag miał garbaty nos, podobnie jak większość mieszkańców miasta, ale jego oczy były jasno szare, a nie brązowe. Jego czoło pokrywała siateczka zmarszczek spowodowanych zbyt częstym przebywaniem na silnym słońcu i marszczeniem brwi. Przyszło mi do głowy, że zanim zaczął czytywać księgi, musiał wykonywać jakieś prace na zewnątrz, ale właśnie w tym momencie mężczyzna przemówił. Przestałem rozmyślać o jego twarzy i spojrzałem mu w oczy.

– Być może pewnego dnia nasze relacje będą opierać się na wzajemnym szacunku – powiedział cicho.

*Prędzej zobaczę bogów stąpających po ziemi, pomyślałem.*

– Na razie jednak wystarczy mi twoje posłuszeństwo – dokończył.

Posiadał niezwykłą zdolność zawarcia ogromu grózb w zaledwie kilku słowach. Przełknąłem ślinę, a moje ręce oparte na podłokietnikach zadrżały lekko. Ogniwa łańcucha zadzwoniły o siebie, ale wciąż nie próbowałem wstać. Nie utrzymałbym się na nogach. Mag musiał zdawać sobie z tego sprawę, wiedział też, że wyraził się dostatecznie jasno, ponieważ cofnął się, oparł o biurko i machnął ręką z obrzydzeniem.

– To nieistotne. Na razie możesz zostać tam, gdzie jesteś. Krzesło i tak trzeba będzie wyczyścić.

Poczułem, że moje policzki płoną. To nie była moja wina, że tak śmierdziałem. Powinien sam spędzić kilka miesięcy w królewskim więzieniu, a wtedy zobaczylibyśmy, czy nadal pachniałby starymi księgami i perfumowanym mydłem. Przyglądał mi się przez kilka chwil, ale nie wyglądało na to, bym zrobił na nim wrażenie.

– Widziałem cię w trakcie procesu – odezwał się wreszcie.

Nie odpowiedziałem, że również go tam zauważyłem.

– Schudłeś.

Wzruszyłem ramionami.

– Powiedz mi – zaczął – czyżby ciężko było ci pożegnać się z naszą gościnnością? W czasie procesu oznajmiłeś, że nie zatrzymają cię nawet mury królewskiego więzienia, spodziewałem się więc, że już cię tam nie znajdę. – Wyglądało na to, że dobrze się bawił.

Skrzyżowałem nogi i osunąłem się jeszcze niżej na krześle. Mężczyzna wzdrygnął się.

– Na pewne rzeczy trzeba trochę czasu – odparłem.

– Jakież to prawdziwe – skwitował mag. – A jak myślisz, ile tobie będzie go trzeba?

Kolejne pół godziny – pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos.

– Bo ja myślę, że całkiem sporo. Myślę, że może ci to zająć resztę życia. Ostatecznie po śmierci nie będziesz już dłużej w królewskim więzieniu, prawda? – zażartował.

– Pewnie nie. – Moim zdaniem wcale nie był zabawny.

– W czasie procesu mówiłeś wiele różnych rzeczy. Jak sądzę, były to jedynie puste przechwałki.

– Potrafię wykraść wszystko.

– Tak przynajmniej twierdziłeś. W każdym razie ten zakład, czy co to tam było, zapewnił ci pobyt za kratkami. – Podniósł z biurka stalówkę od pióra i przez chwilę obracał ją w dłoniach. – Źle dla ciebie, że inteligencja nie zawsze idzie w parze z darami takimi, jak twój, ale dobrze dla mnie, że nie interesuje mnie twoja inteligencja, a umiejętności. O ile rzeczywiście jesteś tak dobry, za jakiego się uważasz.

– Potrafię wykraść wszystko – powtórzyłem.

– Za wyjątkiem wykradnięcia siebie z królewskiego więzienia? – zapytał mag, unosząc tym razem tylko jedną brew.

Wzruszyłem ramionami. Mogłem zrobić i to, ale zajęłoby to trochę czasu. W zasadzie to całkiem dużo czasu, wołałem więc, by zaoferował mi szybsze rozwiązanie.

– Cóż, przynajmniej nauczyłeś się trzymać język za zębami – rzucił mężczyzna. Oderwał się od biurka i zaczął chodzić po pokoju. Gdy odwrócił się do mnie plecami, odgarnąłem włosy z oczu i raz jeszcze rozejrzałem się pospiesznie po pomieszczeniu. Służyło magowi za pracownię, ale tyle już wiedziałem. Na półkach piętrzyły się stosy ksiąg i starych zwojów. Była tam też podniszczona ława zastawiona amforami i innymi glinianymi naczyniami. Nie zabrakło też szklanych butelek. Na końcu pokoju znajdowała się wnęka przesłonięta kotarą, spod której wystawała ledwie widoczna para stóp w skórzanych butach. Odwróciłem się z powrotem na krzesło, ale coś jakby ścisnęło mi żołądek.

– Możesz skrócić ten czas, nie skracając przy tym swojego życia – powiedział mag.

Podniosłem na niego wzrok. Kompletnie straciłem wątek. W ciągu kilku chwil potrzebnych, bym ponownie go odzyskał, zdałem sobie sprawę, że królewski doradca również zaczął zdradzać oznaki zdenerwowania. Rozluźniłem się nieco i osunąłem niżej na krzesło.

– Mów dalej.

– Chcę, żebyś coś ukradł.

Uśmiechnąłem się.

– Potrzebujesz królewskiej pieczęci? Mogę ją dla ciebie zdobyć.

– Na twoim miejscu – upomniał mnie mag – przestałbym się tym przechwalać. – Jego głos zabrzmiał szorstko.

Mój uśmiech zrobił się jeszcze szerszy. Złoty pierścień z grawerowanym rubinem znajdował się akurat pod jego opieką, kiedy go ukradłem. Byłem pewien, że utrata tej błyskotki zaszkodziła jego pozycji na dworze. Mężczyzna spojrzał przelotnie ponad moim ramieniem na przesłoniętą wnękę, po czym przeszedł do sedna sprawy.

– Jest pewna rzecz, którą miałbyś ukraść. Jeśli to dla mnie zrobisz dopilnuję, żebyś nie wrócił już do więzienia. Jeśli tego nie zrobisz, również dopilnuję, żebyś już tam nie wrócił.

Osadzeni w więzieniu cały czas opuszczali jego budynek. Kamieniarze, cieśle, kowale, wszyscy wykwalifikowani rzemieślnicy mogli oczekiwać, że odpracują swój wyrok w służbie dla króla. Niewykwalifikowanych robotników kilka razy do roku odsyłano do kopalni srebra na południu od miasta. Mało kto stamtąd wracał. Natomiast pozostali więźniowie po prostu znikali.

Było jasne, którą z tych możliwości miał na myśli mag. Kiwnąłem głową.

– Co mam ukraść? – Tylko to mnie interesowało.

On jednak zlekceważył moje pytanie.

– Szczegółów dowiesz się w późniejszym czasie. Póki co muszę wiedzieć, czy dasz sobie z tym radę.

Czyli czy pobyt w więzieniu nie zaowocował jakąś chorobą, kalectwem, czy też zagłodzeniem do stanu bezużyteczności.

– Dam, ale muszę wiedzieć, co mam ukraść.

– Dowiesz się. Na razie to nie twoja sprawa.  
– A co jeśli mi się nie uda?  
– Myślałem, że potrafisz wykraść wszystko – zadrwił.  
– Z wyjątkiem wykradnięcia siebie z królewskiego więzienia – przyznałem.

– Nie udawaj takiego sprytnego. – Mag pokręcił głową. – Kiepsko ci to wychodzi. – Otworzyłem usta, by powiedzieć coś, czego nie powinienem, ale mężczyzna nie dał mi dojść do słowa. – Dotarcie do miejsca, gdzie znajduje się przedmiot, na którym mi zależy, zajmie nam trochę czasu. Wszystkiego dowiesz się po drodze.

Poprawiłem się na krześle, uspokojony i uradowany. Jeśli uda mi się wydostać z Sounis, nikt nie będzie w stanie sprowadzić mnie tu z powrotem. Mag musiał jednak zdawać sobie sprawę z tego, co chodziło mi po głowie, bo znów nachylił się blisko.

– Nie bierz mnie za głupca.

Nie był głupcem, to prawda. Brakowało mu jednak mojej motywacji. Mężczyzna oparł się znów o biurko, ja zaś odchyliłem się na krześle z myślą, że oto bogowie wysłuchali wreszcie mych modłów. I wtedy zza pleców dobiegł mnie odgłos kółek u górnej krawędzi kotary przesuwających się po karniszu i przypomniałem sobie dwie stopy wystające z głębi niszy. Żołądek, który dopiero co zdążył się uspokoić, znów podszedł mi do gardła.

Rozległo się tupanie butów, a czyjaś ręka sięgnęła ponad oparciem krzesła i chwyciła mnie za włosy. Jej właściciel uniósł mnie do góry i obszedł mebel, by stanąć ze mną twarzą w twarz.

– Mnie również nie bierz za głupca – powiedział.

Był niski, zupełnie jak jego ojciec, i krępy. Jego włosy w kolorze ciemnego złota, skręcały się w loki wokół uszu. Każdemu innemu nadałoby to zniewieściałego wyglądu. Jego matka musiała uważać go za urocze

dziecko, jednak teraz nie było w mężczyźnie niczego uroczego. Włosy zaczęły odrywać mi się od czaszki, stanąłem więc na czubkach palców, by nieco je odciążyć. Położyłem obie ręce na jego dłoni próbując ściągnąć ją w dół i nagle zawisłem w powietrzu.

Mężczyzna upuścił mnie na ziemię. Nogi ugięły mi się pod ciężarem reszty ciała, więc zwałem się na podłogę z łoskotem, który aż wstrząsnął mną całym. Potarłem rękami głowę, starając się na powrót przykleić do niej wyszarpane włosy. Kiedy podniosłem wzrok, król wycierał dłoń o szatę.

– Wstawaj – rzucił.

Posłuchałem go, ale nie przestałem masować sobie czaszki.

Król Sounis nie był wytwornym człowiekiem. Nie był też imponującym mężczyzną o rozmiarach niedźwiedzia, tak jak władcy z baśni opowiadanych mi przez matkę. Był na to za niski i zbyt obleśny, a do tego odrobinę za gruby, by odbierano go jako eleganckiego. Nie brakowało mu jednak sprytu. Systematycznie podwajał podatki i miał na podorędziu liczną armię, by nie dopuścić do buntu poddanych. Podatki szły na utrzymanie wojska, a gdy i ono zaczęło stanowić zagrożenie, posłał je do walki z sąsiadami. Zwycięstwa zasiliły królewski skarbiec. Sounis stało się większe niż kiedykolwiek od czasu, gdy najeźdźcy zaczęli nagradzać swoich sojuszników przez nadawanie im włości. Król wyparł Attolijczyków z ziem leżących po sounijskiej stronie Gór Hefestiańskich, zmuszając ich do podróży przez wąską przełęcz i tereny należące do Eddis, ku swej odległej ojczyźnie. Krążyły plotki, że władca planował zajęcie i tego obszaru oraz że Attolia szykowała się do wojny.

Nie zwracając uwagi na maga, Sounis podszedł do ławy stojącej pod ścianą obok mojego krzesła. Wziął z niej niewielką szkatułkę i zaniósł ją do biurka, by tam odwrócić do góry dnem. Ciężkie, złote monety posypały się kaskadą na blat. Jedna taka wystarczyłaby do wykupienia gospodarstwa wraz z całym jego inwentarzem. Kilka spadło ze stołu i z brzękiem wylądowało na



podłodze. Jedna potoczyła się ku moim stopom i teraz leżała, łypiąc na mnie niczym żółte oko.

Już miałem pochylić się, by ją podnieść, ale powstrzymałem się i zamiast tego powiedziałem:

– Mój wuj trzymał taki stos pod łóżkiem i co noc sprawdzał jego liczebność.

– Łżesz – skwitował król. – Nigdy w życiu nie widziałeś tyle złota.

Nie wiedział, że pewnej nocy nadużyłem nieco jego gościnności, przemierzając korytarze megaronu i przeczołgałem się przez przestrzeń, gdzie biegły rury hypocaustum, by ukryć się w skarbcu. Przespałem cały dzień w dusznej ciemności na zboczach gór kufrów z kosztownościami.

Sounis poklepał pustą skrzynkę leżącą przed nim na boku.

– To jest złoto, które mam zamiar zaoferować każdemu, z tego czy innego kraju, za sprowadzenie cię do mnie – postawił szkatułkę prosto i zatrzasnął wieko.

Poczułem, jak mój żołądek zaciska się w węzeł. Ciężko przebić taką nagrodę. Będę ścigany od jednego krańca świata po drugi.

– Oczywiście zażyczę sobie dostać cię żywcem – dodał, po czym przeszedł do dokładnego opisywania wszystkich paskudnych rzeczy, które spotkają mnie, jeśli zostanę pojmany. Próbowałem wyłączyć się po kilku pierwszych przykładach, ale on nie milkł, a ja słuchałem jak zahipnotyzowany, nieruchomiejąc niczym ptak przed węzem. Mag stał z rękami założonymi na piersi i również bacznie nadstawiał ucha. Nie wyglądał już na zdenerwowanego. Sprawiał raczej wrażenie usatysfakcjonowanego, że król zaakceptował jego plany i że jego groźby zmotywują mnie do pracy. Z moim żołądkiem było coraz gorzej.

Moja cela, gdy ponownie mnie do niej odeskortowano, wydała mi się ciepła i bezpieczna w porównaniu z pracownią maga. Gdy strażnicy odeszli,

położyłem się na kamiennej półce i bezceremonialnie wyrzuciłem z głowy króla i jego groźby. I tak były zbyt nieprzyjemne, bym miał zaprzętać sobie nimi myśli. Skupiłem się za to na wizji opuszczenia więzienia. Ułożyłem się na tyle wygodnie, na ile to było możliwe i poszedłem spać.

## Rozdział drugi

Późnym rankiem przyszło po mnie dwóch strażników, co ponownie mnie zaskoczyło. Spodziewałem się, że przygotowania do podróży, o której wspominał mag zajmą trochę czasu. Ewidentnie zgodę króla zyskał dopiero poprzedniej nocy. Moje nadzieje, na przemian to budzące się, to rozwiewające, znów gdzieś się ulotniły, gdy uświadomiłem sobie, że nikt przecież nie wyjawiał, jak długą drogę trzeba będzie pokonać. Może chodziło o zaledwie kilka mil. Jednak rozchmurzyłem się nieco, gdy tylko uwolniono mnie od łańcucha.

Tym razem zdjęto mi nie tylko kajdany ze stóp, ale i z dłoni, a także obręcz z talii. Gdy mijaliśmy rzędy cel, idąc galerią ku pokojowi strażników, nie towarzyszył nam już szczepek metalu. Słyszało się jedynie odgłosy ciężkich kroków – dozorców, nie moich – i skrzypienie skórzanych kurt, które nosili pod napierśnikami ze stali. Przeszliśmy przez pomieszczenie i stanęliśmy przed drzwiami prowadzącymi na dziedziniec między więzieniem a megaronem. Kiedy je otworzono, natychmiast zrozumiałem, że światło lamp zeszłej nocy było niczym w porównaniu z blaskiem słońca.

Zbliżało się południe i promienie padały bezpośrednio na plac. Jasność potęgowały bladożółte kamienie murów, otaczających przestrzeń ze wszystkich stron. Zawyłem i wyrzuciłem z siebie wiązaną przekleństw, zasłaniając przy tym głowę rękami i kuląc się z bólu. Większych katuszy nie mógłbym cierpieć chyba nawet płonąc na stosie.

Zabawne, że choć od czasu przybycia najeźdźców czczono w Sounis nowych bogów, to kiedy mieszkańcy potrzebowali naprawdę soczystego przekleństwa, zwracali się do tych dawnych. Wytarłem sobie gębę imieniem chyba każdego z nich, jednym po drugim, przywołując przy tym wszystkie obelgi, jakie kiedykolwiek dane mi było usłyszeć w niższej dzielnicy.

– A niech to bogowie przeklną – zawodziłem całkowicie oślepony, gdy strażnicy sprowadzali mnie po schodach. Wciąż zasłaniałem rękami oczy, trzymali mnie więc mocno za łokcie. Moje stopy prawie nie dotykały kamiennych stopni.

Na dole czekał już mag. Kazał mi wziąć się w garść.

– I niech przeklną i ciebie – wycedziłem przez palce. Jeden z dozorców mocno mną potrząsnął i przez chwilę zamierzałem obrzucić obelgami i jego, ale postanowiłem skoncentrować się na bólu w oczach. Co prawda słabł bardzo powoli, ale po kilku minutach, kiedy odsunąłem nieco ręce od twarzy i skierowałem wzrok w dół, byłem już w stanie dostrzec przez łyzy zarysy kamieni brukowych. Pociągnąłem nosem i potarłem powieki. Jak tylko dałem radę się na to zdobyć, oddaliłem dłonie jeszcze bardziej, by móc rozejrzeć się po dziedzińcu. Miałem na to mnóstwo czasu.

Wokół panował straszny hałas, jako że konie tłukły kopytami o bruk, a mag wrzeszczał na ludzi. Nieopodal ktoś wypakowywał zawartość sakw, wysypując ją pod nogi nerwowego wierzchowca. Zwierzę tańczyło, usuwając się na boki przed coraz większym bałaganem, aż w końcu zostało odprowadzone nieco dalej przez stajennego, który pochwycił je za uzdę. Najwyraźniej w torbach podróżnych brakowało czegoś, co powinno tam być. Klnąc jeszcze bardziej, mag odesłał rozpakowującego z powrotem do zamku, by przyniósł stamtąd zapomnianą rzecz.

– Leży na ławie obok retorty – zawołał za znikającą w oddali sylwetką. – A przynajmniej tam właśnie był, gdy kazałem ci go zapakować. Dureń – mruknął pod nosem.

Gdy dureń wrócił, zauważyłem, że niośł niewielki, kwadratowy futerał ze skóry, który wrzucił do jednej z sakw, a następnie zaczął wkładać do niej resztę usypanych w stosy przedmiotów. Hałas znacząco się zmniejszył, bo mag przestał wrzeszczeć, a konie wreszcie się uspokoiły.

Wciąż oglądałem świat przez łyży i na wpół przymknięte powieki. Policzyłem majaczące przede mną niewyraźne kształty. Wyglądało na to, że grupa nie będzie zbyt liczna – tylko pięć koni – ale każdy z nich miał przytroczony za siodłem pękaty bagaż. Szykuje się długa podróż. Wyszczrzyłem zęby z zadowoleniem. Stojący nieopodal mag spojrział w niebo i odezwał się, jakby nie zwracając się do nikogo konkretnego:

– Spodziewałem się, że wyruszymy o świcie. Pol! – zawołał. – Posadź chłopców na koniach. Ja zajmę się złodziejem.

Nie spodobało mi się, że mówił o mnie, jakbym był jeszcze jednym pakunkiem, jaki trzeba załadować do sakwy, czy też – w moim przypadku – na siodło. Podeszedł do jednego z wierzchowców, dając mi znak dłonią, bym do niego dołączył, ale nie ruszyłem się z miejsca. Nienawidzę koni. Znam ludzi, którzy uważają, że to szlachetne i piękne zwierzęta, ale niezależnie od tego, jak wyglądają z daleka, nie należy zapominać, że mogą tylko spojrzeć na ciebie, ale równie dobrze nadepnąć ci na stopę.

– Co? – udałem, że nie wiem o co mu chodzi.

– Wsiadaj na konia, idioto.

– Ja?

– Oczywiście, że ty, głupcze.

Nadal jednak nie ruszyłem się z miejsca i w końcu mag stracił cierpliwość. Podeszedł do mnie, chwycił mnie za kark i siłą zaciągnął w stronę mojego wierzchowca. Zaparłem się stopami i zaoponowałem. Jeśli już musiałem wsiąść na grzbiet zwierzęcia ośmiokrotnie przewyższającego mnie wielkością, to chciałem najpierw zaplanować sobie, jak to zrobić.

Mag był jednak o wiele silniejszy. Trzymając mnie za odzienie, potrząsnął mną raz czy dwa, aż zakręciło mi się w głowie. Usłyszałem trzask rozrywanej tkaniny. Mężczyzna uchwycił mnie jeszcze mocniej.

– Włóż lewą stopę w strzemień – powiedział. – Lewą.

Zrobiłem, co kazał, po czym dwóch stajennych zbliżyło się, by mnie podsadzić jeszcze zanim doszedłem do siebie. Gdy znalazłem się w siodle, potrząsnąłem głową, próbując pozbyć się włosów, które wpadły mi do oczu. Próbując założyć je za uszy, rozglądałem się jednocześnie naokoło. Przebywanie sześć stóp nad ziemią rzeczywiście daje poczucie wyższości. Wzruszyłem ramionami i skrzyżowałem ręce przed sobą, ale zwierzę gwałtownie odskoczyło na bok, przez co musiałem uchwycić się przedniego łąku. Nie odrywając od niego dłoni, czekałem, aż inni dosiądą swoich wierzchowców.

Gdy już wszyscy znaleźli się w siodłach, mag skierował swojego konia w stronę sklepionego przejścia w jednej ze ścian dziedzińca. Mój posłusznie podążył jego śladem, a pozostali ruszyli za mną. Przejeżdżaliśmy pod korytarzami i pomieszczeniami pałacowymi, w których byłem poprzedniej nocy, więc moje oczy miały chwilę wytchnienia, nim dotarliśmy do zewnętrznej bramy. Nie było fanfar ani wiwatujących tłumów życzących nam szczęśliwej podróży – i dobrze. Tylko jeden raz stałem się obiektem zainteresowania wrzeszczącej tłuszczy – w czasie własnego procesu – i wcale mi się to nie podobało.

Nie opuszczaliśmy dziedzińca przez główną bramę megaronu, więc wyjechaliśmy na wąską uliczkę, niewiele szerszą niż boki konia. Moje stopy ocierały się o bielone ściany po obu stronach. Przedzieraliśmy się przez labirynt jeszcze węższych uliczek, aż wreszcie dotarliśmy do Świętej Drogi, która to doprowadziła nas do bramy wyjazdowej ze starego miasta. Tworzyły ją kamienne bloki o szerokości większej od mojego wzrostu. Pewnie to jeszcze jedna budowla wzniesiona przez dawnych bogów. Bramę wieńczyło nadproże z litego kamienia z dwoma rzeźbionymi lwami, które wedle legendy miały zaryczeć, jeśli przechodzili pod nimi wrogowie króla. A przynajmniej mówiono, że były to lwy. Kamienne figury, przez wieki

poddawane niszczącej mocy żywiołów, były obecnie jedynie niemożliwymi do zidentyfikowania potworami, ustawionymi pyskami do siebie na niskim filarze. Pozwoliły nam przejechać, nie wydając z siebie żadnego dźwięku.

Trakt Królewski był szeroką i prostą arterią, która krzyżowała się jeszcze dwukrotnie z nieco bardziej krętą Świętą Drogą, po czym dochodziła do doków. Kiedy ją zbudowano, po obu stronach wznosiły się kamienne mury, mające na celu obronę trasy łączącej miasto z portem i zacumowanymi w nim statkami. Jednak w późniejszym okresie Długie Mury rozebrano, by dostarczyć materiałów do budowy nowych skrzydeł królewskiego megaronu, gdy ten rozrastał się z jednoizbowej twierdzy do czteropiętrowego pałacu.

Gdy tak posuwaliśmy się naprzód, stukot kopyt naszych wierzchowców zaczął mieszać się z innymi odgłosami miasta. Zbliżało się południe, znaleźliśmy się więc w samym środku ostatniej fali aktywności, zanim wszyscy pochowają się w domach, by przeczekać największy upał. Na drodze było kilka innych koni oraz całe mnóstwo osłów. Ludzie poruszali się pieszo albo w lektykach niesionych przez służących. Kupcy przywozili swe towary na wozach, po czym prowadzili objuczone nimi osły wąskimi alejkami ku tylnym wejściom domostw, próbując sprzedać warzywa kucharzom, płótna gospodyniom albo wino zarządcom. Wszyscy przepychali się, pokrzykiwali i ogólnie robili dużo hałasu, a ja chłonałem te wszystkie odgłosy po panującej w więzieniu nieustającej ciszy.

Lawirowaliśmy pośród wzmożonego ruchu ulicznego, ściągając ciekawskie spojrzenia. Moi towarzysze ubrani byli w solidne stroje podróżne, ja wciąż miałem na sobie to samo odzienie, w którym mnie aresztowano. Moja tunika, niegdyś w żywym odcieniu żółci, który uznałem za fantazyjny, kupując ją od sprzedawcy w niższej dzielnicy, wyblakła do oleistego beżu. Poza niewielkimi przetarciami na łokciach, miała też większe rozdarcie na ramionach, co zawdzięczałem poczynaniom maga. Ciekawiło mnie, w co

jego zdaniem miałbym się przyodziać, jeśli nadal zamierzał szarpać moje ubrania.

Przejechaliśmy przez skrzyżowanie z górnym odcinkiem Świętej Drogi, a potem drugie z dolnym, przy którym mieściły się najładniejsze sklepy w mieście. Rzuciwszy okiem na obie strony, dostrzegłem lektyki i zdobione powozy czekające przy drzwiach, podczas gdy ich wyrafinowani właściciele robili zakupy w środku. Jeden ze sklepów na rogu sprzedawał jedynie kolczyki. Przejeżdżając obok, powiodłem za nim tęsknym wzrokiem. Znajdowaliśmy się nieco za daleko, a ruch był zbyt intensywny, bym mógł dostrzec cokolwiek na wystawie.

Kiedy dotarliśmy do niższej dzielnicy, ruch nieco zelżał, a ludzie zaczęli szukać schronienia wewnątrz budynków. Na próżno rozglądałem się w poszukiwaniu jakiejś znajomej twarzy. Chciałem podzielić się z kimś informacją, że byłem wolny, jednak mało która ze znanych mi osób przebywała na ulicy w środku dnia. Znalazłszy się przy dokach, skręciliśmy, kierując się wzdłuż nich ku północnej bramie miejskiej. Minęliśmy statki kupieckie i przystań pełną prywatnych łodzi rybackich i wypoczynkowych, po czym przejechaliśmy obok nabrzeża, przy którym cumowały królewskie okręty wojenne. Zacząłem liczyć działa ustawione na ich pokładach, przez co niemalże przeoczyłbym Filonikesa.

– Filonikes! – zawołałem, przechylając się w siodle. – Hej, Filonikes! – Nie udało mi się wykrztusić już nic więcej, bo mag złapał mnie za ramię i szarpnął. Ponaglił swojego i mojego konia do kłusa, ciągnąc mnie za sobą w głąb ulicy. Odwróciłem się, by pomachać znikającemu za rogiem Filonikesowi, ale nie jestem pewien, czy mnie rozpoznał. Mag zwolnił dopiero za kolejnym zakrętem, a pozostali czterej jeźdźcy szybko do nas dołączyli.

– Jasna cholera! – zaklął królewski doradca. – Co ty w ogóle



wyprawiasz?

Przybrałem zdumioną minę i wskazałem palcem za siebie.

– Filo to mój przyjaciel. Chciałem się tylko z nim przywitać.

– Myślisz, że chcę, żeby wszyscy w mieście wiedzieli, że wyszedłeś z więzienia i pracujesz dla króla?

– A czemu nie?

– Kto niby rozgłasza, że zamierza coś ukraść, jeszcze zanim zabierze się do roboty? – Zawahał się przez chwilę. – Cóż, ty. Ale ja nie.

– A czemu nie? – powtórzyłem.

– Nie twoja sprawa. Po prostu trzymaj język za zębami, zrozumiano?

– Pewnie – wzruszyłem ramionami.

Zator, jaki stworzyliśmy na ulicy, rozładował się, gdy na nowo podjęliśmy podróż. Pochyliłem głowę, by ukryć uśmiech. Mój koń stukał kopytami, podążając posłusznie za wierzchowcem maga.

Znalazłszy się przy południowej bramie, przejechaliśmy znów przez chłodny tunel, tym razem o wiele dłuższy niż ten przechodzący pod megaronem. Biegł pod nachylnym wałem ziemnym i nowszymi murami miejskimi. Potem znów znaleźliśmy się na słońcu. Nie oznaczało to jednak, że miasto kończyło się wraz z obwarowaniami. Najeźdźcy, nadgorliwi i praktyczni, zapewnili mu dobrobyt, sprawiając, że nie przestawało rozrastać się poza swoje granice. Mijaliśmy piękne domy kupców, którzy nie chcieli żyć w tłoku. Ponad mury otaczające ogrody wystawały korony drzew cytrusowych, figowców i migdałowców, kryjących w cieniu połacie trawy albo krawędzie werand. Konie były niczym ruchome platformy, pozwalające zajrzeć w prywatność innych ludzi. Wolałbym jednak przejść na drugą stronę murów i tam nasycić oczy. Nie podobało mi się, że gdy tylko coś mnie zainteresowało, natychmiast widok przesłaniały mi ciemnozielone liście drzew pomarańczowych.

Za willami wyrastały gospodarstwa rolne. Idealnie płaskie pola ciągnęły się na wiele mil w każdą ze stron. Wydawało się, że nierówności zaczynały się dopiero u stóp Gór Hefestiańskich, daleko przed nami. Gdzieś po prawej stronie, między nami a morzem, powinna płynąć rzeka Seperchia, jednak nie byłem w stanie jej dostrzec nawet z końskiego grzbietu. Uniosłem się w strzemionach, ale mogłem jedynie przypuszczać, że tam jest – woda była niewidoczna zza rosnących nad brzegiem drzew. Po chwili zaczęły drzeć mi kolana, więc usiadłem z powrotem w siodle. Mój wierzchowiec parsknął cicho z niezadowoleniem.

– Nie ciągnij za wodze – powiedział mężczyzna po mojej prawej stronie.

Spojrzałem na trzymane przeze mnie kawałki skóry i zupełnie wypuściłem je z rąk. Zwierzę najwyraźniej wiedziało, gdzie ma iść i bez mojej interwencji. Mijaliśmy pole cebuli za polem cebuli, a co jakiś czas także i mniejsze poletka ogórków i arbużów. Te ostatnie osiągnęły już rozmiary mojej głowy, musiało być więc dużo później niż mi się pierwotnie wydawało. Wydostanie się z więzienia zajęło mi całe mnóstwo czasu.

Jechaliśmy naprzód pomimo upału. Nie nadeszła jeszcze pora późnoletnich wiatrów etezyjskich, tak więc cały krajobraz pogrążony był w bezruchu. Żar lał się z nieba i nawet kurz nie próbował wzbijać się spod kopyt. Minęliśmy gaj oliwny rosnący przed jednym z gospodarstw. Srebrzysto-zielone drzewka sprawiały wrażenie wyrzeźbionych w kamieniu.

Będąc jeszcze w mieście, chłonałem ciepło słońca, pragnąc otulić się nim niczym kocem. Odwracałem się w siodle, próbując wystawić jak najwięcej skóry na bezpośredni z nim kontakt. Z początku było to przyjemne, jednak gdy zostawione w tyle miasto zaczęło przypominać jedynie bryłę złotego kamienia, zacząłem czuć się tak, jakbym nosił na sobie za ciasny o dwa rozmiary płaszcz z brudu i zaschniętego potu. Wszystko mnie swędziało. Ciągnął się za mną więzienny zapaszek, który wydawał się przeszkadzać

nawet koniowi, na grzbiecie którego podróżowałem.

Zauważyłem, że w miarę jak robiło się coraz goręcej, dwaj jeźdźcy po moich bokach oddalali się ode mnie coraz bardziej.

Powiodłem wzrokiem po całej grupie. Magowi miałem już okazję przyjrzeć się dokładniej. Po mojej prawej jechał żołnierz, który przestrzegł mnie przed szarpaniem za wodze. Nie ulegało wątpliwości, kim był z zawodu, podobnie jak nie ulegało wątpliwości, że spod klapy jednej z jego toreb podróżnych wystawał miecz. Doszedłem do wniosku, że to właśnie musiał być Pol, na którego mag krzyczał na dziedzińcu, ponieważ pozostali dwaj jeźdźcy zdecydowanie byli chłopcami. Jeden wyglądał na młodszego, a drugi kilka lat starszego niż ja. Nie miałem pojęcia, po co nam towarzyszą. Starszy chłopiec również miał miecz w pochwie, a przy odpowiednim treningu potrafiłby pewnie pokonać słomianą kukłę, ale młodszy wydawał się kompletnie bezużyteczny. Obaj musieli pochodzić z dobrych domów, nie byli służącymi, ale zastanawiałem się, czy byli braćmi. Podobnie jak mag, odziani byli w ciemnoniebieskie tuniki, rozszerzające się poniżej pasa i opadające luźno na spodnie. Starszy z chłopców miał ciemniejsze włosy i był przystojniejszy. Sprawiał wrażenie, jakby doskonale o tym wiedział. Jechał po mojej lewej i marszczył nos za każdym razem, gdy wiatr zawiął z mojej strony, ale ani razu na mnie nie spojrzał. Młodszy trzymał się głównie za mną, ale kiedy tylko oglądałem się, by na niego spojrzeć, on akurat wpatrywał się we mnie. Póki co nadałem im przydomki Bezużyteczny Starszy i Bezużyteczny Młodszy.

Upał zrobił się wprost nieznośny. Wraz z każdym kołyszącym krokiem konia czułem się coraz bardziej wycieńczony. Po jakimś czasie, który wydawał mi się całymi godzinami kolebania się w siodle, uświadomiłem sobie, że niechybnie spadnę, jeśli zaraz się nie zatrzymamy.

– Jestem zmęczony – powiedziałem. – Jestem zmęczony.

Nikt nie odpowiedział. Mag nawet nie odwrócił głowy, postanowiłem więc sam podjąć decyzję. Zsunąłem się w dół po jednej stronie konia, mając nadzieję, że noga, która została w tyle, podąży moim śladem. Ostatecznie rzeczywiście tak się stało, ale nie było w tym ani krzty gracji. Wierzchowiec ani myślał się zatrzymać, gdy dotknąłem ziemi, musiałem więc skakać za nim na jednej nodze, dopóki druga nie dołączyła do pierwszej. Znalazłszy się na drodze, ruszyłem w stronę trawy rosnącej na uboczu. Nagle znalazłem się w rowie, a próbując się z niego wydostać, straciłem równowagę, opadłem na kolana, potem na brzuch i już się nie podniosłem.

Żołnierz musiał puścić się za mną jak strzała. Już upadając poczułem, jak złapał mnie za koszulę. Wszyscy pozostali zsiadli z koni i zbliżyli się do rowu, otaczając mnie półkolem. Na chwilę otworzyłem oczy, zobaczyłem ich buty, po czym znów je zamknąłem.

– Co mu jest, magu? – To musiał być ten młodszy.

– Niech to szlag. Jesteśmy dopiero w połowie drogi do Methany, a założyłem, że dotrzemy dziś do Matinaei. Jest wyczerpany, ot co. Zbyt wygłodzony, by móc kontynuować podróż. Nie, zostaw go – dodał, gdy ktoś szturchnął mnie stopą.

*Dzięki bogom, pomyślałem. Zostawią mnie.* Pragnąłem już na zawsze leżeć w tej wyschniętej, kłującej trawie, ze stopami w rowie. Przyszło mi do głowy, że byłby ze mnie całkiem przydatny kamień milowy. Dojeżdż do złodzieja, a znajdziesz się w połowie drogi do Methany. Gdziekolwiek by owa Methana nie leżała.

Nie zostawili mnie jednak. Rozsiadłali konie, wyjęli żywność i zaczęli się posilać, podczas gdy ja spałem.

Kiedy słońce znalazło się już w połowie drogi ku horyzontowi, Pol zaczął szturchać mnie stopą, aż się obudziłem. Gwałtownie otworzyłem powieki, nie mając pojęcia, gdzie się znalazłem. Nie byłem w łóżku ani nie byłem w

domu. Kilka razy zdarzyło mi się ocknąć w ten sam sposób w więzieniu, więc odruchowo stłumiłem w sobie zdezorientowanie i skupiłem się na uważaniu, by kajdany nie obtarły mi urażonych miejsc. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że przecież nie ma już żadnych kajdan. Zasłoniłem oczy ramieniem i jęknąłem przejmująco. Czułem się zaskakująco dobrze. Byłem wprawdzie głodny jak wilk, ale mogłem myśleć trzeźwo. Usiadłem i potarłem zdrętwiały policzek w miejscu, gdzie trawa odcisnęła na nim swoje wzory.

Jęczałem i narzekałem, podczas gdy Pol w pojedynkę wsadził mnie z powrotem na konia i ruszyliśmy w dalszą drogę. Mag jechał tuż obok, podając mi kawałki sera i chleba, które odrywał z trzymanego przez siebie bochenka. Jedną ręką wkładałem sobie pożywienie do ust, a drugą trzymałem się siodła. Konie to zdecydowanie najgorszy środek transportu. Chciałem zapytać, dlaczego nie kupili wozu, ale byłem zbyt zajęty posilaniem się.

Gdy dotarliśmy do Methany, dzień miał się już ku końcowi. Było to niewielkie miasteczko liczące sobie zaledwie kilka domów, z gospodą na skrzyżowaniu ulic. Jednak nie zatrzymaliśmy się tam na spoczynek. Jechaliśmy naprzód, aż wreszcie zrobiło się całkiem ciemno. Księżyc był jedynie małym sierpem na niebie. Żołnierz zsiadł z konia i zaczął go prowadzić. Ostrożnie posuwał się naprzód, by nie wpaść do rowu na skraju drogi, a pozostałe zwierzęta podążały jego śladem.

Nocne powietrze wionęło chłodem, a moja cudowna drzemka stała się już tylko odległym wspomnieniem. Chwiałem się na niezbyt szerokim grzbiecie mojego wierzchowca żałując, że siodło nie daje lepszego podparcia. Moja głowa opadała to do przodu, to znów do tyłu. Mag musiał mieć oczy złodzieja, bo nakazał Polowi zatrzymać się, a sam zsiadł z konia i zaczął iść obok mnie. Jedną rękę trzymał powyżej mojego kolana, by móc potrząsnąć mną, gdy zasypiałem. Robił to niezbyt delikatnie, a dodatkowo w

międzyczasie mnie szczypał.

Wreszcie dotarliśmy do Matinaei. Miasteczko nie było wcale większe od Methany, ale zbiegało się tu więcej dróg. Tutejsza gospoda miała dwa piętra i bramę prowadzącą na zamknięty dziedziniec. Gdy na niego wjechaliśmy, pojawił się stajenny, gotowy odprowadzić konie. Wszyscy zsunęliśmy się z sodeł na ziemię i natychmiast wyrósł przy mnie Pol, kładąc mi stanowczo rękę na ramieniu. Nie miał z tym żadnych problemów, moje ramię znajdowało się na wysokości jego piersi. Czasami przeszkadza mi, że jestem taki niski. Wtedy też mi przeszkadzało, próbowałem więc strząsnąć jego dłoń ze złością, jednak ta ani drgnęła.

Mag przedstawił się właścicielowi gospody jako podróżujący właściciel ziemski i dodał, że wysłał wcześniej gońca, by zarezerwować pokoje. Oberżystę wyraźnie ucieszył jego widok i wkrótce wszyscy skierowaliśmy się do wejścia. Kiedy jednak minąłem jego żonę, ta zmarszczyła nos i nim zdążyłem przejść przez drzwi zaprotestowała.

– To ten – oskarżycielsko wskazała na mnie palcem. – To on tak okropnie śmierdzi. Nie wpuszczę go do mojej winiarni i nie pozwolę mu spać w żadnym z moich czystych łóżek.

Mąż bezskutecznie próbował uciszyć ją gestami dłoni.

– Nie, nie zgodzę się na to. Nawet jeśli to syn szlachetnego pana – zwróciła się do maga. – Chociaż mam nadzieję, że tak nie jest.

Poczułem na twarzy falę gorąca biegnącą prosto do moich uszu. Mag zaczął pertraktować z kobietą. Żadne z nich nie zwracało uwagi na protesty jej męża. Królewski doradca odrzucił propozycję, bym miał spać w stodole, zgodził się jednak na umieszczenie mnie na podłodze. Dał gospodyni dodatkową srebrną monetę i obiecał jej, że niezwłocznie się umyję. Ta wyjaśniła, gdzie znajdziemy pompę i Pol natychmiast zaprowadził mnie w to miejsce.

Idąc za wskazówkami kobiety, trafiliśmy na środek dziedzińca, znajdującego się za budynkiem. Po bokach przestrzeń zamykały stajnie, od przodu mur, a za naszymi plecami – tylna ściana gospody. Trudno było tu mówić o prywatności potrzebnej przy kąpieli. Gdy zatrzymaliśmy się przy pompie, Pol złapał za brzeg mojej koszuli na wysokości pasa i szarpnął ją do góry. Opuściłem ręce, by nie mógł przeciągnąć mi jej przez głowę. Tkanina rozdarła się. Żołnierz chciał spróbować jeszcze raz, ale cofnąłem się, momentalnie oprzytomniały.

– Dam sobie radę sam – warknąłem.

– Tylko porządnie się przyłoż – rzucił i zabrał się do pompowania. Ściągnąłem koszulę i rzuciłem ją na bruk. Z rury na wysokości mojej talii trysnęła woda. Zdjąłem buty. W chwilę później ich śladem podążyły spodnie, jako że nie miałem pończoch. Rozpryskujący się na kamieniach strumień ochlapał mi nogi. Pod warstwą brudu dostałem gęszej skórki. Zadygotałem i klnąc nachyliłem się w stronę rury.

Gdy byłem zajęty opłukiwaniem się przy pompie, pojawił się młodszy Bezżyteczny. Pilnował, aby trzymać się z dala od tryskającej wody.

– Połóż to w jakimś suchym miejscu – powiedział Pol – i przynieś kilka worków ze stajni.

Gdy chłopak wrócił, Pol wziął od niego jedną z przyniesionych toreb i podał mi ją wraz z kawałkiem mydła. Kucnąłem, namoczyłem worek i natarłem go mydłem. Tworzyło tak wspaniałą pianę, że z zaskoczenia przerwałem czynność i nachyliłem się, by ją powąchać. Zaniósłem się śmiechem. Było to perfumowane mydło maga. Bezżyteczny Młodszy musiał wygrzebać je z jednej z sakw podróżnych.

Szorowałem się przy pomocy worka, zmywając wydawałoby się nagromadzony latami brud. Tarłem mocno, spłukiwałem się i natychmiast namydlałem się na nowo, nim Pol zdążyłby przestać pompować.

Przejeżdżałem sakiem po karku i ramionach tak daleko, jak tylko potrafiłem sięgnąć. Raz za razem pucowałem twarz, myśląc sobie, że mój nos stanie się przez to mniejszy, ale przynajmniej będzie czysty.

Młodszy Bezżyteczny stał nieopodal, obserwując mnie. Byłem ciekaw, co sobie o mnie myślał. Żelazna obręcz zostawiła siniaki wokół mego pasa, moje ciało pokrywały otarcia i ślady po ukąszeniach pcheł, ale najgorsze były rany na nadgarstkach. Bezustannie urażając skórę, kajdany odsłoniły żywe mięso, pokryte teraz częściowo strupami, które wydawały się czarne na tle mojej bladej, niewystawianej na słońce skóry. Kiedy wreszcie zmyłem z siebie większość brudu i spłukałem włosy, przykucnąłem przy pompie, próbując znaleźć takie miejsce na mych przegubach, dla którego kontakt z wodą byłby najmniej bolesny. W kilka ran wdało się zakażenie i trzeba było je oczyścić. Miałem świadomość, że czeka mnie bolesny zabieg. Nachyliłem się bliżej strumienia, trzęsąc się z zimna i starając się nie szczekać zębami.

Pol podszedł do mnie i przyjrzał się moim nadgarstkom. Ciśnienie wody osłabło.

– Zostaw je w spokoju – powiedział. – Zajmę się nimi w środku. – Podał mi kolejny worek, bym wytarł się nim do sucha, po czym otrzymałem od niego stosik ubrań, składający się ze spodni, koszuli, okrycia wierzchniego i pary solidnych butów roboczych. Rozejrzałem się w poszukiwaniu swojego starego odzienia i zobaczyłem, że młodszy Bezżyteczny znika z nim za drzwiami stajni.

– Hej – wrzasnąłem. – Wracaj tu z tym!

Chłopak odwrócił się, niepewny, co powinien zrobić.

– Mag kazał mi to spalić – powiedział.

– Wszystko, tylko nie moje buty!

Bezżyteczny spojrział na trzymaną w ramionach stertę i zmarszczył nos.

– W porządku, ale jeśli mag rozkaże je spalić, będziesz musiał je oddać.



– Dobrze, dobrze – mruknąłem i przykicawszy boso po mokrych kamieniach w jego stronę, wyjąłem buty z jego rąk. Resztę rzeczy bez żalu wydałem na pastwę płomieni, ale buty wykonano na moje specjalne zamówienie. Miały niskie cholewki, sięgające niewiele ponad kostki, i wzmocnione podeszwy, wciąż jednak na tyle sprężyste, że pozwalały mi bezszelestnie poruszać się po domach innych ludzi. Wróciłem do Pola, po czym zacząłem szukać skrawka suchego miejsca, w którym mógłbym stanąć, by się ubrać. Spodnie, zrobione z ciężkiej bawełny, układały się luźno na wysokości kostek po włożeniu ich w buty. W talii były jeszcze luźniejsze, ale na szczęście miałem pasek, żeby je przytrzymać. Koszulę również wykonano z bawełny. Było coś cudownego w dotyku czystego ubrania na czystej skórze. Z uśmiechem wciągnąłem przez głowę tunikę. Miała krótkie rękawy, a ufarbowano ją na ciemnoniebieski kolor. Sięgała mi do ud i była dostatecznie obszerna, by materiał nie napinał się, gdy krzyżowałem ramiona na piersi. Sprawdziłem dla pewności.

– Niech bogowie błogosławią magowi. Myśli o wszystkim, prawda? – zwróciłem się do Pola. Ten tylko mruknął coś pod nosem i machnął ręką w stronę tylnego wejścia do gospody.

Znaleźliśmy się w izbie z kontuarem, gdzie czekali już na nas mag i obaj Bezużyteczni. Na stole stały głębokie misy z duszonym mięsem, ale Pol uznał, że chce najpierw obejrzeć moje nadgarstki, zanim pozwoli mi zabrać się do jedzenia. Mag spojrzał na nas przez ramię, po czym wysłał starszego Bezużytecznego do pokoju po apteczkę z bandażami i słoiczki balsamów.

Pol zdjął latarnię ze ściany i postawił ją obok siebie na stole. Gospodyni zacmokała z niezadowoleniem, ale przyniosła miskę ciepłej wody, szmatkę i więcej mydła. Pol zajął się moim prawym nadgarstkiem, podczas gdy ja patrzyłem tęsknie na swoją kolację. Oczyszczywszy mój przegub wodą z mydłem, wtarł balsam w strupy pokrywające dwie rany – po jednej nad każdą

z kości. Następnie dokładnie owinął mi rękę czystym, białym bandażem. Byłem pod wrażeniem jego staranności. Kompletnie uspił moją czujność, sięgając po lewy nadgarstek. Miałem tam tylko jedną ranę, ale ciągnęła się ona przez cały wierzch przegubu. Zamiast strupów, były tam otarcia odsłaniające żywe mięso i bąble wypełnione surowicą, uwieczoną pod płatami skóry. Bez żadnego ostrzeżenia, Pol wsunął nóż pod jeden z takich pęcherzy i rozciął go.

Wrzasnąłem na całe gardło. Wszyscy obecni w pomieszczeniu aż podskoczyli, włączając w to Pola, ale na szczęście jego nóż znajdował się już z dala od mojego nadgarstka. Próbowałem wyszarpnąć rękę z jego uścisku, ale moje przedramię było unieruchomione jak w imadle. Prawą dłonią chciałem odgiąć jego palce, jednak te ani drgnęły. Gdy tak szamotałem się i krzyczałem, żołnierz bez słowa położył nóż na stole i sięgnął do apteczki. Wyjął z niej drewniany knebel, jaki wkłada się w usta osobom poddawanych drastycznym zabiegom, na przykład amputacji nogi. Przytrzymał mi go na wysokości twarzy.

– Dość tego – powiedział.

Chciałem wyjaśnić mu, że mam to otarcie już od wielu tygodni. Pilnowałem, żeby nie urażały go kajdany, oszczędzałem tę rękę i ogólnie robiłem wszystko, by jak najmniej mnie bolało, dlatego mógł ostrzec mnie, zanim wbił mi pod skórę ten swój wielki, cholerny nóż. Jednak wystarczył jeden rzut oka na knebel i postanowiłem trzymać język za zębami. Musiałem zadowolić się wiciem i cichym pojękiwaniem, podczas gdy Pol otworzył każde z dotkniętych zakażeniem miejsc, oczyścił ranę i wmasował w nią balsam. Gdy wreszcie owinął mi przegub bandażem, wytarłem nos i usiadłem przy stole, by zabrać się do kolacji.

Bezużyteczny Starszy przyglądał mi się z rozbawieniem.

– Nie jesteś zbyt dzielny, co? – zapytał.

Odpowiedziałem mu mówiąc, co może zrobić z własnym posiłkiem, czym zarobiłem sobie na kuksańca od Pola w klatkę piersiową. Pierwszych kilka kęsów przełknąłem nadąsany, zanim dotarło do mnie, jak pyszna była potrawa. Rozkoszując się jej smakiem, przysłuchiwałem się rozmowie pozostałych. Dowiedziałem się dzięki temu, że starszy Bezużyteczny nazywał się Ambiades, a młodszy Sofos. Nie łączyło ich żadne pokrewieństwo, ale obaj byli uczniami maga. Jadłem i jadłem, aż wreszcie poczułem, że jestem zbyt wyczerpany, by utrzymać głowę w górze. Zasnąłem na stole, wciąż jeszcze mając w ustach ostatni kęs kolacji.

## Rozdział trzeci

Obudziłem się rano, na podłodze jednego z pokoi na piętrze. Z miejsca, gdzie leżałem, widziałem, jak łóżko tuż obok ugina się pod ciężarem Pola. Żołnierz musiał wnieść mnie tu, na górę, i położyć na ziemi, zanim sam udał się na spoczynek. Popatrzyłem z zazdrością na jego łóżko, ale podłoga przynajmniej była drewniana, a nie kamienna. Pod sobą miałem dywanik, a na sobie – koc.

Odgarnąłem włosy z twarzy. Na ogół pozwalałem im urosnąć na tyle, by dało się spleść je w krótki warkocz u nasady szyi, ale w czasie mojego pobytu w więzieniu zrobiły się dużo dłuższe. W pewnym momencie zgubiłem wstążkę, którą je wiązałem i od tamtej pory opadały mi na twarz i coraz bardziej się plątały. Poprzedniego dnia udało mi się wypłukać z włosów część brudu, ale wciąż były skłębione. Przez chwilę rozważałem pożyczanie noża od Pola i obcięcie kołtunów, ale porzuciłem ten pomysł. Żołnierz nie dałby mi ostrza do ręki, tylko sam zabrałby się za obcinanie, a to z pewnością byłoby bolesne. Poza tym, lubiłem nosić długie włosy. Czyste i zebrane przy karku nadawały mi, w moim własnym mniemaniu, arystokratycznego wyglądu, a do tego bywały całkiem użyteczne. Czasami ukrywałem niewielkie przedmioty u nasady warkocza.

Jednak w matowej i splątanej czuprynie nie było niczego arystokratycznego. Póki co zadowolilem się odgarnięciem kosmyków z czoła i usiadłem. Powieki Pola podniosły się, kiedy tylko się poruszyłem, musiałem więc porzucić wszelkie myśli o wyslizgnięciu się z pomieszczenia po kryjomu. Zresztą wkrótce potem odkryłem, że zostałem przykuty do łóżka. Ktoś owinał koszulę wokół mojej kostki, po czym zapiął na niej żelazną obręcz z łańcuchem, który oplatał nogę posłania żołnierza. A zatem mógłbym uwolnić się jedynie podnosząc je wraz ze śpiącym w nim Polem. Ciekawiło

mnie, czym pomysłem były koszula i koc. Pol nie wydawał się osobą dbającą o wygodę innych.

Ponownie się wykąpałem, ale tym razem w ciepłej wodzie w umywalni na końcu korytarza. W środku znajdował się już mag wraz ze swoimi dwoma uczniami. Cała trójka była rozebrana do pasa i chlapała naokoło, szorując się do czysta. Spojrzeli na mnie, gdy wraz z Polem weszliśmy do pomieszczenia, i natychmiast zorientowałem się, że wszyscy spodziewali się, że nie będę zachwycony kolejną porcją wody i mydła.

– Myłem się wczoraj – przypomniałem magowi. – Patrz. – Wyciągnąłem ręce przed siebie – Jestem bardzo czysty. Dlaczego znowu muszę się myć?

Królewski doradca odszedł od balii, przy której się golił i chwycił mnie za jedną z wystawionych kończyn. Uważał, by złapać powyżej czystego, białego bandaża, po czym odwrócił ją w kierunku mojej twarzy, bym mógł zobaczyć brud, wciąż kryjący się w zagłębieniach skóry.

– Umyj się – rozkazał i nim zdążyłem zgłosić kolejne protesty, Pol złapał mnie od tyłu i pchnął w stronę pustej miednicy, stojącej obok innych na półce biegnącej przy ścianie, na wysokości mojej talii. Jedną ręką trzymając mnie za kark, drugą podniósł dzban i nalał do naczynia gorącą wodę.

– Mogę zrobić to sam – zauważyłem, ale zostałem zignorowany.

Żołnierz wrzucił do miednicy szmatkę oraz mydło i zabrał się do mycia mojej twarzy. Gdy otworzyłem usta, by zaprotestować, nałykałem się piany. Próbowałem się wysliznąć, ale mi się nie udało. Ręka na mojej szyi przesuwiała się bez trudu z jednej strony na drugą. Pol nie miał litości dla moich siniaków, więc w odwecie deptałem mu po palcach. Ten jednak tylko ścisnął mnie mocniej, więc przestałem. Namydlił mi ramiona i napierając na mnie zmusił do pochylecia się, by mógł umyć mi plecy. Złożony w pół zorientowałem się, że jego kolana znalazły się w zasięgu moich rąk. Mógłbym złapać go za jedno z nich i powalić go na ziemię, ale nawet nie

podjąłem tej próby. To nie była odpowiednia pora na demonstrowanie niespodziewanych umiejętności. Poza tym, gdyby mi się nie udało, wyszedłbym tylko na głupka, a tego miałem już serdecznie dość.

Pol splukał ze mnie pianę strumieniem wody z dzbana. Wyprostowałem się, próbując przywołać na twarz wyraz pogardy, ale nie był to jeszcze koniec kąpieli. Żołnierz zaprowadził mnie na drugą stronę pomieszczenia do drewnianej balii pełnej wody i wepchnął moją głowę do środka, kiedy wciąż jeszcze zajęty byłem wydawaniem z siebie ryków oburzenia. Po chwili wyciągnął mnie nad powierzchnię, namydlił mi włosy i ponownie zanurzył w balii.

Kiedy wreszcie poczułem, że nacisk jego palców słabnie, wyrwałem się z jego uścisku i ociekając wodą uciekłem na drugą stronę umywalni. Spoglądałem na niego spode łba, wykasłując płyn z płuc. Mężczyzna czekał cierpliwie, podczas gdy wyżymałem sobie włosy. Warknąłem, że łatwiej by było, gdybym sam się umył, ale on tylko rzucił mi ręcznik, a potem spokojnym gestem wskazał mi drzwi.

Jego twarz wydawała się niemal zupełnie pozbawiona wyrazu, jednak drgały mu kąciki ust. Wysuwając szczękę, by ukryć własną minę, pomaszerowałem korytarzem do pokoju, w którym spałem, po koszulę i tunikę.

– Zamoczyłeś mi spodnie – powiedziałem z wyrzutem, ubierając się. Pas był cały mokry.

Pol nie odpowiedział.

Wciągnąwszy koszulę przez głowę, zszedłem ciężko po schodach do izby z kontuarem, gdzie czekało już śniadanie i reszta naszej grupy. Mag oraz jego uczniowie uśmiechali się znad swojego jedzenia. Opadłem na ławkę i postanowiłem ich zignorować.

Po zjedzeniu miski owsianki, przeczesalem włosy palcami, próbując choć

trochę je uporządkować. Wyrwawszy przy tym kilka kołtunów, podzieliłem włosy na trzy części i splotłem w krótki warkocz. Trzymając jego koniec w dłoni, rozejrzałem się po pomieszczeniu, szukając jakiegoś rozwiązania. Przez ramię dostrzegłem stojącą za barem młodą kobietę. Uśmiechnąłem się do niej i zatoczyłem kółko palcem wokół kitki, by pokazać jej, czego mi trzeba. Kobieta odwzajemniła mój uśmiech i pomachała mi dłonią na znak, że zrozumiała, co mam na myśli. Odwróciłem się znów w stronę moich towarzyszy, ale napotkałem piorunujące spojrzenie Bezużytecznego Starszego, któremu, jak zapamiętałem, było na imię Ambiades. Nie miałem pojęcia, co go tak zdenerwowało, więc wbiłem zaskoczony wzrok w miskę owsianki.

Kilka minut później, dziewczyna pojawiła się przy naszym stole z kolejnymi porcjami śniadania dla wszystkich i kawałkiem sznurka dla mnie. Oddalając się, spojrzała na Bezużytecznego Starszego i parsknęła z pogardą, zrozumiałem więc, skąd wziął się jego gniewny wzrok. Nie zyskałem sobie jego sympatii, ale też nie byłem tu po to, by się z kimkolwiek zaprzyjaźnić. Poza tym, chłopak za często sobie kpił. Z mojego doświadczenia wynikało, że ludzie, którzy kpią, na ogół kpią ze mnie.

Mag, Pol oraz Bezużyteczny Młodszy, Sofos, zajęci byli pochłanianiem śniadania.

– Wygląda na miłą dziewczynę – powiedziałem, za co otrzymałem piorunujące spojrzenia od Ambiadesa i jego nauczyciela. Mag raczej nie dostał kosza od karczmareczki, doszedłem więc do wniosku, że nie podobało mu się, iż drażnię jego ucznia.

– Bardzo sympatyczną – dodałem, po czym zabrałem się za drugą miskę owsianki. Była wprawdzie nieco brejowata, ale na wierzchu miała miód i masło. Obok stało też naczynie z jogurtem, więc i nim się posiliłem. Sofos pochylał się nad mniejszą miską; gdy mag akurat nie patrzył, zabrałem ją

spod uniesionej łyżki chłopaka i podmieniłem na swoją, pustą. Bezużyteczny Młodszy spojrział na nią z zaskoczeniem, a Ambiades wydał z siebie zduszony, drwiący śmiech, ale żaden z nich nie poskarżył się królewskiemu doradcy. Na środku stołu stała jeszcze misa z pomarańczami. Sięgałem właśnie po owoce, gdy zauważyłem gniewne spojrzenie maga.

– Jestem głodny – powiedziałem, tłumacząc się i wziąłem trzy. Dwie schowałem do kieszeni okrycia, a ostatnią obrałem i zjadłem.

Do stołu podeszła gospodyni z pytaniem, czy zapakować dla nas drugie śniadanie, ale urwała zaskoczona, gdy jej wzrok spoczął na mnie.

Obdarzyłem ją najlepszym chłopięcym uśmiechem ze swojego repertuaru.

– Ładnie się umyłem, prawda?

Kobieta odwzajemniła mój gest.

– Rzeczywiście. A gdzie w ogóle tak się wybrudziłeś?

– W więzieniu.

– Ach tak – odparła. Ludzie przez cały czas trafiali za kratki. – Pewnie cieszysz się, że wyszedłeś na wolność.

– O tak, proszę pani, tym bardziej, że jedzenie jest tu takie pyszne.

Kobieta roześmiała się i zwróciła się do maga, który przyglądał się całej scenie z ponurą miną.

– Czy szlachetnemu panu trzeba coś jeszcze?

– Nie, dziękuję. Zatrzymamy się na posiłek w Evisie.

Wszyscy, z wyjątkiem królewskiego doradcy i mnie, poszli pakować bagaże i siodłać konie. Siedzieliśmy przy stole, aż wreszcie przysłany przez Pola Sofos oznajmił nam, że można wyruszać. Na dziedzińcu znajdował się blok ułatwiający wsiadanie, mogłem więc samodzielnie dosiąść swojego wierzchowca, jednak mimo to żołnierz przytrzymał jego głowę, a Sofos nadstawił mi strzemię, udzielając przy tym dobrej rady:



– Nie musisz tak się czaić – powiedział. – Nie ucieknie spod ciebie.

– Ale może – odparłem kwaśno.

Gdy opuszczaliśmy dziedziniec, przez frontowe drzwi gospody wyszła jej właścicielka, niosąc w ręce jakieś zawiniątko. Podeszła do mojego konia i zatrzymała go, co moim zdaniem było niesamowicie odważnym czynem z jej strony, ona jednak wydawała się nie zauważać w tym niczego niezwykłego.

– Masz tu coś do jedzenia w czasie podróży. Do Evisy droga daleka. – Przekazała mi tobolek, dodając – Mój najmłodszy syn jest w więzieniu.

– Och – powiedziałem, nie będąc wcale zaskoczony. Pewnie nie przekupili poborcy podatkowego odpowiednią kwotą. – Proszę się nie zamartwiać – rzuciłem jeszcze, gdy mag zaczął odciągać mojego wierzchowca. – Nie jest tam aż tak źle. – Zapomniałem się na tyle, że posłałem jej szczerą uśmiech, ale zastąpiłem go wyszczerzeniem zębów, gdy tylko zobaczyłem, jak gospodyni się rozpromienia.

– Ale kłamstwo – mruknąłem pod nosem, gdy zostawiliśmy zajazd za plecami. Droga wiła się pośród rzędów drzewek oliwnych. Kiedy tylko znaleźliśmy się poza zasięgiem wzroku, mag zatrzymał swojego i mojego konia.

Wychylił się w siodle, trzepnął mnie ręką w głowę i zabrał zawiniątko z posiłkiem, które zawiesiłem sobie na dogodnej sprzączce.

– Hej! – krzyknąłem z oburzeniem. – To moje!

– Nie będziesz flirtował z każdą karczmarką po drodze.

– Nie zamieniłem z nią ani słowa – zaprotestowałem urażonym tonem, rozmasowując sobie głowę w miejscu, gdzie uderzył mnie ciężki sygnet maga. – Ani słowa. Byłem jedynie miły dla gospodyni.

Królewski doradca uniósł dłoń, by raz jeszcze mnie uderzyć, ale odchyliłem się poza jego zasięg.

– Zachowaj swoje uprzejmości dla siebie – warknął. – Masz z nikim nie

rozmawiać, zrozumiano?

– Tak, tak, tak. Dostanę z powrotem swój posiłek?

Nie dostałem. Mag powiedział, że zjemy go później. Dąsałem się przez najbliższą godzinę. Wbiłem wzrok w siodło, nie zwracając uwagi na mijane krajobrazy – widywałem już wcześniej cebulę – aż wreszcie przejechaliśmy obok pola, z którego zbierano plony. Unoszące się w powietrzu słodkie i orzeźwiające aromaty pobudziły mój żołądek. Usiadłem prosto i rozejrzałem się naokoło.

– Hej – zawołałem w stronę maga. – Jestem głodny.

Choć ten nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, zdecydowałem, że dość już fochów. Nie przyspieszy to pory posiłku, a od patrzenia w siodło bolała mnie szyja. Wyjąłem z kieszeni pomarańczę i zacząłem ją obierać, rzucając skórki na ziemię. Poza miastem czułem się z początku jak robak na samym środku stołu. Teraz jednak poczułem, jak świat znów zaczyna mnie otaczać i nabrałem otuchy. Droga to wznosiła się lekko, to znów opadała, gdy jechaliśmy przez wzgórza poprzedzające góry na północy kraju. Pola stawały się coraz mniejsze, zaś otaczały je coraz większe ilości drzewek oliwnych, rosnących tam, gdzie nie chciało rosnąć nic innego. Poszczególne gaje zlewały się w jeden, srebrzysto-szary las. Byłem ciekaw, w jaki sposób właściciele rozróżniają, gdzie kończy się ich ziemia, a zaczyna sąsiada.

– Naprawdę nie było aż tak źle? – zapytał Sofos, jadący po mojej lewej stronie.

– Gdzie?

– W więzieniu.

Przypomniałem sobie, co powiedziałem gospodyni. Przez chwilę przyglądałem się chłopakowi, usadowionemu wygodnie na grzbiecie swojej rasowej klaczy.

– Więzienie – wyznałem z płynącą prosto z serca szczerością – było

najgorszą rzeczą, jaka spotkała mnie w całym moim życiu.

Sądząc po sposobie, w jaki na mnie patrzył, musiał uważać, że całe moje życie było jednym pasmem paskudnych wydarzeń.

– Aha – powiedział i ponaglił konia, by zwiększyć dzielącą nas odległość.

Pol jechał za mną. Obejrzałem się przez ramię i napotkałem jego kamienne spojrzenie. Zabrałem się więc za pomarańczę, przysłuchując się przy tym rozmowie pomiędzy magiem a Sofosem i Ambiadesem. Królewski doradca zadawał im pytania. Chciał, by młodszy z chłopców przedstawił mu klasyfikację biologiczną eukaliptusa. Ten zaczął rozwodzić się o tym i o tamtym, i mówić, czy drzewo to rodzi owoce. Większości nie słyszałem, ale musiał udzielić właściwej odpowiedzi, bo mag powiedział, że jest z niego zadowolony. Ambiades miał trochę więcej problemów z oliwką i nauczyciel już zachwycony nie był. Chłopak skierował konia tak, by oddalić się nieco od niego, co musiało świadczyć o tym, że trzepnięcia w głowę sygnetem zdarzały się całkiem często. Mężczyzna zapytał o to samo Sofosa i ten odpowiedział poprawnie, ewidentnie zakłopotany przez wzgląd na starszego kolegę.

– Wygląda na to, że Sofos pilnie przykłada się do nauki, Ambiadesie. Spróbujesz zgadnąć, dlaczego taka klasyfikacja jest ważna?

– Raczej nie.

– Zrób to mimo wszystko.

– Pewnie dlatego, że można dzięki temu określić, gdzie należy posadzić które drzewa.

– Kontynuuj.

Ambiadesowi nic więcej nie przychodziło do głowy.

Sofos próbował mu pomóc.

– Gdyby ktoś natrafił na jakieś nowe drzewo, byłby w stanie ocenić, czy może zjeść jego owoce, jeśliby wiedział, że jest takie jak oliwka?

– Gdyby było *takie* jak oliwka, to *byłoby* oliwką – warknął Ambiades. Przeniosłem cały ciężar ciała na jedno ze strzemion i wychyliłem się w siodle. Chciałem zobaczyć twarz Sofosa, by wiedzieć, czy się zaczerwienił. Owszem.

– Rzecz jasna – zauważył mag – jeśli nie potrafisz sklasyfikować oliwki, Ambiadesie, to nawet byś jej nie rozpoznał, prawda?

Wychyliłem się w drugą stronę. Tym razem to drugi z chłopców spiekł raka. A do tego jeszcze się nachmurzył.

– Spróbuj jeszcze raz, ale z figowcem – powiedział królewski doradca.

Ambiades zaczął dukać, a ja straciłem zainteresowanie. Powoli zaczynało ogarniać mnie znużenie. Zabrałem się za drugą pomarańczę.

Na długo zanim dotarliśmy do Evisy, kompletnie zawładnęło mną zmęczenie. Bez przerwy narzekałem, że jestem strudzony, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Burczało mi też w brzuchu. Powiedziałem magowi, że padnę z głodu w siodle, jeśli nie dostanę czegoś do jedzenia i dopiero wtedy niechętnie rozsypał moje zawiniątko. Kazał mi jednak podzielić się posiłkiem po równo z Ambiadesem i Sofosem, mimo że próbowałem przekonać go, że nie mogą być tak głodni, jak ja.

Ambiades wspaniałomyślnie odstąpił mi część swojej porcji, ale sposób w jaki to zrobił sprawił, że się najeżyłem.

Dotarliśmy do Evisy późnym popołudniem. Mag był wielce niezadowolony, że zajęło nam to tyle czasu. Nie wziął pod uwagę moich wybitnych umiejętności jeździeckich.

W Evisie nie było gospody, ale pewna kobieta podawała posiłki podróżnym przy stołach ustawionych pod drzewami na rynku. Ambiadesem i Sofosem wstrząsnął widok jedzenia – pomarszczonych oliwek i twardego sera – ale chleb był miękki i smaczny. W jogurcie za to znalazło się tak dużo czosnku, że wystarczyłoby go na zabicie każdego wampira w kraju. Pomimo

to zjadłem niemal wszystko. Trudno być wybrednym w niższej dzielnicy Sounis,

a w królewskim więzieniu jest to zupełnie niemożliwe.

– Przecież mówiłem ci, że nie są głodni – zwróciłem się do maga. – Nie rozumiem, dlaczego nie pozwoliłeś mi zjeść wszystkich pasztecików – dodałem. W tej samej chwili mężczyzna wyjął mi z rąk misę pełną wysuszonych oliwek.

– Zrobi ci się niedobrze – powiedział.

Podwędziłem z niej jeszcze kilka, ale resztę pozwoliłem mu zabrać. Miał rację. Jeśli spróbuję wepchnąć do żołądka jeszcze więcej, na pewno się zbuntuje. Odszedłem od stołu chwiejnym krokiem w kierunku kępy trawy, gdzie położyłem się i zasnąłem. Wydawało się, że ledwie kilka minut później Pol szturchnął mnie butem w żebra.

– Wstawaj.

– Idź sobie.

– Bo cię podniosę – ostrzegł.

– Nie chcę wstawać. Chcę, żebyś sobie poszedł.

Gdy upewnił się, że w pełni się obudziłem, oznajmiłem mu, że mam nadzieję, że w łóżku, w którym dane mu będzie spać następnym razem, ugryzie go coś jadowitego. Wstałem, opierając się o jeden ze stołów, i spojrzałem na Ambiadesa stojącego przy koniach.

– Przyprowadź mi tu mojego – powiedziałem. – Nie będę targał ze sobą stołu.

Jednak Ambiades nie zamierzał choćby ruszyć palcem na żądanie nic nie wartego złodziejaszka. Zrozumiałem, że był jedną z tych osób, które lubią szeregować ludzi wedle swojej hierarchii i chciał, żeby dotarło do mnie, że znajduję się na samym dole. Powinien traktować mnie z uprzejmością pomimo mojej podrzędnej pozycji, ja zaś powinienem być mu za to

wdzięczny.

Jeśli natomiast chodziło o mnie, zależało mi, żeby on zrozumiał, że uważałem siebie za część jednoosobowej hierarchii. Mogłem uznać wyższość maga i Pola, ale na pewno nie jego. Żaden z nas się nie poruszył.

Żołnierz i królewski doradca zajęci byli dokonywaniem oględzin końskich nóg, musieliśmy więc sami poradzić sobie z zaistniałą sytuacją. Ambiades wpakował się w niezłą kabałę, czy był tego świadomy, czy nie. Nie ulegało wątpliwości, że był ode mnie większy, ale musiał spodziewać się, że jeśli spróbuje zmusić mnie do podejścia do konia, wywiąże się wściekła, a zapewne i żenująca bójka. Z opresji wybawił go Sofos, który wziął mojego wierzchowca za wodze i podprowadził go do stołu.

Ambiades przyglądał się nam z pogardą, najwyraźniej niepomny, że Sofos ocalił właśnie jego godność.

– Dlaczego nie wynajęliście wozu? – zapytałem maga z wyrzutem, gdy wyjeżdżaliśmy z miasteczka.

– Czego?

– Wozu... No wiesz, to taka wielka, drewniana skrzynia na kołach, ciągnięta przez konie.

– A po co niby miałbym to robić? – Mężczyzna sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Żebym mógł na nim spać.

– Planując podróż, nie mieliśmy na uwadze twojej wygody – odparł kwaśno.

– Nie da się ukryć.

Przez najbliższą godzinę konie wlekły się noga za nogą przez wzgórza. Słońce zaczynało już powoli zachodzić, gdy mag wreszcie zniecierpliwił się i zapytał mnie, czy dam radę utrzymać się w siodle w kłusie.

– Pewnie nie – odparłem szczerze. Byłem zbyt zmęczony, by silić się na

optymizm.

– Prędzej czy później będziesz musiał się tego nauczyć. Nie będziemy jechać stępa przez całą drogę. Ambiadesie – zawołał – przyjeźdź tu i pokaż mu, jak się kłusuje. – Chłopak, który oddalił się od nas na jakieś kilkaset jardów, zawrócił i zmusił konia do truchtu.

– Dobry dosiad. – Pol znajdował się tuż za mną. Zaskoczyło mnie nieco, że odezwał się niepytany. Mag powtórzył komplement Ambiadesowi, ale ten tylko zmarszczył brwi. Wydawał się równie niezadowolony z pochwały, co z przepytywania.

– Teraz ty, Sofosie – królewski doradca zwrócił się do młodszego z chłopców, a ten posłusznie wykonał polecenie. Nawet ja zauważyłem, że nie jeździł tak dobrze, jak Ambiades. Spojrzałem na Pola, by poznać jego opinię. Żołnierz tylko się skrzywił.

Za to mag wyraził swoje współczucie:

– Szkoda, że nie możesz zabrać ze sobą Ambiadesa, żeby został księciem, a zostawić mi Sofosa jako przyszłego maga.

– On ma zostać księciem? – spytałem zaskoczony. Nieczęsto spotyka się dziedzica w charakterze czyjś ucznia. Nie spodziewałem się odpowiedzi, ale w pewnym sensie udzielił mi jej Ambiades.

– O ile ojciec go wcześniej nie udusi – powiedział.

Lekcję jazdy konnej odbyłem wspólnie z Sofosem. Nasza trójka została w tyle, podczas gdy mag i Ambiades pokłusowali przodem.

– Pol uważa, że jeździsz jak worek kamieni – powiedział Sofosowi starszy chłopak, zanim wysunął się na czoło. Ten poczerwieniał, a żołnierz kazał Ambiadesowi odjechać. Niedługo później dobiegły nas strzępki wykładu na temat klasyfikacji roślin i jej znaczenia, którego udzielał Ambiadesowi mag. Próbowałem koncentrować się zarówno na słowach królewskiego doradcy, jak i na lekcji jeździectwa, ale ostatecznie

zrezygnowałem i poświęciłem całą uwagę Polowi.

Żołnierz tłumaczył akurat, że końskie ramię unosi się nie razem z nogą, a wtedy, gdy kopyto wędruje do dołu.

– A teraz – powiedział – wyciągnij rękę w ten sposób. – Wykonał gest, jakby chciał pobłogosławić pola. Sofos posłuchał i oberwał mocno pięścią we wnętrze dłoni. Kiedy jednak Pol kazał mu powtórzyć jeszcze raz to samo, wykonał wprawdzie jego polecenie, ale cofnął rękę i drugie uderzenie ledwie go musnęło. To prosta lekcja, którą dał mi mój ojciec wiele lat temu. Jeśli spodziewasz się ciosu, przynajmniej postaraj się go uniknąć. Ojciec używał do szkolenia płazu miecza.

Żołnierz wyjaśnił Sofosowi, a przy okazji i mnie, że jeśli już unosisz się w siodle, kiedy końskie ramię uderzy cię w zadek, znacznie poprawia to komfort jazdy. Ruszyliśmy więc kłusem, próbując podnosić pośladki, by wyprzedzić ruch nóg naszych wierzchowców i przybliżając się dzięki temu nieco szybciej do celu, gdziekolwiek by on nie był. Wkrótce nie miałem już sił wstawać z siodła i przez resztę dnia mózg obijał mi się o czaszkę.

Często jechaliśmy stępą, by dać odpocząć koniom i mnie, ale i tak przed zapadnięciem zmroku byłem już śmiertelnie zmęczony i nie przyjrzałem się zbyt dobrze miasteczku, w którym się zatrzymaliśmy. Była tam gospoda. Weszliśmy do środka, zabrałem się do jedzenia, ale nim zdążyłem napełnić żołądek, zasnąłem na stole.

Znów obudziłem się na podłodze obok łóżka Pola, ale tym razem w tym samym pokoju spali też Sofos i Ambiades, dzielący łóżko po mojej drugiej stronie. Przyszło mi do głowy, że musiałem wyjść na osobę zupełnie pozbawioną godności, skoro dwukrotnie trzeba było wnosić mnie na piętro, i skrzywiłem się na samą myśl.

Pol obudził się na pierwszy brzęk mojego łańcucha. Ciekawiło mnie, czy przespałem zatem całą noc bez ruchu. Może i tak. A może żołnierz



wielokrotnie zrywał się ze snu, by sprawdzić, co robię. Kiedy zauważył, że ja również się przebudziłem, usiadł i szturchnął mnie stopą, by zrobić dla siebie miejsce na podłodze.

– Wstawać – burknął na dwóch pozostałych chłopców.

Ambiades wyplątał się z pościeli i wypełzł z łóżka. Ziewając, poczłapał w stronę krzesła, na którym spoczywały ubrania wszystkich, poza mną. Ja w swoich spałem. Sofos nawet się nie poruszył. Usiadłem i wyjrzałem poza krawędź łóżka. Równie dobrze ktoś mógłby zakleić mu powieki.

– Psst! – syknął Ambiades, ale było już za późno. Pol sięgnął ręką nade mną i obudził chłopca równie skutecznie, co mnie po posiłku poprzedniego dnia, on miał jednak to szczęście, że wylądował na miękkim łóżku. Kiedy wszyscy już wstali, udaliśmy się na zewnątrz, by umyć się przy pompie. Słońce dopiero wschodziło nad wzgórzami, na błękitnym niebie nie przepływała choćby jedna chmurka, ale w kotlinie, w której przycupnęło miasteczko wciąż kładły się cienie. Woda była zimna, ale nikt poza mną na to nie narzekał. Zaznaczyłem, że jeśli Pol znów spróbuje pomóc mi w myciu, ugryzę go.

– Pewnie jest czymś zarażony – przestrzegł żołnierza Ambiades, drażniąc się ze mną tonem odrobinę bardziej protekcyjnym niż kiedy zwracał się do Sofosa.

Pol bez słowa podał mi myjkę i przyglądał się, jak zmywałem ostatnie resztki więziennego brudu z łokci, kostek i karku. Mydło maga pachniało wiciokrzewem.

W gospodzie czekało już na nas śniadanie: owsianka i jogurt. Tym razem nie było jednak pomarańczy.

– Co to były za hałasy z samego rana? – spytał Pola mag, kiedy tylko usiedliśmy. Patrzył na mnie.

– Tamtego – odpowiedział mu żołnierz, wskazując łyżką Sofosa – nie

obudziłyby nawet artyleryjska kanonada. Pewnego pięknego dnia ocknie się dopiero wtedy, gdy ktoś nadzieje go na włócznie.

Sofos zaczerwienił się.

– Lekki sen to niezbędna cnota żołnierza – zauważył mag. – I nie jest wadą u wszystkich innych.

– A kto chce być żołnierzem? – burknął Sofos w miskę owsianki.

– Na pewno nie ja – powiedziałem. Zgromadzeni przy stole spojrzeli na mnie z zaskoczeniem, jakby zapomnieli, że umiem mówić.

– Kto pytał ciebie o zdanie? – zadrwił Ambiades.

– On, panie młodzieńczy wąsik. – Wskazałem łyżką na Sofosa, a starszy z chłopców podniósł rękę ku twarzy.

Szybko jednak opuścił ją i zapytał:

– A co niby taki śmieć z rynsztoka może wiedzieć o byciu żołnierzem?

– Nie mam pojęcia, bo nie jestem śmieciem z rynsztoka. Jednak mój ojciec jest żołnierzem i to paskudna, niewdzięczna i bezużyteczna robota dla ludzi zbyt głupich lub zbyt brzydkich na cokolwiek innego. – Choć zaczęliśmy z moim ojcem nieco bardziej cenić siebie nawzajem, to wciąż nie mam najlepszego mniemania o jego profesji, niemniej jednak nie powinienem wtedy dzielić się z innymi swoją opinią. Czasami zaskakuję sam siebie swoim niezwykłym taktem.

Przy stole zapadła cisza, a wszyscy spojrzeliśmy na Pola, by zobaczyć, jaka będzie jego reakcja na taką obrazę dla jego inteligencji i manier. Mężczyzna pozostał niewzruszony, ale mag pouczył mnie, że w przyszłości nie powinienem zwracać uwagi na wypowiedzi nie skierowane do mnie oraz że mam trzymać język za zębami, chyba że ktoś mnie o coś zapyta. Przypomniałem sobie, że przecież robiłem w tej grupie za użyteczne narzędzie, a nie człowieka.

Zjadłem śniadanie w milczeniu. Kiedy mag wstał i powiedział: „Musimy

przygotować konie”, nie oderwałem wzroku od pustej miski po owsiance, dopóki ten nie trzepnął mnie dłonią w tył głowy.

– O co chodzi? – zapytałem – To było skierowane do mnie? Myślałem, że mam nie zwracać...

– W jednej z toreb podróżnych mam bat jeździecki – wycedził królewski doradca. – Chcesz, żebym zrobił z niego użytek? – Pochylał się nade mną i mówił ściszym głosem. Nie jestem pewien, czy słyszał go ktokolwiek inny, ale ja rozumiałem go doskonale. Przerzuciłem nogę przez ławkę i wstałem.

– Prowadź – powiedziałem.

Nim opuściliśmy gospodę, do naszego bagażu doszło kilka dodatkowych pakunków. Wraz z Ambiadesem i Sofosem przyglądaliśmy się, jak mag i żołnierz ostrożnie przekładają ładunki, by konie były równomiernie objuczone. Zacząłem rozmyślać o Polu. Ewidentnie nie był zwykłym piechurzem. Obaj chłopcy, nawet starszy z nich, traktowali go ze zbyt dużym respektem. Za to mag wyraźnie go lubił i szanował, zostawiając mu egzekwowanie wydawanych mi rozkazów. Pewnie to on wychłostałby mnie batem, gdyby przyszło co do czego.

Gdy opuściliśmy miasteczko, stało się jasne, dlaczego królewski doradca nie wynajął wozu. Za tą niewielką, bezimienną osadą nie było żadnej przyzwoitej drogi, po której dałoby się nim poruszać, ani w ogóle niczego, co cywilizowana osoba, przyzwyczajona do miejskich ulic, skłonna byłaby nazwać drogą. Gościniec, jakim podróżowaliśmy od Evisy był starannie konserwowany i utrzymywany w dobrym stanie – o porośnięty trawą pas pośrodku oraz krawędzie dbały kozy ze wszystkich okolicznych wiosek. Ta trasa rozdzielała się, skręcając na wschód, by bieć wzdłuż pogórza i na zachód, gdzie przecinała się z głównym traktem, biegnącym ku przełęczy przez Góry Hefestiańskie. My natomiast pojechaliśmy prosto, szlakiem

wyglądającym na zdecydowanie rzadziej uczęszczany.

Minęliśmy kilka gospodarstw, po czym droga zwęziła się jeszcze bardziej, tworząc ciasną, zarośniętą ścieżynę z wysoką trawą i skarłowaciałymi dębami po bokach. Miejscami gałęzie sięgały tak daleko, że kłujące liście czepiały się materiału moich spodni.

Od czasu do czasu szlak wznosił się stromo do góry. Konie miały trudną pracę do wykonania. Jeden za drugim mozolnie się wspinały, przy towarzyszącym im nieustannie stukocie kamyczków, usuwających się im spod kopyt. Ścisnąłem swojego wierzchowca kolanami najmocniej, jak tylko potrafiłem i myślałem tylko o tym, żeby nie zsunąć się z siodła w momentach, gdy droga przestawała biec poziomo. Trzymałem się też z całej siły obiema rękami, ale nie były one wcale w lepszej formie niż nogi i późnym rankiem mięśnie zaczęły mi drżeć ze zmęczenia.

– Hej, może zatrzymamy się na drugie śniadanie?

Mag rzucił mi zniesmaczone spojrzenie, ale gdy znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, skierował swojego konia na trawę, a mój posłusznie podążył jego śladem. Próbowałem skłonić zwierzę do przejścia w cień, lecz ono zatrzymało się przy wierzchowcu królewskiego doradcy i ani drgnęło.

– Dlaczego ten cholerny koń nie idzie tam, gdzie chcę? – zapytałem z irytacją.

– Przestań szarpać za wodze. I tak się nie ruszy – odpowiedział mi mag.

– To już sam zauważyłem – powiedziałem, zsiadając. – Musi lubić twojego wierzchowca bardziej niż ja ciebie.

Sofos usłyszał moje słowa i wybuchnął śmiechem.

– To koń juczny – wyjaśnił. – Wyszkolono go tak, by zatrzymywał się przy przewodniku stada.

– Naprawdę? – Spojrzałem na zwierzę ze zdziwieniem. – Są na tyle mądre?

- Mądrzejsze niż ty – rzucił Ambiades, który właśnie do nas dołączył.
  - Nigdy nie słyszałem o koniu, który ukradłby królewską pieczęć – zauważyłem, uśmiechając się drwiąco.
  - Właśnie o to mi chodziło.
  - Nażryj się gorących węgli. – Skierowałem się w stronę Pola, który wyjmował jedzenie z juków. Zauważyłem jednak, że Sofos wciąż się na mnie gapił.
  - Czego? – warknąłem, a chłopiec odwrócił wzrok.
- Ambiades odpowiedział za niego:
- Chciałby wiedzieć, czy naprawdę byłeś aż tak głupi, żeby założyć się z kimś, że ukradniesz królewską pieczęć, a potem następnego dnia pokazać ją na dowód w winiarni.
- Cóż, ryzyko zawodowe, ale nie było sensu o tym mówić. Odwróciłem się do nich plecami.
- Posiłek składał się ponownie z chleba, oliwek i sera. Jednak kiedy chciałem dostać więcej, mag odmówił.
- Nie mam pewności, czy uda nam się uzupełnić prowiant zanim przejdziemy przez góry.
- Spojrzałem na juki przytroczone do końskich grzbietów.
- Tyle nie wystarczy.
  - Dziś prawdopodobnie trochę podreperujemy zapasy. Nie będziesz głodować.
  - To prawda, nie będę – odparłem. – Zawsze możesz oddać mi część porcji Ambiadesa.
- Mag rzucił mi paskudne spojrzenie.
- Dostaniesz swój przydział i ani trochę więcej. Nikt nie będzie chodził o pustym żołądku, żebyś ty mógł się najeść.
  - Osobiście nie widzę ku temu przeciwwskazań – powiedziałem, kładąc

się na trawie z zamiarem ucięcia sobie drzemki. Żdźbła wyschły na wiór w promieniach letniego słońca i kłuły mnie w ramiona i szyję.

– Jestem o wiele ważniejszy niż ktokolwiek inny – oznajmiłem błękitnemu niebu nad głową.

Nikt mi nie odpowiedział. Po kilku minutach zasnąłem.

## Rozdział czwarty

Zatrzymaliśmy się ponownie wczesnym wieczorem, sporo wcześniej niż planował mag. Rzecz jasna, nie był zachwycony, ale zgodził się poszukać miejsca na obozowisko, ujrzawszy, że niemal zsunąłem się z końskiego grzbietu na stromym odcinku szlaku. Kiedy tylko wybrał odpowiedni teren na popas, zszedłem z wierzchowca i zwałem się w kłującą trawę. Podczas gdy królewski doradca kierował rozjuczaniem koni, ja leżałem bez ruchu i przysłuchiwałem się słowom Ambiadesa, dokładnie, acz protekcyjnym tonem, tłumaczącego Sofosowi, jak prawidłowo przygotować ognisko. Odwróciłem głowę, by móc przyjrzeć się scence.

– Nigdy nie spędziłeś nocy na łowach? – zapytał starszy z chłopców, spoglądając na drwa ułożone w ciasny stosik, będący raczej marną imitacją tego, czym być powinien.

Sofos popatrzył na Pola z zawstydzaniem.

– Nigdy samotnie – odpowiedział.

– No więc, Wasza Wysokość – zadrwił Ambiades – jeśli ułoży się drwa bezpośrednio jedno na drugim, żadne z nich się nie zapali. Ogień zostanie zduszony. Wyobraź sobie, jak ty byś się czuł, gdyby przywalić cię całym tym drewnem. Patrz. – Rozebrał stos i z wyraźną wprawą zbudował jakby chatkę o spiczastym dachu. – Stwórz dom, a ogień będzie w nim żył. Wznieś kurhan, a umrze. Zrozumiałeś?

– Tak – odpowiedział pokornie Sofos i ustąpił miejsca Polowi, by ten mógł zabrać się za gotowanie. Ja natomiast nie ruszyłem się z miejsca, dopóki jedzenie nie było gotowe i Ambiades nie szturchnął mnie stopą.

– Mag mówi, żebyś wstał i coś zjadł, o śmieciu z rynsztoka.

– Słyszałem – odparłem, przetaczając się na bok i podnosząc się z ziemi.

– Powiedz mi – rzuciłem jeszcze przez ramię – o źródło wszelkiej wiedzy,

czy udało ci się dojść do tego, jaka jest różnica między figowcem a drzewem oliwnym?

Chłopak poczerwieniał, a ja z zadowoleniem usiadłem do obiadu.

Po posiłku, który okazał się być dość skąpy, mag wskazał na jedno z posłań mówiąc, że jest moje. Słońce wciąż stało wysoko na niebie. Horyzontu sięgnie dopiero za dobrych kilka godzin, ale mimo to poprawiłem pled i położyłem się. Do okrycia dostałem ciężką pelerynę. Przesunąłem dłonią po wełnie o gęstym splocie. Po zewnętrznej stronie zabarwiono ją na ciemnoniebiesko, tak samo jak szatę maga, zaś podszycie miało kolor kremowo-złoty, na podobieństwo łanów jęczmienia przed żniwami. Okrycia nie ozdobiono wprawdzie żadnymi haftami, ale i tak widać było, że wykonano je z niezwykłą dbałością. Przyda mi się, gdy po ciepłe dnia pozostanie jedynie wspomnienie. Kątem oka zauważyłem, że mag przygląda się, jak przebiegam palcami po wełnie, niczym krawiec oceniający jej wartość albo śmieć z rynsztoka dotykający czegoś, czego nie powinien. Odwróciłem się do niego plecami, pozwalając mu myśleć, co chciał.

Pozostali siedzieli wciąż przy ognisku. Królewski doradca porzucił temat klasyfikacji roślin i zaczął przepytawać swych uczniów z historii. Wkrótce potem zasnąłem.

Następnego dnia przed południem dotarliśmy do niewielkiego, pogrążonego niemalże w ruinie gospodarstwa, położonego na końcu szlaku. Bielone ściany wyblakły, a tynk odpadał od nich całymi płatami, odsłaniając chropowate, kamienne mury. Gdy zatrzymaliśmy się na zachwaszczonym dziedzińcu, w drzwiach pojawił się jakiś mężczyzna.

– Spodziewałem się was zeszłej nocy – zwrócił się do maga.

Ten spojrział na mnie z ukosa.

– Posuwaliśmy się wolniej, niż się spodziewałem – powiedział. – Dotarły zapasy?



– Wszystko. W szopie jest pasza dla koni, wystarczy na dwa tygodnie, a jeśli nie będziecie wracać tą drogą, zaprowadzę je z powrotem do miasta.

– Dobrze – skwitował mag. Otworzył jedną z toreb podróżnych i stanął na placach, by zajrzeć do środka. Wyciągnął z niej kajdany, w których spałem w gospodach, po czym kazał Ambiadesowi i Sofosowi odprowadzić wierzchowce. Sam natomiast wszedł do środka, a Pol i ja ruszyliśmy jego śladem przez opustoszałą główną izbę do pokoju na tyłach, z oknami na trzech ścianach i kilkoma wąskimi łózkami.

– Jest już za późno, by dziś wspinać się na górę – powiedział do żołnierza. – Zatrzymamy się tutaj i wyruszymy jutro rano. Ty – zwrócił się do mnie – możesz sobie odpoczywać, ile dusza zapragnie. – Kazał mi usiąść na jednym z posłań i uklęknął, aby zapiąć kajdany wokół mojej kostki. Wsunął pod nie dwa palce, sprawdzając, czy nie są za ciasne.

– Zapomniałem o czymś w charakterze ochraniacza – powiedział. – Będziesz musiał jakoś z tym żyć, dopóki chłopcy nie przyniosą toreb podróżnych. – Owinął łańcuch wokół ramy łóżka i pociągnął za obręcz, by upewnić się, że nie dam rady zsunąć jej ze stopy. Potem obaj z Polem wyszli z pomieszczenia. Ułożyłem kajdany tak, by było mi wygodnie, zastanawiając się, czy wgniecenie, które utworzyło się nad moją kostką, zostanie tam już na zawsze.

W pokoju panował chłód, ponieważ żadne z okien nie wychodziło na południe, więc zanim mag wrócił, by owinąć mi kostkę jedną z koszul Pola, zdążyłem już zasnąć. Dzień upłynął mi na ciągłych drzemkach. Co jakiś czas siadałem na łóżku, by spojrzeć na jasne i gorące promienie słońca na zewnątrz. Raz zobaczyłem Pola uczącego Ambiadesa i Sofosa szermierki na drewniane miecze, ale równie dobrze mógł to być tylko sen. Gdy znów popatrzyłem przez okno, na dworze nie było nikogo.

Po obiedzie położyłem się na łóżku, nasłuchując głosów z sąsiedniego

pokoju. Niebo pociemniało i zaświeciły na nim gwiazdy. Pogrążyłem się we śnie, jeszcze zanim wzeszedł księżyc i nie przebudziłem się ani na chwilę, dopóki Sofos nie zawołał mnie na śniadanie. Na stole czekała misa pełna owsianki oraz drugie naczynie z jogurtem, a także chleb, ser, oliwki i kilka pomarańczy z gatunku tych niewielkich i grudkowatych, które ciężko obrać, ale które wynagradzają to soczystością i słodyczą.

– Najedz się do syta – powiedział mag, widząc, że to właśnie robię. – Przez jakiś czas nie będziesz mieć podobnej okazji.

Wpychałem w siebie, co tylko się dało i na nic nie narzekałem. Kiedy królewski doradca zwrócił mi uwagę, żebym nie przeżuwał z otwartymi ustami, co wytrwale praktykowałem od czasu naszego pierwszego wspólnego posiłku, posłuchałem go, ale z wyraźnym trudem. Pol zajął się moimi nadgarstkami – zdjął zaplamione bandaże, oczyścił pęcherze i wtarł w nie nową porcję balsamu. Tym razem nie próbowałem mu się wywinąć i obrzuciłem go jedynie taką ilością przekleństw, by zrozumiał, że mógłbym hałasować o wiele bardziej, gdybym tylko przestał się powstrzymywać. Rany wyglądały o wiele lepiej, więc przyznałem rację żołnierzowi, kiedy ten uznał, że nie zaszkodzi zostawić ich odsłoniętych na jeden dzień. Niemniej jednak miałem świadomość, że moja zgoda nie ma tu najmniejszego znaczenia.

Szczęśliwie, nie zachorowałem na nic będąc w więzieniu. W przeciwnym razie nie wystarczyłyby trzy dni świeżego powietrza i porządnego jedzenia, by przywrócić mi tak dobre samopoczucie. Podczas gdy mag nadzorował pakowanie plecaków, które mieli nieść wszyscy poza mną, ja zabrałem się za rozciąganie mięśni. Zrobiłem skłon, dotykając palców u stóp i odchyliłem się do tyłu, pomagając sobie dłońmi, by sprawdzić, na ile wróciły mi siły po jednodniowym odpoczynku. Ciekawiło mnie, ile jeszcze miałem czasu, zanim potrzebny będę w pełni sił do wykonania powierzonego mi zadania. Wreszcie usiadłem na kamiennym progu, czekając aż pozostali zarzucą sobie

bagażę na ramiona.

Przede mną wyrastały prawdziwe góry. Wystrzeliwały w niebo ponad pogórzami, a ich strome zbocza pstrzyły wytrwale krzewy, którym cudem udało się zapuścić korzenie pośród luźnych łupków. Miejscami, niczym wystające kostki czy kolana, wyglądały na powierzchnię wychodnie wapienia i marmuru. Okruchy skalne zbierające się na stokach niemal całkowicie uniemożliwiały wspinaczkę, czyniąc z gór naturalną barierę obronną dla Eddis, kraju skrytego w dolinach w pobliżu szczytów. Były tam wyrzeźbione przez wodę wąwozy, były też kamieniołomy, ale nie wiedziałem gdzie ich szukać, bo nie miałem pojęcia, gdzie się znajdowałem – wiedziałem jedynie, że na pewno gdzieś w górze biegu Seperchii.

Mag przywołał mnie do siebie i ruszył drogą prowadzącą pod górę ku szczelinie wyciętej w zboczu. Szlak, który poprzedniego dnia ledwo mieścił konia, dziś odpowiadał na szerokość człowiekowi i był prawie niewidoczny. Maszerowaliśmy wzdłuż starego koryta rzecznego, najprawdopodobniej wysychającego na większość roku. Zasilany przez zimowe deszcze, strumień rzeźbił sobie drogę przez łupki i ily, a także – z nieco większym trudem, ale równie niepowstrzymanie – przez marmur i granit. W miejscach gdzie płynęła woda, zapuszczały korzenie drzewka oliwne. Góry pięły się w niebo po obu stronach, czasami tworząc ściany z litej skały, wysokie na kilkaset metrów. To tu, to tam wyrastały karłowate kępy czerwonego i zielonego rdestu, których gałęzie zostawiały zadrapania na skórze, gdy przeciskaliśmy się obok nich.

Kiedy szlak kończył się niewielkim urwiskiem, które w porze deszczowej zamieniłoby się w wodospad, mag szukał jakiegoś oparcia dla nóg po obu stronach koryta i za każdym razem jakieś znajdował. Żadna z napotykanym przez nas przeszkód nie okazała się niemożliwa do pokonania, choć czasem musieliśmy przechodzić przez zwalone pnie drzew albo wspinać się

używając jedynie palców u rąk i nóg. Dobrze, że miałem swoje buty na cienkich podszwach.

Zatrzymaliśmy się, żeby coś zjeść, zanim zdążyłem porządnie się zmęczyć, ale i tak ucieszyła mnie chwila odpoczynku. Było jasne, że mag zamierzał zaprowadzić nas dalej w górę strumienia, aż zostawimy w tyle Sounis i znajdziemy się na terenie górskiej krainy Eddis. A może to już się stało. Wahałem się, czy powinienem o to pytać, ale na szczęście wyręczył mnie Ambiades.

– Gdzie jesteśmy?

– W Eddis, od czasu ostatniej wspinaczki.

– Dlaczego?

Uniosłem brwi. Czyli mag nie powiedział swoim uczniom, dokąd zmierzamy. Ciekawe, czy wtajemniczył Pola.

Królewski doradca skierował pytanie do Sofosa:

– Czego nauczyłeś się o Eddis od swojego guwenera?

Chłopiec zaczął recytować wszystko, co wiedział, podczas gdy my zabraliśmy się za jedzenie. Eddis władała królowa wraz z dworem składającym się z jedenastu ministrów, włączając w to premiera. Głównym towarem eksportowym kraju było drewno i srebro wydobywane w kopalniach. Natomiast większość zbóż, oliwek i wina pochodziła z importu. Kraj był wąski i ciągnął się wzdłuż linii szczytów łańcuchów górskich na południu i południowym wschodzie od Sounis.

Brzmiało to jak fragment z książki pod tytułem „Wszyscy nasi sąsiedzi” lub podobnej, równie nieskomplikowanej.

Gdy chłopiec zamilkł, mag zwrócił się do starszego ucznia:

– Powiedz mi, który z faktów dotyczących Eddis jest twoim zdaniem najistotniejszy.

Ambiades spisał się na medal. Pomyślałem sobie wtedy, że jednak ma

uzdolnienia w kierunku potrzebnym do kontynuowania nauki, ale odniosłem przy tym wrażenie, że chłopak uważa terminowanie u maga za coś poniżej swoich możliwości. Może bolało go, że Sofos był synem księcia, a on nie.

– Eddis kontroluje jedyną łatwo przejezdną przełęcz przez góry pomiędzy Sounis a Attolią, dwoma najbogatszymi krajami prowadzącymi handel w tej części świata. Jeśli chodzi o wybrzeże, to tylko tu utrzymał się jeszcze przemysł drzewny. Wszystkie nasze lasy zostały wycięte. W górach nie ma zbyt wielu innych surowców naturalnych, tak więc Eddis zawdzięcza większość swoich bogactw kontaktom handlowym między innymi państwami. Ściąga podatek z podróżujących przez góry karawan i sprzedaje drewno do budowy statków kupieckich Attolii i Sounis. Kiedy udało nam się wyprzeć najeźdźców, chcieliśmy zaatakować Attolię, ale Eddijczycy nie pozwolili nam na to.

– Doskonale – pochwalił go mag i ponownie zwrócił się do Sofosa, tym razem pytając go, czy wie, o jakim wydarzeniu mowa.

– Chodzi o to, że rozebrali most nad Seperchią? – zaryzykował Sofos.

– Tak. Rzeka płynie tam wąwozem, a nie przekraczając go armia nie byłaby w stanie dostać się na drugą, odległą stronę przełęczy, do Attolii.

– To tchórze. Wiedzieli, że są bezpieczni w swoich górach – powiedział Ambiades. Wygłosił opinię, którą dzieliła większość Sounijczyków.

– A niby dlaczego mieliby pozwolić na przejście sounijskich wojsk, skoro wojna wpłynęłaby negatywnie na handel? – zapytałem, zapomniawszy o tym, że ryzykowałem naganą za włączanie się w rozmowę wyżej postawionych od siebie.

Nawet Sofos znał odpowiedź.

– Bo Attolijczycy skłamali. Eddis przepuściło ich armię przez przełęcz po pierwszym ataku najeźdźców, ponieważ miała walczyć po naszej stronie. Jednak zamiast tego pomogła w rozgromieniu naszych sił w czasie oblężenia

Solonis.

– Więc po tych wszystkich latach Sounis wciąż pała żądzą zemsty? – Wydawałoby się, że kilkaset lat to dość długo, by wciąż żywić urazę.

– Dla większości ludzi utrata wolności to dość irytująca kwestia, Genie – rzucił oschle mag. Sofos puścił tę uwagę mimo uszu, ale Ambiades się roześmiał.

– No tak, ale Eddis nigdy nie zostało zaatakowane, prawda? Najeźdźcy nigdy go nie podbili? – zapytałem.

– Nie – odpowiedział królewski doradca. – Najeźdźcy ostatecznie opanowali Attolię, tak samo jak Sounis, ale rządy w Eddis nigdy nie zmieniły się pod wpływem zewnętrznej siły.

Na tym zakończyła się nie tylko rozmowa, ale i przerwa na posiłek. Znowu podjęliśmy wspinaczkę.

Szczęśliwie, w głębokiej dolinie koryta rzecznego, zmierzch zapadł wcześniej. Zwolniliśmy tempo, nie widząc, gdzie bezpiecznie postawić stopę. Pol służył mi pomocą, musiałem też przyjąć dłoń podaną mi przez Ambiadesa. Wreszcie szlak rozszerzył się nieco i wyszliśmy na płaską przestrzeń, gdzie wielu podróżujących najwyraźniej zatrzymywało się na nocny spoczynek. Przy ścianie wąwozu ktoś zbudował kamienny krąg, zaś granit ponad nim poczerniał od dymu z wielu ognisk.

Po obiedzie, gdy rozłożyliśmy swoje posłania i zasiedliśmy wokół tańczących płomieni, Ambiades znowu wrócił do tematu naszej obecności w Eddis. Mag odpowiedział mu pytaniem, na które chłopak cierpliwie udzielił odpowiedzi, najwyraźniej przyzwyczajony do takiej reakcji na swoją dociekliwość.

– Co wiesz na temat dziedziczenia tronu Eddis?

– Mają tam królową, jak w Attolii, więc władza nie może być przekazywana wyłącznie w męskiej linii. Przypuszczam, że rządy

przechodzą z rodzica na potomka, zupełnie jak w Sounis.

– A czy zawsze tak było?

Ambiades wzruszył ramionami.

– Od czasu pojawienia się najeźdźców.

– A wcześniej?

– Chodzi o Dar Hamiatesa? – domyślił się chłopak.

– Tak – potwierdził mag i zwrócił się do Sofosa. – Czy kiedykolwiek o nim słyszałeś? – Ten jednak pokręcił głową, więc królewski doradca przystąpił do wyjaśnień.

– Nic dziwnego. Sounis i Attolia już wiele lat temu przejęły wierzenia najeźdźców i czczą ich bogów w miejskich bazylikach, ale kiedyś wszyscy wyznawali bogów górskiej krainy. Istnieje ich cały, niemal nieskończony panteon, a każde źródło, rzeka, góra czy las ma swojego patrona, jest jednak wyższy dwór potężniejszych bóstw, na czele których stoi Hefestia, pani ognia i błyskawic. Rządzi ona wszystkimi bogami, za wyjątkiem swej matki, Ziemi i swego ojca, Nieba.

– Według jednej z legend rządy w Eddis zapoczątkowała właśnie Hefestia, nagradzając króla o imieniu Hamiates kamieniem zanurzonym w wodzie nieśmiertelności. Artefakt potrafił uwolnić właściciela od śmierci, ale w momencie, gdy życie króla w naturalny sposób dobiegłoby końca, władca oddał go swojemu synowi i umarł. Ten znów przekazał kamień swojemu potomkowi i z czasem posiadanie go stało się równoznaczne z prawem do tronu. Kiedy uzurpator ukradł artefakt, a wkrótce potem zmarł, stało się jasne, że moc przestaje działać, jeśli przedmiot nie został *ofiarowany* nowemu właścicielowi. W ten właśnie sposób narodziła się tradycja zakładająca pokojowe przekazywanie władzy nad Eddis, w czasach, gdy w innych krajach zdarzały się wojny domowe. Pewna osoba ukradła kamień, a następnie oddała go wybranemu przez siebie pretendentowi do tronu, czyniąc

go tym samym prawowitym królem.

– Ale to tylko mit – zaproponował Ambiades. W myślach przyznałem mu rację.

– Ciężko powiedzieć, co jest mitem, a co prawdą – odpowiedział mu mag. – Mógł żyć król o imieniu Hamiates, który zapoczątkował taką tradycję. Wiemy też, że istniał kamień zwany Darem Hamiatesa i że w czasach inwazji najeźdźców ludzie wciąż wierzyli w jego moc i symbolikę. I to do tego stopnia, że agresorzy zaatakowali Eddis, by zdobywając artefakt, przejąć kontrolę nad krajem. Ponadto chodziły słuchy, że Dar jest drogocennym klejnotem. Kiedy zniknął, najeźdźcy zostali wyparci z gór i na powrót zainteresowali się Sounis i Attolią, którymi dużo łatwiej zawiadywać.

– A co się stało z kamieniem? – zapytał Sofos.

– Ukrył go król Eddis, ale zmarł zanim zdążył przekazać go synowi czy chociażby ujawnić miejsce, w którym go pozostawił. Od tamtej pory nikt go nie widział.

– Myślisz, że można go odnaleźć? – dociekał chłopiec.

Mag pokiwał głową. Na krótką chwilę zapadła cisza.

– Uważasz, że *tobie* się to uda? – Na twarzy Ambiadesa malował się entuzjazm i chyba także chciwość.

Królewski doradca znów przytaknął.

– Chcesz powiedzieć – rozdarłem się – że błąkamy się tu w ciemności, szukając przedmiotu z jakiejś *baśni*?

Mężczyzna obrzucił mnie wzrokiem. Chyba zapomniał, że siedziałem tu razem ze wszystkimi i słuchałem wykładu, jakiego udzielał swoim uczniom.

– Przetrwały pewne wiarygodne źródła pochodzące z czasów poprzedzających atak najeźdźców, Genie. Znajdują się w nich wzmianki o kamieniu.

– I naprawdę uważasz, że wiesz, gdzie go szukać? – nie ustępował



Ambiades.

– Tak.

– Gdzie? – zapytał. Sam tylko pokręciłem głową z niedowierzaniem.

– Jeśli coś takiego naprawdę istnieje – włączyłem się znów do rozmowy – to dlaczego po tych kilkuset latach jesteś pierwszą osobą, która poznała miejsce jego ukrycia?

– Nie jestem. – Odpowiedź maga kompletnie mnie zaskoczyła. – Według odnalezionych przeze mnie zapisków, całe mnóstwo ludzi udało się na poszukiwania artefaktu, jednak ci, którzy najbardziej zbliżyli się do miejsca, w którym moim zdaniem został on ukryty, nigdy stamtąd nie wrócili. Według mnie świadczy to o tym, że w co najmniej jednym względzie nie byli odpowiednio przygotowani do tej wyprawy – wypowiadając te słowa, obdarzył mnie łagodnym uśmiechem znad płomieni. – By zdobyć kamień, trzeba niezwykle utalentowanego złodzieja i właśnie dlatego zostałeś poproszony o zaszczytowanie nas swoją obecnością.

– Czy zapiski, o których mowa, są tymi, które przetrwały atak najeźdźców? – Jeśli chodziło o rzeczy tak stare, musiałbym najpierw je zobaczyć, zanim uwierzyłbym w ich istnienie.

– Tak. – Mag splótł dłonie na kolanie, kołysząc się w tę i z powrotem w samozadowoleniu. – Tyle, że nie przetrwają już niczego więcej. Uzyskawszy potrzebne informacje, kazałem je zniszczyć, by nikt więcej nie mógł udać się tym samym tropem.

Zadrzałem. Byłoby lepiej, gdyby w ogóle ich nie odkryto. Ambiades raz jeszcze zapytał, dokąd zmierzamy.

– Dowiesz się, kiedy tam dotrzemy – odparł jego nauczyciel.

– A po co w ogóle to robimy? Żebyś mógł zostać królem Eddis? – zadrwiłem. – Dramatycznie zacofanego kraju drwali? – Było to najłagodniejsze określenie Eddijczyków, z jakim spotkałem się w mieście.

– Rzecz jasna, oddam kamień Sounisowi. To on będzie władał Eddis. Ja natomiast zostanę Złodziejem Króla.

To uraziło moją zawodową dumę. Ja miałem dokonać kradzieży, a on przypisałby sobie wszystkie zasługi. Jego imię zostanie wyryte na kamiennej steli przed bazyliką, a moje wypisane w kurzu. Przypomniałem więc mężczyźnie, że to ja zostanę Złodziejem Króla.

– Chyba, że spodziewasz się, że oddam ci Dar Hamiatesa, po czym dostanę nożem w plecy? Czy to właśnie po to zabrałeś ze sobą Pola?

Mag nie połknął haczyka, a żołnierz jedynie poruszył się lekko po drugiej stronie ogniska. Dreszcz przebiegł mi po kręgosłupie.

– To nie będzie konieczne – odpowiedział chłodnym tonem królewski doradca. – Nikt nie weźmie cię za cokolwiek więcej poza użytecznym narzędziem. Jeśli miecz zostanie doskonale wykonany, to jest w tym zasługa kowala czy też jego młota? Nie możesz być chyba wiele mądrzejszy od młota, skoro chwalisz się dowodem popełnionych przez siebie przestępstw w winiarni. – Obląłem się rumieńcem, a mag wybuchnął śmiechem. Gdybym nie był zły, może wcale nie uznałbym tego za przejaw złośliwości.

– I cóż byś robił jako Złodziej Króla, Genie? Jadł z otwartymi ustami w obecności monarchy? Gawędził z damami dworu, wstawiając w słowa dużo „ą” i „ę”, i przekręcając końcówki? Absolutnie wszystko zdradza twoje niskie urodzenie. Nigdy nie będziesz czuł się dobrze na królewskim dworze.

– Byłbym sławny.

– Ależ już jesteś, Genie – powiedział z politowaniem.

Mnie też by to rozbawiło, gdyby chichot Ambiadesa nie działał mi na nerwy. Postanowiłem zmienić temat.

– I Sounis wierzy, że oddasz mu ten kamień?

– Oczywiście – warknął mag. Trafiłem w czuły punkt. Niszcząc wszystkie zapiski, tak by nikt inny nie był w stanie odnaleźć miejsca ukrycia

artefaktu, dopilnował, żeby Sounis był zmuszony mu zaufać.

– Jesteś tego pewien? – drażyłem temat. – A może właśnie *dlatego* towarzyszy nam Pol? Może to ty masz dostać nożem w plecy? – Brwi mężczyzny utworzyły poziomą linię ponad jego nosem. Wreszcie udało mi się go zdenerwować.

– Nie bądź głupi – wycedził.

– No i niby dlaczego Sounis miałyby zostać królem Eddis? Przecież władza już jednym krajem. Poza tym, jedyną rzeczą, jaką tam mają – machnąłem ręką w stronę góry za swoimi plecami – są drzewa. Całe mnóstwo drzew. Chce nabudować sobie statków?

– Nie – odpowiedział mag, przypominając sobie, że nie warto tracić nerwów na kogoś takiego jak ja. – Chce ich królowej.

Otworzyłem usta z niedowierzania.

– A więc robimy to wszystko, żeby on mógł...

– ...się ożenić – dokończył królewski doradca. – Jak do tej pory, Eddis odrzucała jego oświadczenia, ale nie będzie mogła tego zrobić, jeśli stanie przed nią jako prawowity władca jej kraju. Ostrzegliśmy ją, że przy następnym spotkaniu, Sounis będzie już właścicielem Daru Hamiatesa. – I oto dlaczego tkwiliśmy tu pośród ciemności, poszukując czegoś, co król zdążył już obiecać.

– A co jeśli nikt już nie wierzy w ten twój głupi Dar Hamiatesa? – zapytałem. – Co jeśli znajdziemy go, a wszyscy powiedzą tylko „No i co z tego”?

– Jej pozycja nie jest aż tak pewna, żeby mogła ryzykować obrazę bogów swego ludu. Zawsze tak będzie w przypadku kobiety.

Zapatrzyłem się w płomienie. Przez jakiś czas w obozowisku panowała cisza.

– Wcale nie zależy mi na królowej – odezwałem się wreszcie, nie mogąc

już dłużej przemilczać prawdy. – Ani nawet na jej kraju. Chce tylko dostępu do górskiej przełęczy, żeby móc najechać Attolię.

Pol i Ambiades pokiwali głowami po drugiej stronie ogniska. Dla każdego, kto znał Sounisa, to wyjaśnienie miało o wiele więcej sensu niż to przedstawione przez maga.

Ten jedynie wzruszył ramionami.

– Nieistotne jest, po co mu Dar. Liczy się tylko to, że mamy go zdobyć. A teraz, lepiej będzie, jak trochę odpoczniesz.

Niczym dobre narzędzie, na przykład posłuszny młot, wyciągnąłem się koło ogniska i poszedłem spać.

Światło poranka bardzo powoli wypełniało wąwóz, zdążyłem więc solidnie wypocząć, nim zaczął się dla nas dzień. Wciąż jednak tkwiły we mnie echa wczorajszej rozmowy, dlatego przy śniadaniu pilnowałem się, by jeść z otwartymi ustami, aż wreszcie mag skrzywił się i odwrócił wzrok. Jar stawał się coraz szerszy, a drzewka oliwne zniknęły. Mijaliśmy jałowce, krzewy czerwonego i zielonego rdestu, a od czasu do czasu także jodły, zaś miejsce kamiennych klifów zajęły strome zbocza pełne obluzowanych głazów. Wreszcie, wieczorem wąwóz przeszedł w wąską dolinę porośniętą drzewami. Ścieżka pod naszymi stopami nie biegła już po litej skale, a po ziemi pokrytej sosnowymi igłami. Bezszelestnie wspinaliśmy się dalej, aż znaleźliśmy się lesie, który wydawał się rozciągać bez końca przed nami.

– Przecież mówiłem, że nie ma tu niczego, poza drzewami – powiedziałem, odwracając się, by spojrzeć w stronę, z której przybyliśmy. Widziałem szlak biegnący po dnie doliny, dopóki nie skręcił ostro, by zniknąć mi z oczu, zaś gdy kierowałem wzrok pomiędzy góry miałem doskonały widok aż na równiny. Nie dało się wprawdzie dostrzec drogi, którą podążaliśmy ku pogórzcu, ani miasta, ale zakole Seperchii, a nawet kawałek morza miałem jak na dłoni.

– Możemy się zatrzymać? – zapytałem. – Bola mnie stopy.

– Nie. – Mag pokręcił głową. – Rusz się.

Szlak biegł między drzewami. Posuwaliśmy się bezszelestnie coraz dalej i dalej. Spojrzałem na przesłaniające niebo gałęzie jodeł; szyszki zaczynały już się otwierać, by wysypać nasiona.

– Ale nuda – powiedziałem. – Jakim cudem nuda może być aż tak męcząca?

Nikt mi nie odpowiedział.

– Kiedy się zatrzymamy? – zapytałem ponownie.

Mag zwolnił i spojrzał na mnie przez ramię.

– Zamknij się.

– Chciałem tylko...

Za mną, jak zwykle, maszerował Pol. Żołnierz pochylił się i popchnął mnie mocno do przodu, kładąc mi dłonie na łopatkach.

Było już niemal zupełnie ciemno, gdy dotarliśmy do biegnącej przez las drogi zbudowanej z idealnie poukładanych kamieni. Czekaliśmy pod drzewami, aż mag upewni się, że jest całkowicie pusta, po czym przebiegliśmy szybko na drugą stronę.

– Dokąd ona prowadzi? – zapytał królewskiego doradcę Ambiades.

– Ze stolicy Eddis do głównej przełęczy przez góry.

– Jak ją zbudowano? – Tym razem to Sofos chciał zaspokoić swoją ciekawość.

Mag wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć, to było bardzo dawno temu. Zbudowano ją mniej więcej w tym samym czasie, co stare mury naszego miasta. Nikt nie wie, jak to zrobiono.

– Polifem – powiedział Ambiades.

– Co? – zapytał młodszy z chłopców.

– Pewnie myślą, że dokonał tego Polifem. To olbrzym z jednym okiem, który podobno wybudował mury naszego miasta i budynek królewskiego więzienia. Nie znasz żadnej z tych opowieści?

Sofos pokręcił głową.

– Mój ojciec uważa, że należy zapomnieć o dawnych bogach. Twierdzi, że kraj mający dwie grupy bogów jest jak kraj rządzony przez dwóch królów. Nikt nie wie, komu być wiernym.

Po drugiej stronie drogi, szlak biegł dalej wśród drzew. Podążaliśmy nim, aż wreszcie słońce skryło się za cielskiem góry. Wkrótce zapadł zmrok, więc rozbiliśmy obóz tuż obok ścieżki, a Pol przygotował posiłek nad niewielkim ogniskiem. Sosnowe igły świetnie sprawdzały się jako podpałka.

Jedząc, drażniłem się z magiem. Lubiłem patrzeć, jak traci cierpliwość, a potem opanowuje się, przypominając sobie, że nie zasługuję nawet na jego pogardę. Kiedy wraz z Polem próbował wymyślić, jak nadrobić dzień stracony w gospodarstwie u podnóża gór, oznajmiłem, że jeśli zależało mu na szybszym pokonywaniu drogi, trzeba było wynająć wóz na początkowy etap podróży. Domagałem się dokładki jeszcze zanim skończyłem swoją porcję i marudziłem, że powinien zabrać więcej jedzenia. Oczywiście mówiłem z pełnymi ustami.

– Nie ty musisz je nieść – wytknął Ambiades.

– To prawda – zgodził się mag. – Może jutro powinniśmy kazać ci nieść twoją część zapasów?

– O nie, co to, to nie – zaprotestowałem. – Wykańcza mnie sam fakt, że muszę targać siebie. – Ległem na swoim posłaniu i przesuwałem się na plecach, aż w końcu udało mi się oprzeć nogi o pień zwalonego drzewa. – Dlaczego nie zabraliście czegoś wygodniejszego do spania?

Mag już miał mi odpowiedzieć, ale Sofos nie dał mu dojść do słowa, prosząc go, by opowiedział mu coś więcej o dawnych bogach Eddis.

– Myślałem, że twój ojciec nie życzy sobie, żebyś o nich słuchał – wtrącił się Ambiades.

Młodszy chłopiec zastanowił się przez chwilę.

– Wydaje mi się, że po prostu nie chce, żeby ludzie w nich wierzyli, żeby pielęgowali zabobony. Nie sądzę, żeby miał coś przeciwko czysto akademickiej ciekawości.

– Naprawdę? – Ambiades wybuchnął śmiechem. – Odniosłem wrażenie, że to właśnie akademicka ciekawość niezbyt mu odpowiada. Czy nie groził, że wrzuci cię do rzeki, przywiązanego do stosu encyklopedii?

Nawet Pol roześmiał się, widząc rumieńce Sofosa.

– Uważa, że ja nie powinienem spędzać tyle czasu na nauce. Nie przeszkadza mu to u innych ludzi.

Na chwilę przy ognisku zapadła cisza. Nie bardzo rozumiałem, dlaczego. Sądząc po wyrazie twarzy Ambiadesa, to, co gnębiło go wcześniej, zaatakowało ze zdwojoną siłą. By przerwać to milczenie, mag obiecał Sofosowi, że opowie mu kilka historii o dawnych bogach. Zaczął od stworzenia świata oraz narodzin bogów i całkiem nieźle mu to wyszło. Ułożyłem się wygodnie i słuchałem.

# Rozdział piąty

## STWORZENIE ŚWIATA I NARODZINY BOGÓW

Ziemia była samotna. Nie miała żadnego towarzysza. Wzięła więc częśćkę z samego wnętrza siebie i stworzyła Słońce, które stało się pierwszym bogiem. Jednak z czasem Słońce opuściło Ziemię. Obiecało wprawdzie, że każdego dnia będzie obdarzać ją swoim światłem, ale nocami Ziemia wciąż była samotna. Wzięła więc częśćkę ze skraju siebie i stworzyła Księżyc – pierwszą boginię. Jednak i ona opuściła Ziemię. Odchodząc, przyrzekła nocami opromieniać ją blaskiem, ale obietnice księżyca są nic niewarte. Czasami obdarzała Ziemię tylko częścią swej jasności, innym razem zupełnie o tym zapominała, a kiedy tak się działo, nie było wcale światła i Ziemia znów była samotna.

Ziemia tchnęła więc w firmament i stworzyła Niebo, a ono otoczyło ją całą i stało się jej towarzyszem. Przysięgło, że zostanie z nią na zawsze i Ziemię ogarnęło szczęście. Ich pierwszymi dziećmi były łańcuchy górskie, z których najstarsze zwało się Hefestia. Mieli też więcej potomstwa w postaci ogromnych oceanów i morza środkowego, a najmłodszymi spośród nich były wielkie rzeki Seperchia i Skander.

Pewnego dnia, Niebo zapragnęło dowiedzieć się, jak wygląda. Ziemia stworzyła więc tysiące bogiń i rozproszyła je po całym świecie, by trzymały lustra, w których mogłoby przeglądać się Niebo – tak powstały jeziora. Niebo patrzyło na siebie w zwierciadłach. Czasami było błękitne z białymi chmurami, czasami czarne i upstrzone gwiazdami, a gdy zachodziło słońce, wprost promieniało pięknem. Niebo stało się próżne. Spojrzało na Ziemię,



okrągłą i bezbarwną, i poczuło się od niej lepsze.

– Nie brak mi urody – powiedziało – za to ty jesteś zupełnie nijaka. Jedyne, co w tobie piękne, to jeziora. – I zaczęło spędzać cały czas na spoglądaniu w wodę, nie odzywając się ani słowem do Ziemi. Ta zgromadziła pył z gór i stworzyła śnieg, zaś z ziemi wziętej z dolin powstała ciemna gleba. Ziemia zasiała w niej nasiona lasów oraz kwiatów i wkrótce pokryła się zielonymi drzewami oraz wieloma żywymi kolorami. Powiedziała wówczas Niebu, że jest teraz tak piękna, jak ono, ale Niebo wpatrywało się tylko w jeziora, w których odbijała się jego uroda. Jeziora wydały na świat jego potomstwo – mniejsze rzeki i strumienie. Zazdrosna Ziemia postanowiła więc sprawić, by drzewa przesłoniły taflę wody przed oczami Nieba.

Niebo wpadło we wściekłość. Wzięło czarną glebę z dolin i zmieszało ją z górskim śniegiem, po czym rozdmuchało całość po wszystkich zakątkach świata. Z każdej takiej drobiny powstał człowiek – jedni byli ciemnoskórzy jak gleba, inni biali jak śnieg. Dlatego też, choć pochodzimy z Ziemi, powinniśmy dziękować Niebu za powołanie nas do istnienia. Brakowało mu jednak cierpliwości i nie przyłożyło się do pracy tak, jak zrobiłaby to Ziemia. Stworzeni przez niego ludzie okazali się mali, słabi i pozbawieni darów przynależnych bogom. Kiedy więc Niebo kazało im wykarczować lasy wokół jezior, by znów mogło przeglądać się w wodzie, oni nie mieli dość siły, by powalić drzewa.

Ziemia spojrzała na ludzi, przedzierających się przez jej lasy i zapytała Niebo:

– Dlaczego ich stworzyłeś?

Niebo zawstydzilo się i powiedziało, że chciało jedynie znów ujrzeć jeziora. Ziemia też się zmieszała i przyznała, że zależało jej, by Niebo rozmawiało tylko z nią. Niebo przyrzekło więc, że tylko czasami będzie

przyglądać się swojemu odbiciu, a w zamian Ziemia obiecała odsłonić część jezior. I oboje byli szczęśliwi.

Ziemia przyjrzała się stworzonym przez Niebo ludziom i zrobiło się jej ich szkoda. Marzli i byli głodni. Dała im więc ogień, by się przy nim ogrzali i nasiona, by mogli je zasiać. Stworzyła też zwierzęta, na które mogli polować, ale nieważne jak się starała, ludzie wciąż byli niewdzięczni. Dziękowali jedynie Niebu, za to, że ich stworzyło. Rozzłościło to Ziemię, która zatrzęsała się z gniewu. Gdy zbudowane przez ludzi domy runęły, a zgromadzone zwierzęta rozpierzchnęły się w popłochu, zrozumieli oni, że popełnili straszliwy błąd. Od tamtej pory niektórzy dziękują Ziemi za jej dary, inni zaś oddają cześć Niebu za to, że powołało ich do istnienia.

Mag skończył opowiadać, a przy ognisku na chwilę zapadła cisza. Wreszcie przerwał ją Sofos:

– Ludzie w Eddis naprawdę w to wierzą?

Wybuchnąłem śmiechem i nagle wszystkie oczy skierowały się na mnie.

– A w Sounis naprawdę wierzą, że Dziewięciu Bogów wygrało Ziemię w bitwie z Gigantami? Że Pierwszy z Bogów płodzi bożków na prawo i lewo, a jego żona to jędrza, którą zawsze udaje mu się przechytrzyć? – Uniosłem głowę i oparłem ją na skrzyżowanych ramionach. – Nie, tak naprawdę wcale w to nie wierzą, Sofosie. To tylko religia. Lubią chodzić do świątyni w dni świąteczne i udawać, że istnieje jakiś bóg, którego obchodzi ofiara ze szczątków krowy, żeby ludzie mogli zjeść resztę. To tylko pretekst do zabicia krowy.

– Mówisz, jakby ten temat był ci znany. Co ci o tym wiadomo? – zapytał mag.

Usiadłem i przysunąłem się bliżej ognia.

– Moja matka pochodziła z górskiego kraju. Tam wcale nie jest inaczej. Wszyscy chodzą do świątyni i wszyscy lubią posłuchać dawnych opowieści

przy obiedzie, ale to nie znaczy, że ktokolwiek spodziewa się, że któryś z bogów stanie u niego w drzwiach.

– Ach tak?

– Tak – odparowałem, przestając kontrolować swój język. – Poza tym, popełniłeś wiele błędów. Nie umiesz nawet prawidłowo wymówić nazwy kraju. Ludzie gór nazywają go Eeddis, a nie Eddis. No i pominąłeś fragment, w którym Ziemia płacze, bo Niebo nie poświęca jej swojej uwagi, przez co oceany stają się słone.

– Doprawdy?

– Tak, przecież mówiłem, że matka opowiadała mi te historie, kiedy byłem mały. Znam je wszystkie i wiem też, że tamtejsi ludzie nazywają swój kraj Eeddis.

– Jeśli już przy tym jesteśmy, Genie, Eeddis jest dawną formą wymowy tego słowa, pochodzącą sprzed ataku najeźdźców. Od tamtej pory zmieniła się wymowa wielu wyrazów w naszym języku, podczas gdy w przypadku Eddijczyków pozostała taka sama od wieków. *Eddis* wymawia się teraz inaczej, bez względu na to, jak mówią jego mieszkańcy.

– To ich kraj – burknąłem. – Chyba wiedzą, jaka jest jego właściwa nazwa.

– To nie tak, że Eeddis jest niewłaściwą, Genie. To po prostu dawny sposób wypowiedzenia tego samego słowa. Reszta cywilizowanego świata poszła naprzód. Powiedz mi lepiej, jakie jeszcze błędy popełniłem.

Wymieniłem wszystkie, jakie udało mi się zauważyć. Większość dotyczyła ominiętych fragmentów historii.

– Ciekawie jest usłyszeć różne wersje ludowych opowieści – powiedział mag, gdy umilkłem. – Nie powinieneś jednak zakładać, że historie opowiadane ci przez matkę są tymi oryginalnymi. Studiowałem je przez wiele lat i jestem pewny, że udało mi się odkryć te najwierniejsze. Często

zdarza się, że emigranci, jak twoja matka, zapominają o pewnych fragmentach, więc wstawiają własne w ich miejsce, a po jakiś czasie wydaje im się, że tak właśnie wyglądała pierwotna treść. Wiele z tych mitów zostało stworzonych przed wiekami przez wielkich bajarzy, więc to nieuniknione, że wersje opowiadane przez prostych ludzi zostały zubożone.

– Moja matka nigdy niczego nie zubożyła – zapewniłem żarliwie.

– Nie musisz się oburzać – odpowiedział mag. – Jestem pewien, że nie zrobiła tego specjalnie, ale nie była wykształconą osobą. Tacy ludzie rzadko kiedy wiedzą coś więcej o rzeczach, na temat których prowadzą codzienne rozmowy. Pewnie nie była też świadoma, że twoje imię, Genie, pochodzi od dłuższego – Eugenides.

– A właśnie, że była – zaprotestowałem. – To ty nic nie wiesz. Nie znałeś mojej matki i nic ci o niej nie wiadomo.

– Nie bądź głupi. Oczywiście, że mi wiadomo. Kiedy miałeś dziesięć lat wypadła z okna na czwartym piętrze w willi barona Eruktesa i zginęła.

Wiatr zaszumił wśród sosnowych igieł nad moją głową. Zapomniałem, że to wszystko zostało zapisane w broszurce, służącej jako mój rejestr karny. Królewskie sądy miały w zwyczaju przechowywać w więziennych archiwach całą historię życia złodziei kieszonkowych, zapisaną drobnymi literkami na złożonych kartkach papieru.

Mag zorientował się, że dotknęło mnie to do żywego i nie zamierzał odpuszczać. Jego głos przybrał protekcjonalny ton.

– Może jednak nie mam racji. Może Gen to rodowe imię. W Eddis tytuł Złodzieja Króla jest teraz dziedziczny, a wydaje mi się, że osoba zajmująca obecnie to stanowisko nazywa się właśnie Eugenides. Może jesteście spokrewnieni. Może jesteś kuzynem kogoś wysoko postawionego. – Mężczyzna parsknął śmiechem. Poczujęm, że pali mnie twarz i wiedziałem, że byłem czerwony aż po linię włosów.

– Eugenides – wycodziłem – był bogiem złodziei. Wszyscy nosimy jego imię. – Gwałtownie wstałem i tupiąc ze złością pomaszerowałem w stronę swojego posłania. Noc była chłodna, więc owinąłem się wełnianą peleryną. Musiałem przyznać sam przed sobą, że mag wygrał ze mną w tej wymianie zdań. Wyglądało na to, że wszyscy też byli tego zdania.

Następnego dnia mag sprawiał wrażenie wyraźnie zadowolonego z siebie. Pol przygotował śniadanie, zaś po jedzeniu spakowaliśmy wszystkie nasze rzeczy, pilnując, by nie pozostawić choćby najmniejszego śladu naszej obecności. Sofos i Ambiades zebrali igły sosnowe, którymi zakryli miejsce po ognisku. Około południa dotarliśmy na drugą stronę łańcucha górskiego i mogliśmy spojrzeć na czekającą nas drogę w dół.

– Nigdzie nie idę, dopóki nie dostanę drugiego śniadania – oznajmiłem. – Nie mam zamiaru umierać o pustym żołądku. – Wciąż byłem wściekły, mówiłem więc całkowicie poważnie. Więc kiedy królewski doradca próbował zmusić mnie do dalszego marszu, zwyczajnie zaparłem się nogami. Trzepnął mnie po głowie swoim sygnetem, ale mimo to nie ruszyłem się z miejsca. Zamierzałem nieco odpocząć przed mozolnym schodzeniem w dół po łupkowym zboczu, ponieważ będę potrzebował do tego nie tylko zmysłu równowagi, ale i całej siły, jaka jeszcze pozostała mi w nogach po pobycie w królewskim więzieniu. Wbiłem pięty w ziemię i ani drgnąłem. Ostatecznie zatrzymaliśmy się na posiłek.

Po jedzeniu zaczęliśmy schodzić po zboczu. Chciałem iść na samym końcu, ale Pol mi na to nie pozwolił. Byłem więc przedostatni i musiałem uważać tylko na kamienie sypiące się spod butów żołnierza. Natomiast maga, znajdującego się na czele całej grupy, co rusz zasypywał grad skał nie tylko spode mnie i żołnierza, ale także spod Sofosa oraz Ambiadesa. Sam posłałem mu kilka ze specjalną dedykacją, ale zrobiło mi się żal młodszego z chłopców, gdy jeden z kamieni kopniętych przez Pola trafił go prosto w tył

głowy. Nie mogliśmy się jednak zatrzymać, by sprawdzić, czy nic mu się nie stało, dopóki nie dotarliśmy do granicy fliszu. Jego kraniec znajdował się jednak w odległości siedemdziesięciu pięciu stóp, dlatego Pol obejrzał Sofosa dopiero, gdy stanęliśmy bezpiecznie na litej skale.

– Odwróć się – powiedział.

– Wszystko w porządku – odparł chłopiec, ale w oczach miał łzy. – Nie krwawię. – Mimo to dla pewności zerkał co jakiś czas na swoją dłoń. Żołnierz potarł guz rosnący na jego głowie i stwierdził, że młodzieniec najprawdopodobniej będzie żył.

– Bardzo mi przykro – powiedział i wydawał się szczery w swych przeprosinach za coś, czemu przecież nie mógł zapobiec. – Chcesz chwilę odpocząć?

– Moglibyśmy coś zjeść – podsunąłem, za co mag rzucił mi mordercze spojrzenie.

Sofos uznał jednak, że nic mu nie jest, więc podjęliśmy marsz. Tym razem nie było żadnego koryta rzecznego, wzdłuż którego moglibyśmy podróżować, a przynajmniej nie od razu. Szliśmy po zboczu, ścieżką biegnącą pomiędzy skałami. Czułem się bardzo odsłonięty i niepokoiłem się, że ktoś może obserwować nas z wysoka. Ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależało, byłoby zostanie przyłapanym na wędrówce po górach Eddis u boku królewskiego doradcy z Sounis. Nie moglibyśmy być bardziej widoczni – pięć osób przedzierających się przez roślinność sięgającą najwyżej do kolan. Zapytałem maga po co ta cała ostrożność rankiem, skoro teraz dowolny podróżnik miał nas jak na dłoni.

– Tylko ci, którzy trzymają się tego szlaku – odparł. – A nie należy on do zbyt często uczęszczanych. Jeśli nie będziemy zostawiać po sobie żadnych trwalszych śladów, nikt nie dowie się, że tędy przechodziliśmy. Są lepsze drogi prowadzące do Attolii.

– Nie wątpię – powiedziałem, spoglądając na rumowisko nad naszymi głowami. – A nie widać nas z lasu?

– Mało prawdopodobne, by ktokolwiek tam przebywał.

Prychnąłem.

– Dobremu złodziejowi nie wystarcza, że coś jest *mało* prawdopodobne.

– Dobremu złodziejowi? – powtórzył mag. – A skąd niby miałbyś to wiedzieć?

Z rozgoryczeniem wycofałem się ze słownej potyczki.

Po przejściu jednej czwartej mili, zeszliśmy po szczególnie stromym zboczu i znaleźliśmy się na maleńkim, brukowanym płaskowyzu otoczonym wiekowymi drzewkami oliwnymi. W głębi płaskowyzu, będącego w zasadzie jedynie większą półką skalną, znajdowała się jaskinia. Z rozpadliny w skale, ponad grota, wyrastało drzewko figowe, ocieniające jej wejście. Gdzieś w mroku było źródło, którego wody wypływały na powierzchnię wykładanym kafelkami kanałem pomiędzy kamieniami brukowymi. Obok wznosiła się niewielka świątynka, nieprzekraczająca swą wysokością dziesięciu stóp, z maleńkimi marmurowymi filarami z przodu.

– Spójrzcie. – Mag wykonał obszerny gest dłonią. – Oto i miejsce, w którym będziemy spożywać posiłek. Rozejrzyj się, Sofosie. To twoja pierwsza pogańska świątynia. – Mężczyzna wyjaśnił, że był to ołtarz poświęcony bogini źródła tętniącego w jaskini. Zapewne wzniesiono go aż tysiąc lat temu. Królewski doradca zwrócił też uwagę chłopca na kunszt, z jakim obrobiono marmur tak, aby każdy blok przylegał idealnie do pozostałych.

– Przyglądając się małym świątyniom takim jak ta, można dowiedzieć się, jak zbudowano te większe. Są takie same, tylko w innej skali. Jeśli każda kolumna w głównej świątyni rzecznych bogów składa się z czterech części, to i każda tutaj również będzie składać się z czterech części. W taki sam

sposób będą one też ze sobą połączone.

Sofos wydawał się równie zafascynowany, co mag. Obaj zniknęli we wnętrzu świątyni, by obejrzyć posąg bogini, i wyszli stamtąd zachwyceni. Ambiades natomiast wyglądał na znudzonego.

Królewski doradca zauważył jego minę.

– Ambiadesie, znajomość cudzej religii może pomóc ci w manipulowaniu tą osobą. Właśnie dlatego ojciec Sofosa uważa, że żaden kraj nie powinien mieć więcej niż jednego panteonu bogów. Pozwól, że podam ci kilka przykładów.

Ruszyliśmy w dół ścieżką, którą w ciągu ostatniego milenium wydrążyła w skale woda ze źródła. Nie była to trudna wędrówka. W co bardziej stromych miejscach z kamienia wystawały stopnie, niewątpliwie wykute w ciągu tysiąca lat pielgrzymek do świątyni. Gdy tak posuwaliśmy się naprzód, Ambiades słuchał z zainteresowaniem słów maga. Było jasne, że pilnie skupia się na wszystkim, co uznawał za przydatne. Po prostu niespecjalnie obchodziła go historia naturalna.

Królewski doradca zaczął zadawać pytania. Przez dłuższą chwilę na każde z nich odpowiadał Ambiades. Po jakimś czasie przysła jednak kolej na Sofosa, a wtedy ton, jakim wypowiadał się starszy z chłopców stał się bardziej posępny. Nadstawiałem ucha, ale docierały do mnie tylko urywki. Gdy Ambiades kolejny raz warknął na Sofosa, mag odesłał młodszego na koniec szeregu i zaczął pouczać drugiego z nich. Zdziwiłem się słysząc, że Sofos i Pol gawędzą niczym starzy przyjaciele. Żołnierz chciał wiedzieć, co wytrąciło Ambiadesa z równowagi.

– Rozpoznawanie łańcuchów górskich. Nie lubi tego typu rzeczy, więc niespecjalnie się do tego przykładaj. Mimo to wie o wiele więcej niż ja.

– Nadrobisz to.

– Pewnie tak, o ile ojciec pozwoli mi zostać.



- Hmm?
- Wiesz, co mam na myśli. Jeśli dowie się, że chcę zostać, każe mi wracać.
- A chcesz zostać?
- O tak – stwierdził zdecydowanie Sofos. – Lubię się uczyć, a mag nie jest wcale taki straszny, jak z początku myślałem.
- Nie jest? Przekazać mu, że tak powiedziałaś?
- Nawet się nie waż. Mojemu ojcu też o tym nie mów. Wiesz przecież, że spodziewa się, że mag trochę mnie zahartuje. Nie uważasz, że jest dużo sympatyczniejszy niż by się wydawało?
- Trudno mi powiedzieć – odparł Pol.
- Cóż, nie jest dla mnie nawet w połowie tak surowy jak dla Ambiadesa.
- Wygląda na to, że zostawia to jemu – zauważył żołnierz.
- Nie mam mu tego za złe. Lubię go. Jest mądry i na ogół nie zachowuje się tak... tak...
- Arogancko?
- Nieobliczalnie – dokończył Sofos. – Wydaje mi się, że coś go gryzie – Po chwili jednak zmienił temat. – Wiesz, dokąd zmierzamy?
- Nadstawiłem ucha.
- Do Attolii – padła odpowiedź, ale wtedy było to już w zasadzie oczywiste.
- I nic więcej nie wiesz? To po co tu jesteś?
- Twój ojciec kazał mi mieć na ciebie oko. I trochę cię zahartować.
- Sofos wybuchnął śmiechem.
- A tak serio?
- Już ci powiedziałem.
- Założę się, że mag potrzebował kogoś godnego zaufania, a Ojciec powiedział mu, że jeśli chce zabrać ciebie, to dostanie i mnie.

Ja natomiast założyłbym się, że chłopak miał rację.

Natrafiliśmy na stromy spadek i musieliśmy schodzić ostrożnie. Gdy dotarliśmy na dół, Pol znalazł się za Sofosem, co uniemożliwiło im dalszą rozmowę. Chłopiec podszedł więc do mnie.

– Naprawdę nosisz imię po bogu złodziei?

– Tak.

– A skąd wiadomo było, kim zostaniesz w przyszłości, kiedy byłeś jeszcze dzieckiem?

– A skąd wiadomo było, kim ty zostaniesz w przyszłości, kiedy byłeś jeszcze dzieckiem?

– Bo mój ojciec jest księciem.

– A moja matka była złodziejką.

– W takim razie ty też musiałeś zostać złodziejem?

– Większość moich bliskich tak właśnie uważała. Mój ojciec chciał wprawdzie, żebym został żołnierzem, ale czekało go rozczarowanie.

Za plecami usłyszałem chrząknięcie Pola. Niewątpliwie był zdania, że mój ojciec miał prawo się rozczarować.

– Twój ojciec? Naprawdę?

Sofos wydawał się tak zdziwiony, że odwróciłem głowę, by na niego spojrzeć.

– A co z tym nie tak? – zapytałem.

– No, to znaczy... – Sofos zrobił się cały czerwony, a ja zacząłem zastanawiać się, jak działa jego krwiobieg. Może chłopak miał jakieś dodatkowe naczynia krwionośne w okolicach twarzy, przewidziane z myślą o rumieńcach?

– Co jest dla ciebie takim zaskoczeniem? To, że mój ojciec był żołnierzem? Czy to, że go znam? Myślałeś, że jestem bękartem?

Sofos otworzył usta, po czym zamknął je nic nie mówiąc.

Zaprzeczyłem więc, jakobym był z nieprawego łoża.

– Mam nawet braci i siostry – dodałem – i wszyscy jesteśmy z tego samego ojca. – Biedny chłopak wyglądał tak, jakby chciał zapaść się pod ziemię.

– Czym się zajmują? – zapytał wreszcie.

– Jeden z moich braci jest żołnierzem, a drugi zegarmistrzem.

– Naprawdę? A potrafi składać te nowe zegarki z płaskim, a nie wypukłym tyłem? – Wydawał się szczerze zainteresowany i już miałem opowiedzieć mu, jak Stenides złożył swój pierwszy płaski zegarek jakieś dwa lata temu, ale mag zauważył, że rozmawiamy i przywołał Sofosa do siebie.

Rzuciłem jeszcze za nim głośno:

– A moje siostry nawet wyszły za mąż i są uczciwymi gospodyniami. – Przynajmniej w większości przypadków.

Wyżłobiona przez strumień dolina w żadnym miejscu nie pogłębiała się na tyle, by można było nazwać ją wąwozem. Jej ściany odchyłały się łagodnymi łukami i jedynie od czasu do czasu robiła się bardziej skalista. Schodząc, mieliśmy świetny widok na rozciągającą się przed nami Attolię oraz morze po prawej stronie. Mające na horyzoncie wyspy tworzyły przedłużenie wznoszącego się za naszymi plecami łańcucha górskiego. Na odległym krańcu attolijskiej doliny wyrastało kolejne pasmo, gdzie swój początek miała rzeka Seperchia, wijąca się przez równiny, to zbliżając się do Gór Hefestiańskich, to znów oddalając od nich nawet na wiele mil. Ostatecznie wpadała jednak prosto w ich objęcia, tuż przed wybrzeżem natrafiając na przeszkodę w postaci bocznej odnogi pogórza. Na tym odcinku góry zbudowane były głównie z wapieni, rzeka bez problemu mogła więc wyżłobić sobie przez nie drogę do Sounis, by przepłynąwszy przez królewskie miasto, ostatecznie zakończyć swój bieg w wodach morza środkowego.

– Jest tu o wiele bardziej zielono niż w domu, prawda? – odezwał się Sofos, nie zwracając się w zasadzie do nikogo konkretnego.

Miał rację. Krajobrazy Sounis malowały się głównie w odcieniach brązu i wypalonego złota, a ten kraj przyoblekał się w przeróżne odcienie zieleni. Nawet rosnące w dole drzewka oliwne pyszniły się żywszymi kolorami niż ich srebrzysto-szarzy krewniacy po drugiej stronie łańcucha górskiego.

– Docierają tu wschodnie wiatry, a wraz z nimi deszcze – wyjaśnił mag. – W Attolii suma całorocznych opadów jest dwa razy większa niż u nas.

– Eksportują stamtąd wino, figi, oliwki i winogrona, a także zboża. Mają pastwiska pozwalające im na hodowlę bydła i nie muszą sprowadzać owiec z Eddis – odezwał się Ambiades, wykazując się swoją wiedzą.

– Na bogów, więc jednak słuchałeś! – Królewski doradca wybuchnął śmiechem.

Z początku myślałem, że chłopak chociaż się uśmiechnie, ale tylko zmarszczył brwi i nie odezwał się ani słowem, dopóki nie zatrzymaliśmy się na noc, a i wtedy zrobił to tylko po to, by zrugać Sofosa. Dość dziwne zachowanie jak na kogoś, kto jeszcze wczoraj wieczorem, przy ognisku wydawał się taki zadowolony. Trudno mi było zrozumieć, dlaczego młodszy z chłopców tak go lubi, ale sam fakt nie ulegał wątpliwości. Chociaż może „uwielbia” pasowałoby tu jeszcze bardziej. Powinien jeszcze tylko zbudować mu świątynię i namówić go, by stanął na ołtarzu.

Podejrzewałem, że Ambiades na ogół bywał przyjemniejszym towarzyszem. Mag najwyraźniej nie miał zamiaru tolerować posępnego nastroju swoich uczniów. Odniosłem też wrażenie, że ceni chłopaka, mimo że od czasu do czasu zdarzało mu się nazywać go głupcem.

Po kolacji Sofos zapytał, czy są jeszcze inne mity o bogach. Mag zaczął snuć opowieść o Eugenidesie i Gromach Boga Nieba, ale niemal natychmiast przerwał.

– To twój patron – zwrócił się do mnie. – Może przedstawiś Sofosowi, kim był?

Nie byłem pewien, czego się właściwie spodziewałem, ale opowiedziałem całą historię tak, jak przekazała mi ją moja matka. Ani razu mi nie przerwał.

## NARODZINY EUGENIDESA, BOGA ZŁODZIEI

Upłynęło wiele lat od czasu stworzenia ludzi, którzy rozmnożyli się po całym świecie. Pewnego dnia, spacerując po lasach, Ziemia napotkała drwala. Jego siekiera leżała obok, a mężczyzna płakał.

– Czemu płaczesz, drwalu? – spytała Ziemia. – Przecież nie dzieje ci się żadna krzywda.

– O, Pani. Przytłacza mnie cierpienie, bo to nie mój ból doprowadza mnie do łez.

– A czyj? – chciała wiedzieć Ziemia i drwal opowiedział jej, że wraz z żoną bardzo chcieli mieć dzieci, ale im się nie udało, co tak zasmuciło kobietę, że zamknęła się w domu, płacząc. On zaś, myśląc o rozpaczony żony, sam nie mógł pohamować łez.

Ziemia otarła mu oczy i powiedziała, by wrócił w to samo miejsce za dziewięć dni, a ona obdaruje go synem.

Drwal udał się więc do domu i opowiedział żonie, co mu się przydarzyło, zaś dziewięć dni później udał się znów do lasu, by zobaczyć się z boginią.

– Gdzie twoja żona? – zapytała Ziemia.

Mężczyzna wyjaśnił, że nie chciała przyjść. Spotkać boginię w lesie to jedno, ale przekonać małżonkę, że tak się stało, to coś zupełnie innego. Kobieta uznała, że jej ukochany postradał zmysły i zaczęła płakać jeszcze bardziej.

– Idź i powiedz żonie, by przysłała tu z tobą nazajutrz – powiedziała Ziemia – albo gdy skończy się dzień nie będzie mieć ani dziecka, ani męża, ani domu.

Drwal wrócił więc do domu i powtórzył wszystko małżonce, błagając ją, by udała się z nim do lasu. Ta zgodziła się wreszcie, chcąc sprawić mu przyjemność. Następnego dnia, gdy oboje spotkali się z Ziemią, bogini zapytała:

– Czy macie kołyskę?

Kobieta zaprzeczyła. Spełnić zachciankę męża, który najwyraźniej nagle całkowicie oszalał, to jedno, ale pozwolić, by dowiedzieli się o tym wszyscy sąsiedzi, prosząc ich o pożyczanie kołyski dla dziecka, które ten ma otrzymać od bogini, to coś zupełnie innego.

– Idź i zdobądź kołyskę, ubranka oraz kocyki albo nazajutrz o tej samej porze nie będziesz mieć ani dziecka, ani męża, ani domu.

Zatem małżonkowie zapukali do drzwi sąsiadów, a byli to dobrzy ludzie. Dali więc drwalowi i jego żonie wszystko, czego ci potrzebowali, nie zadając przy tym żadnych pytań, bo wydawało im się oczywiste, że para musiała postradać zmysły.

I tak oto, kiedy następnego dnia Ziemia znów zapytała o kołyskę, małżeństwo mogło odpowiedzieć, że już ją ma.

– A ubranka? – chciała wiedzieć bogini.

– Też.

– A kocyki? I wszystkie inne rzeczy, jakich będziecie potrzebować przy małym dziecku? – Uzyskawszy potwierdzenie, Ziemia pokazała im trzymane w ramionach niemowlę. Żona drwala podeszła bliżej i zapytała:

– Czy masz dla niego imię?

Ta jednak nie miała. Bogowie znają się nawzajem, nie potrzebują więc imion. To człowiek nadaje wszystkiemu nazwy, nawet bogom.

– A więc damy mu na imię Eugenides – powiedziała kobieta. – Szlachetnie urodzony.

Małżonkowie zabrali chłopca do domu i wychowali go jak swojego syna. Co jakiś czas Ziemia odwiedzała go pod postacią staruszki, przynosząc mu przeróżne dary. Póki Eugenides był mały, takie były też i prezenty – wirujący bąk we wszystkich kolorach tęczy, bańki mydlane do zawieszenia nad kołyską, koc z kreciej skórki, by nie marzył zimą. Gdy skończył pięć lat, Ziemia ofiarowała mu dar języków, by rozumiał mowę wszystkich zwierząt. Na dziesiąte urodziny chłopiec dostał dar przyzywania, dzięki któremu mógł rozmawiać z pomniejszych bogami strumieni i rzek.

Piętnastoletniemu Eugenidesowi Ziemia chciała dać nieśmiertelność, lecz przeszkodziło jej w tym Niebo.

– Gdzie idziesz? – zapytało.

– Odwiedzić syna.

– Jakiego masz syna poza moimi?

– Mam własnego syna, wychowywanego przez drwala – wyjaśniła Ziemia, a Niebo ogarnęła wściekłość. Udało się do domu Eugenidesa i zaczęło ciskać weń gromami, aż doszczętnie go zniszczyło, a rodzice wraz z dzieckiem uciekli przerażeni do lasu. Niebo chciało ścigać ich dalej, ale las był własnością Ziemi i ukrył ludzi w jej imieniu.

Niebo rozzłościło się jeszcze bardziej.

– Nie będziesz mieć żadnych innych synów poza moimi! – krzyczało. – Nie będziesz mieć żadnego innego ludu poza moim! – I zaczęło ciskać gromy w wioski, gdzie ludzie oddawali cześć Ziemi za jej dary, omijając jednak te, w których wielbili Niebo.

Teraz to Ziemia wpadła we wściekłość i powiedziała, że nie chce jego ludu, a potem zatrzęsła się ze złości, niszcząc osady oszczędzone przez Boga Nieba. Na całym świecie wioski ludu Ziemi i ludu Nieba legły w gruzach,

plony spłonęły na polach, zwierzęta rozbiegły się w popłochu, a przerażeni ludzie modlili się o ocalenie, ale Ziemia i Niebo tak zatracili się w swej kłótni, że nie słyszeli ich błagań.

Możliwe, że wszystkie narody ziemi przestałyby wtedy istnieć, ale lamenty dotarły do uszu Hefestii, najstarszej i najpotężniejszej córki Ziemi i Nieba. Udała się ona do Nieba i zapytała:

– Dlaczego uważasz, że Ziemia nie może mieć dzieci, jeśli tylko tego chce? Spójrz na te, które sam spłodziłeś. – Wtedy Niebo przypomniało sobie o strumieniach oraz rzekach i zobaczyło, że ich bieg blokują zwęglone szczątki z pożarów wywołanych jego gromami.

Hefestia zwróciła się następnie do matki.

– Dlaczego nie chcesz ludu Nieba? Spójrz tylko na własny. – I Ziemia spojrzała na własny lud: przerażony, pozbawiony schronienia, żywności i środków do życia. Ludzi Nieba też ogarnęła bojaźń i zaczęli błagać boginię, by już się nie złościła i przebaczyła im, jeśli ją obrazili. Ziemia powściągnęła więc swój gniew i Niebo uczyniło to samo.

A Hefestia zapytała ich:

– Dlaczego ludzie mają cierpieć na tym, że złościcie się na siebie? Oddaj mi swoje gromy, Ojcze, a ty, Matko, przekaz mi swoją moc trzęsienia ziemi, by już nigdy nikomu nie stała się krzywda, gdy znów się pokłócicie.

Ziemia wyzbyła się więc swej potęgi powodującej wstrząsy, a Niebo obiecało oddać pioruny. Przynęło też, że nie skrzywdzi Eugenidesa, o ile Ziemia nie ofiaruje mu więcej żadnych darów, a nieśmiertelność zachowa jedynie dla jego dzieci. Ziemia przystała na to i nastąpiła zgoda.

Ludy Nieba i Ziemi odbudowały swoje domy, odzyskały zwierzęta i na nowo obsiały pola, ale od tamtej pory stawiały w każdej wiosce dwa ołtarze, jeden dla Nieba w podziękę za stworzenie, a drugi dla Ziemi za jej dary, bowiem wszyscy byli ludem i Ziemi, i Nieba. Zaś w szczególnie trudnych



czasach, modlili się nie tylko do Ziemi i Nieba, ale i do Hefestii, by wstawiła się za nich u swych rodziców.

– Brzmisz zupełnie inaczej, gdy snujesz opowieść – odezwał się Sofos.

– Tak właśnie – powiedziałem kwaśno – opowiadała mi tę historię moja matka.

– Bardzo mi się podobała.

– Cóż, dziś wieczorem więcej już nie usłyszysz – włączył się mag. – Eugenides i Bóg Nieba będą musieli poczekać do jutra.

Po czym zwrócił się do mnie:

– Wygląda na to, że twoja matka zrobiła z tego własną opowieść.

– Nic dziwnego – zadrwił Ambiades. – W końcu była złodziejką.

Tej nocy, po raz pierwszy od wyjścia z więzienia, spałem bardzo lekko. Obudziłem się, gdy sierp księżyca załśnił nad wzgórzami. Przewróciłem się na bok, by popatrzeć na gwiazdy i zauważyłem owiniętego w koce, siedzącego Ambiadesa.

– Dlaczego nie śpisz? – zapytałem.

– Pilnuję cię.

Spojrzałem na pogrążone we śnie trzy pozostałe osoby.

– Zmieniacie się? – Chłopak pokiwał głową. – Od jak dawna to robicie?

– Od kiedy opuściliśmy ostatnią gospodę.

– Naprawdę? A ja byłem do tej pory zbyt zmęczony, by to docenić. – Z żalem pokręciłem głową i położyłem się spać.

## Rozdział szósty

Rankiem zjedliśmy resztki pożywienia i wypiliśmy pozostałości wody, którą wszyscy poza mną nieśli w skórzanych sakwach. Chleb sčerstwiał niemalże na kamień, więc nie tylko ja wciąż odczuwałem głód, gdy posiłek dobiegł końca. Mag zaśmiał się, widząc, jak spoglądam z niesmakiem na trzymaną w dłoni pajdę. Był wyraźnie w dobrym nastroju i wydawało się, że zamierzał zapomnieć o naszych nieporozumieniach, skoro już pokazał mi, gdzie moje miejsce.

– Wiem – powiedział. – Nie musisz nawet marudzić. Obiecuję, że na drugie śniadanie dostaniesz świeży chleb.

– A kiedy to będzie?

Mężczyzna odwrócił się, by spojrzeć na biegnący przed nami szlak. Trasa opadała dość stromo, pozwalając nam ogarnąć wzrokiem rozciągającą się poniżej dolinę. Jednak widok nie był tak rozległy, jak wyżej w górach. Rzeka gdzieś zniknęła, podobnie jak morze.

– Widzisz przerwę między drzewkami oliwnymi?

Skierowałem wzrok w miejsce, które wskazywał mi mag i zobaczyłem kilka dachów, oddalonych o zaledwie trzy czy cztery mile.

– Tam dostaniemy drugie śniadanie.

– W taki razie resztę posiłku zostawię ptakom. – Cisnąłem chleb na skały otaczające nasze obozowisko. Wszyscy poza Polem podążyli za moim przykładem. Będąc żołnierzem jadał pewnie gorsze rzeczy.

Wkrótce znów znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. Płytkie koryto wyżłobione przez strumień kończyło się nagle na szczycie urwistego klifu. Sześćdziesiąt stóp niżej szumiały oliwki. Pomiedzy urwiskiem a drzewkami wystawały poszarpane skały przeróżnych rozmiarów, przypominające pianę pozostawioną przez fale. Spoglądając czy to na prawo, czy na lewo, wciąż

widziałem klif, oliwki i nieregularne granie. Przed sobą miałem natomiast ciągnący się przez wiele mil istny dywan srebrzystych drzewek, czasem wznoszący się nieco, częściej opadający ku niewidocznej rzece, przetykany wysepkami żywej zieleni w postaci dębów albo piorunochronami – samotnymi cyprysami przypominającymi miecze postawione klingami do góry. Dachy domostw pobliskiego miasta były jedynym wytworem ludzkich rąk, jaki wyłaniał się spośród drzew.

– Jak morze – odezwał się Sofos, wypowiadając na głos to, co sam sobie pomyślałem.

– Bo to jest morze – przemówił cicho mag. – To miejsce nazywane jest Morzem Oliwnym. Drzewka zasadzono ku czci jednego z dawnych bogów w tak zamierzchłych czasach, że nikt nie pamięta już, którego. Ciągną się od wybrzeża aż po granice dystopii, jakieś trzydzieści pięć mil w głąb lądu.

Ambiadesa interesowała natomiast nieco bardziej praktyczna kwestia.

– Jak mamy zejść na dół?

Rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiejś ścieżki, którą spodziewałem się znaleźć w okolicy i zagwizdałem przez zęby, gdy rzeczywiście taką znalazłem.

– Dobrze, że wszyscy porządnie sobie odpoczęliśmy – powiedziałem. – Wszyscy solidnie się wyspali, prawda? – Nikt nie wspomniał ani słowem o trzygodzinnych wartach.

– Cóż, wahanie nic tu nam nie pomoże – zakończyłem.

Dróżka zaczęła się szczeliną pozostawioną przez wielką skałę, która oderwała się od skarpy i spadła na ziemię. Jakies osiem stóp niżej znajdowała się półka. Ugiąłem kolana i zeskoczyłem, zanim mag zdążył mnie powstrzymać. Pol natychmiast ruszył za mną i wylądował tak blisko, że o mały włos, a obaj runęlibyśmy w dół zbocza. Pomogłem mu utrzymać równowagę, po czym zawołałem do Sofosa:

– Teraz ty. Połóż się i zsuń nogi przez krawędź. – Wraz z żołnierzem złapaliśmy go za kostki i ściągnęliśmy w dół. Gdy stanął obok nas, na półce zrobiło się ciasno. Postanowiłem więc przejść do następnego etapu, zostawiając Pola, by pomógł magowi i Ambiadesowi.

Nie było tu wprawdzie żadnych luźnych kamyków, które mogłyby wymykać się spod stóp, w przeciwnym razie nie chciałbym iść przodem, ale i tak obawiałem się, czy ktoś z pozostałych nie spadnie mi na głowę. Staralem się więc przemieszczać naprzód tak szybko, na ile tylko było to dla mnie bezpieczne.

Ścieżka wiła się w tę i z powrotem po klifie, zakręcając co jakieś dziesięć stóp i jednocześnie opadając o pięć. Miała jedynie około sześć cali szerokości, miejscami jeszcze mniej, i przypominała raczej bruzdę wyłobioną w skale. Dwukrotnie natrafiłem na odcinki tak strome, że musiałem usiąść i ześliznąć się w dół, chwytając się mijanych roślin, by nieco zwolnić tempo.

– „Ten szlak nie należy do zbyt często uczęszczanych. Są lepsze.” – wymamrotałem pod nosem, naśladowując głos maga. – Nie wątpię – dodałem już od siebie i zakląłem głośno, gdy podwinęła mi się noga. Szybko odzyskałem równowagę, ale uderzyłem nadgarstkiem o wystającą skałę. Znów zakląłem.

Ssąc otarcie, zbiegłem po ostatniej prostej i przedarłem się przez rumowisko na dole. Głazy u podnóża były wręcz ogromne, większe ode mnie i spoczywały na stertach mniejszych kamieni, które ściągnęły ze sobą, odrywając się od klifu. Dotarwszy na otwartą przestrzeń, zatrzymałem się, by poczekać na pozostałych. Nie poruszali się zbyt szybko.

Cała czwórka posuwała się bokiem, trzymając się obiema rękami ściany urwiska. Choć niesione przez nich plecaki były już niemal puste, w każdej chwili mogły ich przeważać – dotyczyło to wszystkich, z wyjątkiem Pola.

Żołnierz i mag zatrzymywali się co chwilę, by spojrzeć na mnie przez ramię. Odpowiedziałem im tym samym i już miałem usiąść w cieniu drzewek oliwnych, ale przypomniało mi się, że królewski doradca okazał dziś więcej uprzejmości niż zazwyczaj i chciałem, by tak zostało. Czekałem więc w pełnym słońcu, gdzie mógł mnie widzieć. Dzień był gorący i pot ściekał mi po policzkach.

Gdy wszyscy dotarli bezpiecznie na dół, usiedliśmy pod drzewkami, by odpocząć. W cieniu panował półmrok i chłód. Oliwki były już tak stare, miały tak powykęcane gałęzie i tak gęste liście, że nie przepuszczały zbyt wiele światła. Zamiast jałowca i szaławii, zazwyczaj rosnących u ich stóp, ziemię pokrywała jedynie rzadka trawa, z której gdzieniegdzie wystawały patykowate krzewy.

– Udam się do miasteczka, by kupić konie i drugie śniadanie – powiedział mag wstając i otrzepując się. – Dojście tam i z powrotem zajmie mi prawie godzinę, poza tym będę potrzebował jeszcze trochę czasu na znalezienie wierzchowców i prowiantu. Wciąż jesteśmy jeden dzień do tyłu, więc będziemy musieli jeść w drodze – dodał i zniknął pomiędzy drzewkami oliwnymi.

Pol odwrócił się i otworzył plecak, o który do tej pory się opierał.

– Nie ma sensu marnować czasu – oznajmił, wyciągając z zewnętrznych kieszeni dwa drewniane miecze. Wręczył je Ambiadesowi i Sofosowi, którzy zabrali się za trening fechtunku. Przypomniałem sobie scenę oglądaną z okna górskiej chatki i doszedłem do wniosku, że chyba jednak to nie był sen.

– Podnieście broń – rozkazał i chłopcy zaczęli ćwiczenia, z którymi byli wyraźnie dobrze zaznajomieni. Najpierw wykonali kilka skłonów i skrętów, a gdy już rozgrzali mięśnie, Pol postawił ich przeciw sobie. Pojedykowali się w skupieniu, ja zaś przyglądałem się ich potyczce z dużym zainteresowaniem. Ambiades był o wiele lepszym szermierzem, ale też

przewyższał Sofosa wiekiem o jakieś cztery, pięć lat. Młodszy z chłopców dopiero uczył się ruchów, ale wykazywał się talentem i dobrą koordynacją. Trenując z wprawnym nauczycielem, mógłby stać się niebezpiecznym przeciwnikiem. Póki co jednak był za niski i brakowało mu wprawy w posługiwaniu się bronią, więc tylko machał mieczem, mając nadzieję, że uda mu się trafić. W krytycznych momentach zdarzało mu się zamykać oczy. Skrzywiłem się, gdy Ambiades ominął zasłonę Sofosa i trzasnął go w głowę.

– Wszystko w porządku? – Starszy chłopak upuścił broń, a na jego twarzy odmalował się wyraz troski. – Myślałem, że zablokujesz. – Wyciągnął rękę, by rozmasować mu czoło, ale Pol ją odepchnął.

– Powinien. Spróbuj jeszcze raz. – Kazał Ambiadesowi powtarzać ten sam cios raz za razem, aż wreszcie Sofosowi udało się wypracować naturalną dla siebie zasłonę. Oberwał w głowę jeszcze dwukrotnie, ale starszy chłopak wyraźnie uderzał w mniejszą siłą. Za każdym razem też przeproszał i przyszło mi do głowy, że pod płaszczykiem dumy i szorstkości mogą kryć się cechy pozwalające go polubić. Wreszcie, gdy przełamał zasłonę Sofosa po raz siódmy czy ósmy, ten odsunął się na bok i zablokował atak.

– Może być – mruknął Pol, a z jego ust była to wielka pochwała, i zakończył lekcję. Chłopcy padli na trawę dysząc ciężko, a żołnierz schował drewniane miecze do plecaka. Przyjrzałem się innym plecakom. Wszystkie miały przyszyte kieszenie, także ten należący do maga. To tłumaczyłoby, dlaczego nie zrzucili bagaży z klifu, zanim zaczęli schodzić w dół. Nikt nie chciałby, żeby jego cenny miecz wylądował na kupie kamieni. Uspokoilem się wiedząc, że nie znaleźliśmy się w dziczy mając do dyspozycji jedynie broń Pola, chociaż nie byłem pewny, jaki użytek zrobiliby Bezużyteczni z własnych ostrzy, gdyby przyszło do walki. Ciekawiło mnie, czy mag albo żołnierz mieli też broń palną. Działając w imieniu króla, mieli do niej prawo, przynajmniej w Sounis. Nie była wprawdzie tak celna, jak kusza, ale za to

sprawiła mniej problemów w transporcie. Świadomość, że mamy ze sobą taką broń, dodałaby mi otuchy.

Umieściwszy miecze z powrotem w plecaku, Pol usiadł na trawie i spojrział wyczekująco na Sofosa.

– Nie stawiaj swoich słabych stron przeciwko mocnym przeciwnika? – zapytał z wahaniem chłopiec.

– A co jest twoją słabą stroną?

– Mój wzrost?

– A silną Ambiadesa?

– Lata ćwiczeń szermierczych – mruknąłem pod nosem, ale nikt tego nie usłyszał.

– Jego wzrost – zauważył słusznie Sofos.

– Nie zapominaj o tym.

Potem oszczędnie pochwalił Ambiadesa i dał mu kilka rad. Przez dłuższą chwilę rozmawiali o fechtunku jak mężczyźni. Żołnierz wyraźnie szanował słowa chłopaka, co tego wyraźnie cieszyło. Niemalże sam zacząłem darzyć go sympatią.

Do powrotu maga zostało jeszcze trochę czasu, położyłem się więc na miękkiej ziemi pod drzewkiem oliwnym i zamknąłem oczy. Gdy pojawił się królewski doradca, wszyscy spaliśmy, za wyjątkiem Pola. Przebudziłem się, słysząc coraz bliższy stukot kopyt, ale ani myślałem wstawać. Przyjemnie było leżeć i spoglądać w górę na poskręcane konary i rosnące gęsto liście. Ziemia pod moimi palcami była sypka niczym proszek. Powiewał delikatny wietrzyk, poruszający lekko mniejszymi gałązkami. Prześwitujące gdzieś tam niebo wydawało się białe od południowego żaru. Nad moją głową bzyczały muchy. Poza tym, jedynym słyszalnym odgłosem było coraz bliższe stukanie kopyt. Dopiero w ostatniej chwili dotarło do mnie, że być może to ktoś obcy, a nie mag. Zerwałem się na równe nogi, ale nie było

powodu do niepokoju.

– Dobrze wiedzieć, że ktoś zachowuje czujność, acz z opóźnieniem – oznajmił mag, wyłaniając się zza drzew. Ambiades z Sofosem wstali, by odprowadzić konie, a królewski doradca zwrócił się do Pola:

– Myślę, że dojedziemy do drogi i zostaniemy na niej przez jakiś czas. Nim dotrzemy do Profactii, zapadnie już zmierzch, będziemy więc mogli objechać ją, kryjąc się między drzewami. Noc powinna być księżycowa, także podróżowanie do późna nie powinno nastęczać większych problemów. Może uda nam się nadrobić nieco straconego czasu.

Żołnierz kiwnął głową i wstał. Pomógł Bezużytecznym zapakować do toreb podróżnych kupione przez maga zapasy, po czym wszyscy wsiedliśmy na konie i ruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy wolno pomiędzy drzewami, jedząc świeży chleb, ser i oliwki. Przez większość czasu musieliśmy niemalże kłaść się na szyjach naszych wierzchowców, które przechodziły pod gałęziami nie zważając na to, czy zmieszczą się pod nimi także niesieni przez nich jeźdźcy. Z osłami nie byłoby tego problemu. Tyle, że osły zostałyby daleko w tyle za końmi, kiedy już dotarlibyśmy do drogi.

Przyspieszyliśmy. Wciąż byłem głodny, ale dałem sobie spokój z jedzeniem. Trzymanie się konia jedną ręką, a wkładanie sobie kolejnych kęsów do ust drugą sprawiało mi sporą trudność. Mając po bokach Pola i Ambiadesa, obijałem się w siodle, aż wreszcie przyzwyczailem się do tego. Mag przestrzegł chłopców, by nie odzywali się, kiedy znajdowaliśmy się w zasięgu słuchu innych podróżnych. Ich akcent wyraźnie wskazywał, że pochodzili z wyższych klas Sounis.

– Ty nie musisz się niczym martwić, Genie – zwrócił się do mnie kpiąco.

– Ach tak?

– Mowy attolijskiego rynsztoka nie sposób odróżnić od sounijskiego – powiedział. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a ja razem z nimi. Byłem



dumny ze swojego slangu i połykanych końcówek wyrazów.

Gdy znaleźliśmy się sami na drodze i akurat jechaliśmy stępa, by dać koniom odpocząć, Sofos zapytał, co by się stało, gdyby ktoś rozpoznał, że nie pochodzimy z Attolii.

– Nic. – Mag wzruszył ramionami. – Kupcy wciąż przyjeżdżają tutaj prowadzić interesy. Handel zamarłby tylko w przypadku otwartej wojny, a może i wtedy nie.

– A gdyby dowiedzieli się, *dłaczego* tu jesteście? – Tym razem to ja włączyłem się do rozmowy.

Królewski doradca rzucił mi ostre spojrzenie.

– Zapewne zostalibyśmy aresztowani i oddani w ręce królowej. – Odniosłem wrażenie, że resztę chciał pominąć milczeniem.

– A co ona by zrobiła? – Nie dałem za wygraną.

– Kazałaby skrócić nas o głowy. Publicznie.

Zadrzałem i potarłem kark dłonią. Ambiades zrobił się zielony. Przez resztę dnia był drażliwy i niemiły.

Kiedy dotarliśmy do Profactii, zaczynało już zmierzchać i ruch znacznie się natężył. Wlekliśmy się noga za nogą, aż wreszcie droga opustoszała. Zniknęliśmy wtedy pośród gajów oliwnych, gdzie czekaliśmy, aż Pol i mag uznają, że plantatorzy wrócili do domów na noc. Jechaliśmy w ciszy między drzewami, przez co nie było nam dane zobaczyć choćby kawałka miasta. Nieco mnie to rozczarowało. Po jakimś czasie wróciliśmy na drogę, niewidziani przez nikogo. Na niebie świecił księżyc. Nocne powietrze tchnęło chłodem, wyciągnęliśmy więc płaszcze z toreb podróżnych. Trzymaliśmy się blisko drzew niczym rabusie i wciąż posuwaliśmy się naprzód, aż poczułem się niemal całkowicie wyczerpany. Dopiero gdy księżyc zaczął zachodzić, mag skierował konie pomiędzy oliwki, by poszukać miejsca na obozowisko. Kolację zjedliśmy na zimno i poszliśmy

spać nie rozpalając ogniska.

Pol urządził nam pobudkę przed świtem, a królewski doradca wprowadził nas głębiej między drzewa, kierując się wskazaniem kompasu, zamkniętego w brązowym, skórzanym futerale. Po jakiejś godzinie, gdy słońce zaczynało mocniej przygrzewać, zatrzymaliśmy się na śniadanie na niewielkiej polance, gdzie kilka oliwek obumarło, ale nie zostało zastąpionych przez świeże sadzonki. Posiłek składał się jedynie z chleba i sera, ale oprócz tego żołnierz zagotował wodę na małym ogniu i zaparzył kawę słodką jak ulepek.

– To nas obudzi – powiedział.

Nieopodał przepływał niewielki strumień. Mag zasugerował, by wszyscy obmyli się nieco przed dalszą podróżą, po czym wraz z Sofosem i Polem zrzucił ubrania i wszedł po kostki do zimnej wody. Po krótkiej chwili wahania postanowiłem do nich dołączyć. Nie chciałem, żeby odnieśli wrażenie, że lubię być czysty, ale chłód strumienia działał orzeźwiająco. Jedynie Ambiades pozostał na brzegu, wciąż owinięty w swój płaszcz i z kubkiem stygnącej kawy przed sobą. Milczał przez cały rano i, jak sobie przypomniałem, także przez cały poprzedni wieczór – nie szydził ze mnie ani nie drwił z Sofosa. Wyraźnie ani w głowie była mu kąpiel i zacząłem zastanawiać się, jakie to ponure myśli kłębiły mu się w głowie, gdy nagle chłopak podskoczył jak oparzony. To mag ochlapał go zimną wodą.

– Chodź się umyć – powiedział. Ambiades posłusznie wstał i zrzucił płaszcz z ramion. Okrycie upadło na ziemię obok tego należącego do młodszego chłopca i wyglądało przy nim dość żałośnie. Pozostałe płaszcze były dobrej jakości, ale zupełnie zwyczajne. Mój prawdopodobnie stanowił własność maga, tyle że został obcięty. Pol przyodziewał się w prostą, wojskową pelerynę, ale okrycie Sofosa niewątpliwie pochodziło z najwyższej półki. Wykonano je z drogiej tkaniny, doskonale skrojono, nie szczędząc przy tym materiału i przyozdobiono eleganckim, jedwabnym frędzlem

zwisającym z tylnego obrzeża. Natomiast płaszcz Ambiadesa, o dużo oszczędniejszej fasonie, był krzykliwy, ale niemodny, a do tego znaczył go rząddek kiepsko zacerowanych dziur, ciągnący się od szyi po dolną krawędź – pozostałość po molach podgryzających go przez całe lato.

Zanurzywszy stopy w wodzie, chłopak spojrzął na wychodzących właśnie na brzeg maga i Sofosa. Jego oczy zwęziły się, ja zaś poczułem, jak jeża mi się włoski na karku. Potrafiłem poznać zazdrość. Wiedziałem też, jakie szkody może przynieść. Ambiades pochwycił mój wzrok i nagle zazdrość zastąpiła pogarda. Jedna rzecz była dla niego oczywista ponad wszelką wątpliwość – moja nic nieznacząca pozycja we wszechświecie.

– Na co się gapisz, rynsztokowy śmieciu? – warknął.

– Na Pana Szmat i Łachmanów – odpowiedziałem z fałszywym uśmiechem, kłaniając się nisko i wskazując na jego zniszczone okrycie.

Chwilę później leżałem już w zimnej wodzie. Słońce świeciło mi prosto w oczy, a w uszach dzwoniło. Ambiades stał nade mną, krzycząc, że jego dziadek był kiedyś księciem czegośtam. Już miał zamiar mnie kopnąć, ale pojawił się Pol i położył rękę na ramieniu chłopaka, odciągając go na bok. Słońce przesłoniła mi twarz maga.

– Osoba znajdująca się w twoim położeniu powinna wykazać się większą powściągliwością, Genie – powiedział łagodnie. – A potem powinna przeprosić.

Zaiste, nie znajdowałem się w najlepszym położeniu, ale łatwo można było to zmienić. Podciągnąłem kolana do klatki piersiowej, przetoczyłem się na bok i stanąłem na nogi.

– Przeprosić? – zwróciłem się do królewskiego doradcy. – A za co? – Odszedłem, trzymając się za puchnącą wargę i zlizując krew z kącika ust. Przystanąłem na chwilę, by podwędzić komuś grzebień z otwartej torby, po czym usiadłem na pniu obumarłej oliwki z zamiarem pozbycia się kołtunów z

włosów, a jeśli dobrze pójdzie także i pewnej ilości więziennych wszy. Pol zapakował z powrotem swój dzbanek do kawy. Ambiades z Sofosem zabrali się za siodłanie koni.

Mag przyglądał się temu, co robiłem. Po chwili otworzył usta, by coś powiedzieć. Spodziewałem się, że każe mi obciąć włosy, ale zamiast tego zapytał ostro:

– Skąd masz ten grzebień?

Spojrzałem z zaskoczeniem na trzymany w dłoni przedmiot. Był ładny, a zapewne też bardzo kosztowny. Wykonano go z szylkretu. Miał długie zęby i końce inkrustowane złotem.

– To chyba Ambiadesa – wykrztusiłem wreszcie. Wyjąłem go z jego sakwy.

Chłopak odwrócił się tak gwałtownie, że koń, którego siodłał, stanął dęba w popłochu. Pozostawił szarpiące się na uwięzi zwierzę, podszedł do mnie i wyrwał mi z dłoni grzebień. Zamierzył się do ciosu, ale tym razem byłem na to przygotowany, więc gdy zrobiłem unik, trafił mnie tylko w ramię. Mimo to jednak udało mu się strącić mnie z pniaka, na którym siedziałem. Upadłem na ziemię bez szwanku, ale rozdarłem się, że złamał mi rękę.

Po raz drugi tego ranka, zobaczyłem nad sobą twarz maga. Tym razem malował się na niej wyraz niepokoju.

– Upadłeś na nią? – zapytał, pochylając się nade mną.

– Nie, chodzi o tą, w którą mnie uderzył – odparłem. – Złamał mi rękę. – Było to perfidne kłamstwo, więc kiedy tylko królewski doradca zdał sobie z tego sprawę, spojrzał na mnie z niesmakiem i odszedł, kierując swe kroki w stronę Ambiadesa.

Następnie, dostatecznie głośno, by wszyscy go słyszeli, zaczął tłumaczyć chłopakowi, że gdybym upadł na rękę, mógłbym zwichnąć sobie nadgarstek, a wtedy stałbym się zupełnie bezużyteczny.

– Wydawało mi się, że wyjaśniłem ci to dokładnie kilka chwil temu. – Każde ze słów podkreślał uderzeniem w głowę sygnetem. Leżałem na ziemi, słuchając krzyków Ambiadesa, wielce niezadowolony z faktu, że traktowano mnie jak narzędzie, choćby i cenne.

Zakończywszy swój wykład, mag kazał chłopakowi dokończyć siodłanie koni, a sam zabrał się za pakowanie mydła i brzytwy do swojej torby podróżnej. Widziałem, jak z zafrapowanym wyrazem twarzy kilkakrotnie podnosił wzrok, jednak nie po to, by spojrzeć na mnie, a na Ambiadesa. Jeśli wydawało mu się, że biciem wymusi na nim uprzejmość, to grubo się mylił. W oczach chłopaka jarzyła się wściekłość.

Sofos, który uporał się właśnie z siodłaniem własnego konia oraz wierzchowca Pola, pożyczył mi swój grzebień. Powiedziałem mu, że jest o wiele za miły jak na przyszłego księcia. Chłopiec oblał się rumieńcem i wzruszył ramionami.

– Wiem – powiedział.

– Jego ojciec też o tym wie – warknął Ambiades, pochylając się w siodle, gdy nas mijał.

Nie był to najlepszy początek dnia. Starszy z chłopców dąsał się przez prawie cały ranek, a młodszy jechał zgarbiony, próbując nie zwracać uwagi na wiszące w powietrzu napięcie. Co jakiś czas dotykałem palcami ust, by sprawdzić, jakiej były wielkości.

– Codziennie człowiek uczy się czegoś nowego – mruknąłem pod nosem.

– A czego się nauczyłeś? – zapytał Sofos.

– Mam nadzieję, że trzymać język za zębami.

– To znaczy nie przechwalać się w winiarniach, że zamierzasz ukraść królewską pieczęć?

– Nie do końca to miałem na myśli – odparłem – ale możesz iść o zakład, że i tego więcej nie zrobię. Powiedz mi, skoro Ambiades ma takiego wysoko

postawionego dziadka, to dlaczego nie nosi lepszego płaszcza?

Zanim odpowiedział, Sofos upewnił się, że starszy chłopak jechał przed magiem i znajdował się poza zasięgiem słuchu.

– Jego dziadek był księciem Eumenu.

Potrzebowałem chwili na zastanowienie.

– Tego od spisku? – Też mówiłem ściszym głosem. Normalni ludzie nie rozmawiali głośno o spisku eumeńskim.

– Próbowałem przywrócić oligarchię, ale zostałem stracony, a jego rodzina utraciła ziemie i tytuły. Wydaje mi się, że ojciec Ambiadesa odziedziczył trochę pieniędzy, ale większość z nich przegrał. Kiedy zeszłej zimy Ambiades napisał do niego, że potrzebuje nowego płaszcza, ten przysłał mu jedno ze swoich starych okryć.

– Aha. Biedny Ambiades.

Sofos spojrzał na mnie z ukosa.

– Jak może patrzeć z góry na plebs, kiedy jest tak samo biedny jak wszyscy inni, a do tego jeszcze nie ma ziemi? Założę się, że jest to dla niego bolesnym ciosem, kiedy budzi się co rano.

Trzymaliśmy się z dala od dróg. Choć minęliśmy ich już wiele, kluczyliśmy ostrożnie między drzewami i przez większość czasu utrzymywaliśmy powolne tempo. Co jakiś czas mag zerkał na kompas, by upewnić się, że zmierzamy we właściwym kierunku.

Zatrzymaliśmy się wczesnym wieczorem, jako że światło księżyca nie było w stanie przedrzeć się przez rosnące gęsto liście. Znajdowaliśmy się na tyle daleko od najbliższego miasta, że mag pozwolił rozpalić większe ognisko, a Pol przyrządził potrawkę z części suszonego mięsa. Jedliśmy w ciszy. Milczenie przedłużało się także po kolacji i stawało się coraz bardziej nerwowe. Wreszcie mag postanowił je przerwać.

– Skoro Gen pozwolił sobie na opowiadanie starych mitów, to chyba i ja

mogę – powiedział i zaczął snuć kolejną historię o dawnych bogach.

## EUGENIDES I GROMY BOGA NIEBA

Po kłótni z małżonkiem, Ziemia powierzyła Hefestii swą moc trzęsienia ziemi. Niebo obiecało oddać jej swe gromy, ale wciąż z tym zwlekało, podając wymówkę za wymówką. A to, że posłał je do czyszczenia, a to, że pożyczył przyjacielowi, a to, że pozostawił je przy strumieniu, będąc na polowaniu. Wreszcie Hefestia zwróciła się do matki z pytaniem, co powinna zrobić, a ta posłała po Eugenidesa.

Ziemia obiecała, że nie da swojemu synowi już żadnego daru poza tymi, które przyznała wszystkim ludziom. Powiedziała więc Eugenidesowi, że jeśli ten chce zdobyć atrybuty należne bogom, będzie musiał zrobić użytek ze swego sprytu. Była to cecha, jaką otrzymali wszyscy ludzie, jednak mało kto mógł pochwalić się aż takim jej nagromadzeniem, co syn drwała. Ziemia wyjawiała mu też, że co jakiś czas, wieczorami, Niebo zwykło sypiać z jedną z bogiń górskich jezior, a wtedy odkładało swe gromy na bok.

Eugenides udał się więc najpierw do swej matki i poprosił ją o koc z kreciej skórki, którym okrywała go, gdy był dzieckiem. Następnie zaniósł go do krawca Olktemenesa i poprosił go, by ten uszył z niego odzienie, tunikę i spodnie. Potem poszedł do lasu i wybłagał po piórze od każdego drozda, a z zebranymi odwiedził tkaczkę Olmię, której polecił wykonanie pierzastego kapelusza. Wreszcie wspiął się na górę, ku jeziorom i ukrył się pośród drzew, by poczekać na Boga Nieba.

Kiedy ten pojawił się późnym wieczorem, wyjął gromy zza pasów na ramionach i położył je na ziemi obok jeziora. Wstrzymawszy się, aż zapadnie cisza, Eugenides zaczął niemal bezszelestnie przedzierać się przez krzaki, lecz mimo to jezioro go usłyszało.

– Cóż to porusza się, tam w krzakach? – zapytało.

Niebo spojrzało w tamtą stronę i dostrzegło rękaw tuniki Eugenidesa.

– To tylko kret wychodzi na żer o zmierzchu – powiedziało.

Eugenides zaczął poruszać się jeszcze ciszej, ale mimo to i tym razem zdradził się przed jeziorem.

– Cóż to porusza się, tam w krzakach? – zapytało ponownie.

Niebo rzuciło okiem od niechcenia i dostrzegło krawędź pierzastego kapelusza.

– To tylko drozd układa się do snu pośród gałęzi – odpowiedziało.

Eugenides postanowił więc zachować jeszcze większą ostrożność i ostatecznie ani Niebo, ani jezioro nie usłyszało, gdy wymknął się ze skradzionymi gromami i zaniósł je na drugą stronę góry.

Zapadł już zmrok, gdy Niebo postanowiło odzyskać pozostawione gromy, więc nie mogąc ich odnaleźć, pomyślało z początku, że szuka w niewłaściwym miejscu. Zaczęło przeczesać całe góry i nim zdało sobie sprawę, że ktoś musiał je zabrać, zdążył nastać nowy dzień.

Zauważywszy wędrującego po równinie u stóp góry Eugenidesa, Niebo zatrzymało go i zażądało zwrotu swej własności. Ten jednak odpowiedział, że nie ma gromów, a Niebo widziało wszak doskonale, że mówi prawdę.

– W takim razie powiedz mi, gdzie one są – rozkazało, lecz Eugenides odmówił.

– Pochwyć cię w dłonie i zetrę na miazgę – zagroziło, lecz i to nie zrobiło na chłopaku wrażenia. Wiedział w końcu, że Niebo nie mogło zrobić mu krzywdy, nie łamiąc przy tym złożonego Ziemi przyrzeczenia. Niebo straszło go coraz to okrutniejszymi wizjami i Eugenidesa zaczęło ogarniać przerażenie, jednak nie zamierzał się ugiąć. Wreszcie bóg zgodził się dać mu to, o co ten poprosił, w zamian za informację o jego gromach.

Chłopak chciał wody ze źródła nieśmiertelności.

Niebo ogarnęła wściekłość. Eugenides zdrzał, ale ani myślał ustąpić, bo odwagę, zarówno on, jak i wszyscy inni ludzie, otrzymali od Ziemi w nadmiarze.

Wreszcie Niebo udało się do źródła i przyniosło stamtąd kielich wody, ale przed wręczeniem go Eugenidesowi, obsypało jego krawędź sproszkowanym korzeniem koleusa.

W zamian, chłopak wyznał, gdzie ukrył gromy:

– Poszukaj na tronie mej siostry w jej komnacie, skąd będzie rządzić pomniejszymi bogami, a tam je znajdziesz. – Po czym napił się wody z kielicha. Skrzywił się jednak, poczuwszy gorycz korzenia koleusa.

– Zatopiony w wodzie życia, koleus nie zrobi ci krzywdy. Przepelnił jednak napój goryczą, tak jak i ja przepelnię goryczą twój żywot – powiedziało Niebo i odeszło. W poszukiwaniu swych gromów, udało się do Wielkiej Sali Bogów i skierowało ku tronowi Hefestii, gdzie znalazło i je, i swą córkę. Gromy spoczywały bezpiecznie na jej kolanach. Nie wspomniawszy ani słowem o Eugenidesie, Hefestia podziękowała ojcu za dotrzymanie przyrzeczenia, więc Niebo nie mogło w żaden sposób zaprotestować.

Tak oto Niebo uczyniło Eugenidesa nieśmiertelnym i przekazało córce potęgę swych gromów. Dzierżąc w dłoniach moce matki i ojca, Hefestia stała się władczynią wszystkich bogów, za wyjątkiem pierwszych z nich.



- Dobra robota – pochwaliłem maga, gdy ten zakończył opowieść.
- Ależ dziękuję bardzo, Genie.

Wydawało mi się, czy też był szczerze zadowolony?

# Rozdział siódmy

Dobre relacje między mną a magiem zakończyły się następnego ranka, kiedy to Pol odkrył, że zniknęła większość zapasów żywności z jednego z pakunków. Przywołał do siebie maga i zaczęli rozmawiać ściszymi głosami, raz po raz zerkając na mnie. Królewski doradca też zajrzał do juków i zaklął. Powiedział coś szeptem do żołnierza i obaj ruszyli w moją stronę. Mag trzymał w dłoni swój bat jeździecki. Ostrożnie podniosłem się z miejsca, gdy podeszli bliżej.

– Mam nadzieję, że dobrze sobie podjadłeś? – zapytał królewski doradca.

– Ostatnimi czasy nie miałem takiej okazji – wypaliłem i dopiero po fakcie zorientowałem się, że inna odpowiedź sprawdziłaby się dużo lepiej.

– Trzymaj go. – Mag uniósł bat. Próbowałem wywinąć się, gdy Pol chwycił mnie za rękę, ale było już za późno. Zaparłem się mocno stopami, próbując wytrącić go z równowagi, ale jedyne co udało mi się osiągnąć, to fakt, że unieruchomił mi głowę pod pachą. Objąłem go za kolana i chciałem przewrócić, ale ostatecznie obaj wylądowaliśmy na ziemi, a co gorsza on na mnie. Przygwoździł mnie do podłoża, kładąc mi się na głowie niemal całym ciężarem ciała, a królewski doradca smagał mnie batem po plecach i ramionach.

Wywrzaskiwałem przekleństwa – sam nie jestem pewien jakie – w trawę i ze wszystkich sił usiłowałem wydostać się spod Pola, ale było to absolutnie niewykonalne. Żołnierz napał mocniej, wciskając mi twarz w glebę, aż straciłem siły, by krzyczeć. Mag zadał jeszcze kilka ciosów i na tym się skończyło. Żołnierz puścił mnie wolno, a ja chwyciłem się jego koszuli, by podciągnąć się do góry. Nawet mi w tym pomógł. Kiedy tylko stanąłem znów na nogach, walnąłem go tuż pod mostek i kiedy próbował złapać oddech, skierowałem się w stronę maga. Nigdy w życiu nie byłem tak

wściekły. Nawet w królewskim więzieniu tak mnie nie upokorzono. Nie jestem pewien, co by się stało, gdyby Pol nie złapał mnie za ramię i nie odciągnął, stając – przygarbiony i dyszący ciężko – pomiędzy mną a królewskim doradcą. Magowi wystarczyło jedno spojrzenie na moją twarz, by zacząć szybko się wycofywać.

Patrzyliśmy na siebie, a ja słyszałem tylko jeden dźwięk – ciężki oddech żołnierza. W głowie kłębiło mi się od tak wielu rzeczy, które chciałem wykrzyczeć, że nie potrafiłem wykrztusić z siebie choćby jednej z nich. Może to i dobrze. Gdyby wydostała się choć jedna, za nią poszłyby i wszystkie inne. Jak on śmie traktować mnie w taki sposób? Jak on śmie? Ostatecznie splunąłem mu w twarz. Mag odskoczył, chcąc uniknąć ataku, a ja odwróciłem się i odszedłem. Rzuciłem się brzuchem na swoje posłanie i zakryłem głowę ramionami. Zagrzebałem twarz w wełnianej tkaninie płaszcza, fałdującego się pode mną, ale poza tym nie poruszyłem się ani razu, podczas gdy Pol zajmował się przygotowaniem śniadania, które pozostali zjedli, po czym zwinęli obozowisko.

Żołnierz podszedł do mnie i dotknął delikatnie mojego łokcia.

– Wstawaj – powiedział cicho. Nie zaoferował mi swojej pomocy, a kiedy stanąłem na nogi zorientowałem się, że stał poza zasięgiem moich rąk i przyglądał mi się w skupieniu, przeniósłszy ciężar ciała na palce stóp.

Sofos przytrzymał za uzdę mojego konia. Podprowadził go do pniaka, z którego mógłbym wsiąść na grzbiet wierzchowca, ale zignorowałem tę pomoc i odepchnąłem zwierzę na bok. Chłopiec podszedł z drugiej strony i chciał mnie podsadzić, ale i na niego nie zwróciłem najmniejszej uwagi. Włożyłem stopę w strzemię i odbiłem się od ziemi, lądując w siodle. Ostro ściągnąłem wodze, by nie wysliznęły mi się z rąk, aż zaskoczony koń szarpnął głową.

Wziąłem głęboki wdech i zacząłem powoli wypuszczać powietrze.

Wyraźnie wyczuwałem, że mam ściągnięte brwi i zęby zaciśnięte tak mocno, że drgały mi mięśnie szczęki. Odetchnąłem jeszcze raz i przypomniałem sobie, że przecież nie byłem zły na konia. Jedynie własna ambicja trzymała mnie wciąż przy magu. Gdybym tylko chciał, mógłbym porzucić tę grupkę przeintelektualizowanych poszukiwaczy przygód. Nie zatrzymałby mnie ani Pol, ani nagroda wyznaczona przez króla, ale chciałem stać się kimś wpływowym. Chciałem być pierwszą osobą od wielu setek lat, której uda się ukraść Dar Hamiataesa. Chciałem być sławny. Nie mogłem jednak ukraść tego cholerstwa, nie wiedząc, gdzie ono jest, a tylko mag mógł wskazać mi miejsce jego ukrycia. Musiałem więc trzymać się go do momentu odnalezienia kamienia, ale obiecałem sobie, że pewnego dnia dźgnę jego arogancję ostrym nożem i porządnie nim pokręcę.

Mag i Pol dosiedli swych wierzchowców.

– Czyli pojedziemy na zachód, a potem wzdłuż strumienia i będziemy szukać jakiejś wioski? Myślisz, że to najlepsze wyjście? – zapytał królewski doradca.

Żołnierz kiwnął głową. Mag schował trzymaną w dłoni mapę do torby za siodłem.

– W takim razie tędy – powiedział i zagłębił się między drzewa. Mój koń, jak zwykle, ruszył tuż za jego.

Jadąc, przyglądałem się swojej furii z pewnym dystansem.

Byłem tak wściekły, że udało mi się wystraszyć maga i to pomimo faktu, że dzielił nas Pol. Było to dla mnie zupełnie nowe doświadczenie, postanowiłem więc ponapawać się nim przez jakiś czas. Cieszyło mnie ponadto, że udało mi się utrzymać język za zębami. Źródłem najboleśniejszych przeżyć w moim życiu zawsze było powiedzenie czegoś, czego nie powinienem był mówić. Odniosłbym zapewne same korzyści, gdybym nauczył się choć trochę panować nad językiem.

– Wszystko w porządku? – zapytał szeptem Sofos.

Spojrzałem na niego spod wciąż zmarszczonych brwi.

– No pewnie.

W gruncie rzeczy była to prawda. Bat nie był wystarczająco ciężki, by spowodować poważniejsze uszkodzenia. Ubrania, jakie dostałem od maga, zostały uszyte z gęsto tkanego materiału, ochroniły więc skórę przez zranieniem. Nie zostałem w żaden sposób okaleczony. Moje plecy płonęły żywym ogniem, ale ból zelżeje przed nastaniem zmroku, a gdy dotrzemy wreszcie tam, gdzie zmierzamy, będę w stanie wykonać swoją robotę. Królewski doradca nie zrobiłby niczego, co mogłoby wpłynąć negatywnie na moją użyteczność.

Dotarliśmy do płytkiej rzeczki okolonej krzewami i ruszyliśmy w górę jej biegu, aż wreszcie natrafiliśmy na wolną przestrzeń między gajami oliwnymi, gdzie zasadzono inne uprawy. Mag zawrócił konia i wprowadził nas z powrotem między drzewa.

– Gdzieś niedaleko musi znajdować się miasteczko. Pojadę tam z Polem, żeby dokupić więcej żywności. Ambiadesie, będziesz odpowiadał za wszystko. I, na miłość bogów, nie spuszczaaj złodzieja z oka. – Nawet na mnie nie spojrzał, ale starszy chłopak obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem.

Zauważyłem, że przestałem być „Genem”, a stałem się znów czymś w stylu zawodnego zwierzęcia, jakby krową, która najzwyczajniej w świecie może sobie gdzieś zawędrować. Mag i Pol zostawili nam swoje wierzchowce oraz bagaże i odeszli ścieżką prowadzącą wzdłuż rzeki do miasteczka. Oddali nam też całe jedzenie, jakie jeszcze zostało w torbach i kazali nam spożyć je na drugie śniadanie. Sofos otworzył sakwy i wyjął z nich chleb oraz kilka kawałków ciepłego, otłuszczonego sera. Kiedy podał mi bochenek, bym go podzielił, zostawiłem dla siebie większą część, a resztę oddałem

Ambiadesowi. Chłopak zaprotestował.

– W ogóle nie jadłem cholernego śniadania! – warknąłem, a ten się wycofał. Najwyraźniej mój gniew wciąż wywierał należyty efekt. Ambiades nie wspomniał też ani słowem o przyczynie, dla której przegapiłem poranny posiłek.

Zjedliśmy chleb i oślizgły ser, po czym zabraliśmy się za żucie pasków suszonego mięsa.

– Wciąż jestem głodny – odezwał się z żalem Sofos.

Nic nie mówiąc, skrzyżowałem dłonie na piersi. To ich problem.

– Moglibyśmy złowić kilka ryb – zaproponował Ambiades. – Pol ma w plecaku żyłkę i haczyki.

Młodszy z chłopców spojrzał na mnie.

– Nie licz na moją pomoc – oznajmiłem.

– Nigdy na nią nie liczymy, Genie, ale założę się, że jeśli nałapiemy trochę ryb, będziesz pierwszy do jedzenia – powiedział Ambiades.

– Może ja będę łowił, a ty go przypilnujesz – wtrącił się Sofos. Zauważyłem, że i on zdegradował mnie do roli zawodnego inwentarza.

– Jesteś w tym beznadziejny. Szarpiesz za żyłkę i gubisz przynętę.

– No to ja go przypilnuję, a ty łów.

Ambiades tylko prychnął.

– Nie byłbyś w stanie go powstrzymać, gdyby wstał i tak po prostu sobie odszedł. Nie. Lepiej go zwiążmy.

– Co to, to nie – zaprotestowałem.

– Ale jak? – zapytał Sofos, całkowicie mnie ignorując.

– W plecaku maga jest lina. Przynieś ją. – Chłopiec odszedł, ale ja ani myślałem dać za wygraną.

– Nie ma mowy o żadnym wiązaniu. Mag kazał wam mnie pilnować. Nie wspominał o pójściu na ryby.

– Zamknij się – uciał Ambiades. – To twoja wina, że nie ma co jeść.

– Nie – odparłem. – Nie dam się związać.

Siedziałem na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Kiedy chłopak pochylił się nade mną z liną, odtoczyłem się na bok. Rzucił się na mnie, urażając moje obolałe ramiona, a ja natychmiast się rozdarłem. Korzystając z okazji, nasunął mi na dłoń pętlę ze sznura i zacisnął, trąc przy tym świeży, różowy naskórek, którą pokryły się niemal wygojone rany.

– Przestań – zawołałem. Złapałem za linę, by nie wbijała mi się mocniej w nadgarstek, i próbowałem zsunąć pętlę z dłoni, ale powróż zdążył już zagłębić się w delikatnej skórze. Ambiades szarpnął, wyrrywając mi sznur i zacieśniając więzy.

– Nie ruszaj się albo zawiążę jeszcze mocniej – powiedział, a ja dałem za wygraną. Siedziałem nieruchomo, podczas gdy chłopcy krępowali mi stopy i dłonie, ale nie przestawałem narzekać.

– Dopilnuj, żeby było ciasno – Ambiades poinstruował Sofosa, pętającego mi kostki.

– Za ciasno – jęknąłem. – Związałeś mi ręce za ciasno.

– Zamknij się.

– Jesteś pewny, że nie za ciasno? – zapytał Sofos.

– Oczywiście, że tak. Skończyłeś?

– Ambiadesie – podjąłem ostateczną próbę przekonania chłopaka – związałeś mi ręce za ciasno. Nie czuję palców. Musisz trochę rozluźnić więzy.

– Może rzeczywiście powinieneś coś z tym zrobić – poparł mnie Sofos.

– Nie bądź głupi, tylko tak gada. Popatrz, z jego rękami nic się nie dzieje.

– Nieprawda! Spójrz. – Podsunąłem dłonie młodszemu chłopcu pod nos. Różowa skóra po obu stronach sznura zdążyła już napuchnąć, ale on przyglądał się palcom.

– Nie zsiniały.

– Ale wkrótce zsinieją.

– Wcale nie. Chodź, Sofosie. – Ambiades wyjął sprzęt do połowu ryb z plecaka Pola i pociągnął młodszego chłopca za sobą.

Z początku chciałem krzyknąć za nimi, żeby wrócili, ale bałem się, że z powodu bliskości attolijskiego miasta, mógłby mnie usłyszeć ktoś zupełnie inny. Ciekawski wieśniak mógłby zamknąć nas w piwnicy do czasu przybycia królewskich gwardzistów. Nie chciałem zostać publicznie stracony, a więzy nie były znowu aż tak ciasne, żebym nie mógł jeszcze chwilę się przemęczyć. Powtarzałem sobie, że wkrótce pojawi się mag albo któryś z Bezżytecznych. Siedziałem więc i patrzyłem, jak sinieją mi ręce.

Ambiades i Sofos wrócili znad strumienia dopiero wtedy, gdy zobaczyli zbliżającego się Pola. Znaleźli mnie leżącego na boku, oddychającego cicho i próbującego wysiłkiem woli przepchnąć krew poza krępujące mnie więzy. Moje dłonie spuchły i pokryły się plamami.

– O nie – jęknął Sofos.

– Przecież ostrzegałem – syknąłem. – Rozwiążcie mnie. Tylko *ostrożnie!*

– Ambiades zaczął ciągnąć za sznur, a ból niemalże mnie obezwładnił. Pod wpływem jego szarpaniny, pęta zacisnęły się jedynie jeszcze bardziej.

– Przestań, przestań – krzyknąłem. – Zostaw je. Lepiej je przetnij. – Chłopak nie słuchał. Udało mu się poluzować jedną pętlę, którą przecisnął przez moją dłoń, zdzierając mi skórę z knykci. – *To boli!* – Gdy Pol wpadł na polanę, stałem się cały jednym wielkim wrzaskiem. Żołnierz odepchnął Ambiadesa i spojrzał na moje ręce oraz leżące w pyle, zapomniane ryby.

– Wy dwaj, idźcie nałapać więcej.

Zrobiwszy kilka niepewnych kroków, obaj chłopcy odwrócili się i zniknęli pospiesznie w przybrzeżnych krzakach. Pol tymczasem zabrał się za ostrożne usuwanie moich pęt. Nie próbowałem nawet pojękiwać znacząco.



Leżałem zupełnie cicho, podczas gdy Pol rozciął krępujące mnie liny i tylko syknąłem krótko, gdy zsunął je z miejsc, gdzie wżynały się w skórę.

Następnie zaczął rozprostowywać moje przykurczone palce.

– Zostaw – powiedziałem.

– Trzeba je rozruszać. Nagromadziło się tam dużo krwi.

– Zrobię to – obiecałem. – Sam.

Po krótkiej chwili mężczyzna kiwnął przyzwalająco głową.

– Gdzie mag? – zapytałem.

– Wysłał mnie przodem z częścią żywności. I całe szczęście. – Pol spojrział w kierunku rzeki. – Nie musi o tym wiedzieć.

– Owszem, musi. – W tamtej chwili najchętniej oglądałbym Ambiadesa obdzieranego żywcem ze skóry.

– Nie, nie musi. – Żołnierz pochylił się niżej, by móc spojrzeć mi w oczy.

– Mag rzucił na szalę całe swoje życie oraz reputację, byle tylko znaleźć ten głupi kamień, gdziekolwiek on jest, tak więc zabije każdego, kto przeszkodzi mu w jego odnalezieniu. Nie dopuszczę – pogroził mi palcem przed twarzą – by tym kimś był Sofos. – Zrozumiałem, że nie da się doprowadzić do ukarania Ambiadesa, nie wplątując jednocześnie w kłopoty Sofosa.

– Jego ojciec posłał mnie wraz z nim, by mieć pewność, że chłopak będzie bezpieczny oraz nauczy się czegoś w podróży. Nie pozwolę jednak, by miał nauczyć się, co dzieje się, gdy rujnuje się plany kogoś takiego, jak mag. – Z jego ust padło więcej słów, niż kiedykolwiek wcześniej. Złapał mnie jedną ręką za koszulę i przyciągnął bliżej. – Moje rozkazy mówią, że mam pilnować jego bezpieczeństwa i trzymać go z dala od kłopotów. Zrozumiano?

Żywiłowo pokiwałem głową, po czym pokręciłem nią z boku na bok. Tak, zrozumiałem i nie, mag nie musi o niczym wiedzieć. Ostatecznie, przemyślawszy nieco sprawę, nie żywiłem urazy względem Sofosa, a zatarg z

Ambiadesem mogłem załatwić na własną rękę.

Pol wyjął z plecaka apteczkę i wziął z niej bandaże, balsam do moich obtartych dłoni oraz mały, papierowy pakiecik suszonych jagód.

– Zjedz dwie – powiedział. – Złagodzą ból. Powiemy magowi, że w jedną z ran znów wdało się zakażenie.

– Ile jeszcze mam czasu?

– Zanim co?

– Zanim dotrzemy tam, gdzie mamy dotrzeć.

– A skąd mam to wiedzieć?

– Wiesz, ile żywności kupił mag.

Żołnierz zastanowił się przez chwilę.

– Dwa dni.

Mag wrócił z resztą jedzenia i wysłuchał wyjaśnień Pola w kwestii moich nadgarstków. Wydawał się nie powątpiewać w tę wersję wydarzeń, zaniepokoił się jedynie, czy moje ręce będą sprawne, ale żołnierz zapewnił go, że tak. Ambiades jak zwykle spoglądał na mnie pogardliwie, ale Sofos wyraźnie poczuł ulgę. Gdy ponownie zagłębiliśmy się pomiędzy drzewka oliwne, podjechał bliżej i ładnie przeprosił. Kazałem mu się zamknąć i patrzyłem jak czerwienieje. Nie miałem pojęcia, co zaszło między nim a Ambiadesem nad brzegiem rzeki, ale wyglądało na to, że starszy chłopak spadł ze swojego piedestału. Spodziewałem się, że wkrótce znów się na niego wgramoli, ale z pewnością zajmie mu to trochę czasu. Póki co, trzymał się blisko maga, natomiast Sofos jechał to przy Polu, to znów zbliżał się do mnie. Zapytałem go, dlaczego jego płaszcz jest taki wymyślny, a on znów pokrył się rumieńcem. Doprawdy, pod tym względem działał jak w zegarku.

– Kupiła mi go matka, kiedy dowiedziała się, że wyjeżdżam do miasta do nowego nauczyciela.

– Czyli maga?

– Tak.

– To gdzie mieszkałeś wcześniej?

– W jednej z willi mojego ojca. Nad rzeką Eutoas. Było tam bardzo przyjemnie.

– Ale?

– Mój ojciec przyjechał z wizytą i zorientował się, że nie umiem się pojedynkować, jeździć konno i nie lubię polowań. Wołałem czytać. – Sofos przewrócił oczami. – Wyrzucił moich nauczycieli od fechtunku i jazdy konnej za bramę willi. Potem powiedział, że nauczy mnie tego Pol i że będę mieszkać z nim w mieście.

– Pol jest człowiekiem twojego ojca? – Obejrzałem się za siebie i na krótką chwilę mój wzrok skrzyżował się z wzrokiem żołnierza. Odwróciłem się znów w stronę Sofosa.

– Jest kapitanem jego straży.

Bezgłośnie gwizdnąłem przez zęby. Chłopak musi być naprawdę ważny dla swojego ojca, skoro kazał kapitanowi straży udzielać mu lekcji jeździectwa, a sam obchodzi się bez dowódcy, byleby tylko potomek miał osobistego ochroniarza.

Krajobraz gajów oliwnych uległ pewnej zmianie w miarę, jak posuwaliśmy się naprzód. Gęste rzędy zostały gdzieś w tyle, a odstęp między pniami zrobiły się coraz większe. W rowach nawadniających pojawiło się coraz więcej chwastów i mułu, aż wreszcie zostały zupełnie zarośnięte. Coraz częściej natrafialiśmy też na dęby i wkrótce stało się jasne, że znaleźliśmy się na dzikich terenach.

– Nikt nie zbiera tu oliwek? – zapytał Sofos, widząc w trawie zgniłe owoce.

– Już nie – odpowiedział mu przez ramię mag. – Od czasu zarazy nie ma w Attolii dostatecznie dużo ludzi. Za tę część Morza Oliwnego

odpowiedzialni byli zapewne mieszkańcy miasta, w którym zakupiliśmy żywność. Teraz jednak żyje tam zaledwie pięć czy sześć rodzin, opiekują się więc jedynie najbliższymi gajami.

Słyszałem o zarazie, która wybuchła trzydzieści lat przed moimi narodzinami. Choroba przebyła morze środkowe na statkach handlowych i rozlała się po terenach nizinnych, zabijając całe rodziny. W winiarniach mawiano, że wymarła połowa populacji Sounis. Wstrzymano handel morski. Uprawygniły na polach, a Eddis zamknęło górskie przełęcze, starając odgrodzić się od zarazy. Mój dziadek, który był wtedy jeszcze młodzieńcem, powiedział mi, że żaden złodziej nie ruszył dobytku ofiar choroby, bojąc się, że sam zostanie w ten sposób zarażony. Wszystko spalono.

– Czy w Sounis też są takie miejsca, gdzie brakuje ludzi do uprawy ziemi? – chciał wiedzieć chłopiec.

– Tak, ale niezbyt wiele. Sounis zawsze było dużo mniejsze niż Attolia, więc zdążyło już znów dorobić się nadwyżek ludności. Jest kilka opuszczonych farm, jak na przykład ta, w której zatrzymaliśmy się przed wyruszeniem w góry. Jedyne żyjące członki rodziny porzucił ją, udając się do miasta w celach edukacyjnych – wyjaśnił mag.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał znów Sofos, który jak zwykle nie dostrzegał tego, co oczywiste.

– To byłem ja. – Królewski doradca obrzucił mnie spojrzeniem. Nasze konie, i tak nie poruszające się zbyt szybko między drzewami, całkiem się zatrzymały, a mój wykorzystał okazję, by skubnąć trochę kruchej trawy. – To zdumiewające, ale wydajesz się o czymś rozmyślać, Genie. Jestem ciekaw, co to takiego – odezwał się znowu mag.

Rozmyślałem o swoich niezliczonych krewnych, z których większość uważałem wprawdzie za straszliwe brzemie, ale gdybym nie kochał choć jednego z nich, nie wylądowałbym w królewskim więzieniu. Lepiej było

chyba mieć ich wszystkich niż zupełnie nikogo. Przypuszczałem, że był to pierwszy raz, kiedy pomyślałem tak wielkodusznie o niektórych z moich kuzynów.

– Mam aż nadto krewnych – powiedziałem królewskiemu doradcy. – Zastanawiam się, czy jestem przez to w lepszej sytuacji niż ty.

– Całkiem możliwe, że tak. – Mag ponaglił konia.

Po chwili znów odezwał się Sofos. Rzadko kiedy milczał przez dłuższy czas.

– Skoro w wiosce brakuje ludzi, to czemu nie przybędą tam ludzie z innych stron?

– Czyli skąd? – zapytał królewski doradca.

– Z innych części Attolii? – podsunął z wahaniem chłopiec.

– Tam też wymarli, głąbie – wtrącił się Ambiades, a mag się skrzywił.

– Zaraza przetrzebiła populację całego kraju – wyjaśnił łagodniej. – Niewiele jest miejsc, gdzie byłyby nadwyżki ludności. Nawet w miastach.

– W takim razie może z Sounis.

– Tak, to możliwe. – O to właśnie chodziło królowi Sounis.

– To byłaby napaść – powiedziałem.

– No i? – Ambiades rzucił mi wyzwanie.

– No i Attolijczycy mogą stawiać opór.

– Przecież i tak nie użytkują tej ziemi – zaprotestował Sofos. Ciekawe, jak by się czuł, gdyby odwrócić role i to Attolia próbowałaby zająć tereny należące do jego ludu.

– Mimo to mogą stawiać opór.

– Nie będzie to miało znaczenia – skwitował mag.

– Dla Attolijczyków będzie – oznajmiłem swojemu wierzchowcowi.

Wraz z końcem dnia, dotarliśmy do granic Morza Oliwnego. Jechaliśmy zarośniętym od dawna szlakiem, którym niegdyś podróżowały wozy. Mag

sprowadził nas jednak z niego, kiedy ten skręcił na południe i znów zagłębiliśmy się pomiędzy drzewa. Jakieś ćwierć mili dalej ściana drzew urywała się nagle, jak gdyby bogowie nakreślili linię od krawędzi klifów po rzekę i dalej, gdzieś poza granice wzroku, na prawo. Góry wydawały się czarne na tle różowo-niebieskiego, wieczornego nieba. Przez długi czas przesłaniały nam je gałęzie i korony, ich widok dodał nam więc otuchy.

Przed nami nie było żadnych drzew, jedynie kilka krzaków. Potrzaskana ziemia tworzyła skalne granie pełne obłuzowanych kamieni. Zachodzące słońce rzucało czarne cienie na czarne podłoże.

– Co się stało? – zapytał Sofos.

– To dystopia – odpowiedział mu mag. – Zatrzymamy się tu na noc. – Podczas gdy Pol zabrał się za przygotowanie posiłku, królewski doradca wyjaśnił, że dystopia jest pozostałością po roztopionych skałach, które wyciekły ze Świętej Góry wiele tysięcy lat temu. Gleby były tu bogate w minerały, ale zbyt twarde, by pozwolić jakiegokolwiek roślinności zapuścić korzenie. Ciężko przedostać się na drugą stronę, a nie sposób zbudować tu drogi. Miejsce pozostało więc zupełnie puste.

– Rzecz jasna, istnieje mit, który wyjaśnia to wszystko – dodał, ziewając i przeczesując palcami włosy – ale jestem zbyt zmęczony, by choćby posłuchać, jak opowiada go Gen. Powiem więc tylko, że Eugenides próbował zrobić użytek z gromów, które ukradł Niebu, ale spowodował pożar, który strawił cały ten obszar.

– Zabił swojego brata – odezwałem się ze swojego posłania.

– Hmm? Co takiego, Genie?

– Jego rodzicom, nie Bogini, lecz śmiertelnej matce i ojcu, w końcu urodziły się dzieci, a Eugenides niechcący zabił w pożarze swojego brata. Wtedy uratował go Hamiates, a Hefestia dała mu ten dar w nagrodę, bo kochała swojego przyrodniego brata.

– No to teraz już wiemy wszystko – stwierdził kwaśno Ambiades i nie mówiąc już nic więcej, wszyscy poszliśmy spać.

Tej nocy miałem dziwny sen. Pojawiło się w nim pomieszczenie o marmurowych ścianach i kobieta w bieli. Obudziłem się dokładnie w momencie, gdy księżyc zachodził za drzewkami oliwnymi. Miałem problemy z ponownym zaśnięciem, więc ostatecznie wstałem. Wartę pełnił Pol. Gdyby był to mag, kazałby mi się położyć, Sofos natomiast chciałby ze mną rozmawiać, ale żołnierz tylko spojrzał na mnie bez słowa ponad gasnącym żarem ogniska. Wstałem i przeszedłem się kawałek w tę i z powrotem oraz zrobiłem kilka ćwiczeń rozciągających, by rozluźnić nieco mięśnie pleców. Po ciosach batem zostało jeszcze kilka obolałych miejsc, ale niepokoił mnie ból nadgarstków. Przekląłem Ambiadesa pod nosem i przeszedłem na drugą stronę ogniska, by przykucnąć obok Pola.

– Te jagody, które od ciebie dostałem...

– Osile?

– Masz ich więcej?

Żołnierz sięgnął do plecaka i wyjął z niego małą apteczkę. W środku znajdowała się skórzana sakiewka z jagodami. Usypał sobie na dłoni niewielki kopczyk, po czym przekazał go mnie.

– Tylko dwie na raz – przypomniał.

– Niech bogowie błogosławią cię w twoich staraniach – podziękowałem odruchowo i włożywszy sobie owoce do ust, położyłem się znów na posłaniu. Poruszałem dłońmi, ćwicząc ich sprawność, aż wreszcie ogarnął mnie sen.

Następnego ranka mag rzucił wyzwanie losowi, zostawiając Ambiadesa, Sofosa i mnie samym sobie. Wydawało mu się, że w nocy zobaczył ogień między drzewami, więc chciał upewnić się, że nie będziemy obserwowani w

czasie przekraczania dystopii. Wraz z Polem udał się na zwiad. Przed odejściem, żołnierz wręczył chłopcom ich drewniane miecze, kazać im ćwiczyć i nie robić niczego poza tym. Ambiades udał, że nie rozumiał, o co mu chodziło, ale Sofos pokiwał gorliwie głową. Gdy Pol wraz z magiem zaczęli się oddalać, obaj zabrali się za ćwiczenia rozciągające.

Kiedy tylko mężczyźni zniknęli nam z oczu, Ambiades odwrócił się w stronę Sofosa i dźgnął go mieczem w zębra.

– Stawaj.

– Jeszcze nie skończyłem się rozciągać – zaprotestował młodszy chłopiec.

– Daj sobie spokój – powiedział Ambiades. – Rozgrzejesz się w międzyczasie.

Tak więc Sofos podniósł zasłonę i obaj zaczęli krążyć wokół siebie. Obserwowałem ich, leżąc z głową opartą o siodło. Ambiades zaatakował z góry, ponad gardą Sofosa, ale ten zapamiętał sobie poprzednią lekcję i robiąc krok na bok, zablokował cios. Zapomniał jednak, by natychmiast wykończyć go pchnięciem. Kiedy przyszło mu to do głowy, było już za późno i luka w gardzie Ambiadesa zniknęła.

– Dobry blok – pochwalił chłopak, próbując ukryć zaskoczenie, i zaatakował ponownie. Sofos zasłonił się, ale nie docenił siły ciosu i musiał cofnąć się, by odzyskać równowagę. Ambiades tymczasem natarł na niego i uderzył go w zębra. Młodszy chłopiec zbyt późno opuścił łokieć, by się zasłonić, ale i tak był to głupi odruch, sprawdzający się co najwyżej w starciu na drewniane miecze. Ambiades trzasnął go jeszcze w rękę, cofając broń. Sofos wrzasnął, ale tamten udał, że go nie usłyszał i spojrzał na niego z wyższością.

Ponaglił towarzysza do dalszej walki i pod pretekstem ćwiczeń zaczął go okładać, fundując mu siniaki, które miały goić się przez cały miesiąc.



Poczułem się w obowiązku udzielić Sofosowi dobrej rady.

– Słuchaj – odezwałem się, gdy się rozłączyli. – Za każdym razem, gdy próbuje zaatakować z góry, ponad twoją gardą, odsłania prawy bok. Zrób krok w lewo, by zablokować i natychmiast wyprowadź kontrę na prawą stronę jego klatki piersiowej. – Nie miałem tyle cierpliwości, co Pol. Nie miałem ochoty czekać, aż chłopiec sam do tego dojdzie.

– Przepraszam – odparł pokornie Sofos. Stał z przygarbionymi ramionami, trąc bolący łokieć. Upuścił miecz na ziemię. – Nie jestem dość szybki. Jesteś lepszym szermierzem, Ambiadesie.

Starszy chłopak wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć „To oczywiste”, a Sofos oblał się rumieńcem. Ja tylko parsknąłem.

– W oczy rzuca się jedynie to, że Ambiades jest o sześć cali wyższy od ciebie – powiedziałem – a także ma dłuższy miecz i dłuższą rękę.

Z twarzy Ambiadesa zniknął uśmiezek zadowolenia.

– A co ty możesz wiedzieć o fechtunku, Genie? – zwrócił się do mnie.

– Wiem, że twoja zasłona jest tragiczna. Wiem też, że przeciwnik o twoich rozmiarach pociąłby cię na kawałki.

– Mówisz o sobie?

– Nie jestem twoich rozmiarów.

– Tchórz.

– Ależ skąd. Gdybym teraz wstał i cię pobił, Pol pobiłby mnie po powrocie. Mam robotę do wykonania, a nie lubię pracować posiniaczony.

– Pol nie musiały o niczym wiedzieć.

– Oczywiście, że nie.

Ambiades stanął tuż obok.

– To tylko wymówki.

Kopnął mnie w bok. Niezbyt mocno, ale na tyle, by posiniaczyć mięśnie, których być może wkrótce będę potrzebować.

– Ambiadesie, nie możesz. – Sofos wyglądał na przerażonego.

– Jeśli zrobisz to jeszcze raz, powiem magowi – oznajmiłem.

Pochylił się nade mną, a jego twarz wykrzywił paskudny grymas pogardy.

– Śmieć z rynsztoka nie potrafi obronić się sam.

– Nie – odparłem. – Śmieć z rynsztoka zostaje wcielony do piechoty i walczy za bezwartościowego króla, a takie fagasy jak ty tylko się gapią.

– Gen – włączył się Sofos. – Takie słowa to zdrada.

– Myślisz, że mnie to obchodzi?

– Zaskoczony? – zapytał młodszego chłopca Ambiades. – Tacy jak on służą tylko sobie.

– Ach tak? A komu innemu niby ty służysz? – zripostowałem.

Przytyk rzuciłem w zasadzie mimochodem, ale mimo to trafił w czuły punkt. Ambiades skrzywił się i wziął zamach nogą. Tym razem połamałby mi żebra, gdybym nie odtoczył się na bok. Gdy chciał powtórzyć kopniak, złapałem go za piętę i wytrąciłem z równowagi, po czym zaczepiłem stopę za jego kolanem. Chłopak zwałił się na ziemię. Zdążyłem niemalże zerwać się na równe nogi i szykowałem się do skoku, gdy nagle pojawił się mag wraz z Polem.

Królewski doradca uniósł brwi. Rozdzieliliśmy się. Ambiades wstał i zaczął strzepywać ziemię z miecza. Ja położyłem się znów z głową opartą o siodło.

– Ufam, że nie było żadnych nieporozumień? – zapytał mag. Nikt nie udzielił mu odpowiedzi.

Po przeprowadzonej ściszonymi głosami rozmowie między magiem a Polem, ostatecznie powierzyliśmy konie opiece Ambiadesa. Królewski doradca wolał wprawdzie, by zajął się tym Sofos, ale żołnierz nie zgodził się na pozostawienie chłopca samego, nie chciał też, by dostał Ambiadesa do

towarzystwa. Nie ulegało wątpliwości, że stosunki między Sofosem a jego idolem wyraźnie się pogorszyły.

Tak więc mag, Pol, Sofos i ja wkroczyliśmy pieszo na teren dystopii. Cieszyło mnie, że nie było z nami Ambiadesa. Maszerowaliśmy przez cały dzień, prowadzeni przez królewskiego doradcę, zerkającego co chwilę na kompas. Nie było tu żadnych szlaków, musieliśmy więc przeciskać się pomiędzy poszarpanymi, porowatymi, czarnymi skałami albo przechodzić ponad nimi. Nieśliśmy ze sobą zapasy wody. Przez dystopię nie przepływały żadne rzeki, ale ziemia musiała zawierać własne pokłady wilgoci, bo gdzieś tam wyrastały z niej kępy trawy i skupiska krzewów. Wszystkie wyschły jednak, aż pozostały z nich tylko patyki i kolce, które czepiały się naszych ubrań, gdy przechodziliśmy obok. O szorstką powierzchnię skał rozdzielaliśmy sobie odzienie i obcieraliśmy skórę.

Mag wyjaśnił Sofosowi, że gdyby przez lawę przepływały większe ilości wody, mogłyby uczynić z niej żyzne gleby, jednak ten obszar leżał wyżej niż Morze Oliwne i znajdowała się tu tylko jedna rzeka, Araktus.

– Araktus wyrzeźbił sobie kanion, poza którym nie powoduje już erozji na większą skalę. Nieco dalej dociera do równin i tam właśnie pozostawia zgromadzone minerały. Tamtejsze ziemie należą do najlepszych terenów uprawnych w całej Attolii.

– A co z Morzem Oliwnym? – zapytał Sofos.

– Obszar ten stanowi dział wodny dla padających w dystopii zimowych deszczy. Gdy pora opadów dobiega końca, strumienie wysychają, a ziemia nie jest w stanie podtrzymać upraw. Dlatego właśnie, zanim został on porzucony, obsadzono cały ten teren drzewkami oliwnymi.

Maszerując przez dystopię, znów poczułem się jak robak na otwartej przestrzeni. To dało o sobie znać moje wychowanie, przejawiające się w pragnieniu, by choć część nieba nad moją głową zawsze była zakryta.

Wprawdzie na lewo ode mnie urwistymi klifami wznosiły się góry, ale ich stromość raczej tworzyła dystans niż dawała ukojenie. Dużo lepiej czułem się na Morzu Oliwnym.

Wieczorem dotarliśmy nad brzeg rzeki Araktus i ruszyliśmy w górę jej biegu, ku góróm. Staralem się nie zwracać uwagi na krajobraz wydający się rozciągać bez końca za moimi plecami. Nad wodą rosło kilka drzew i krzewów, więc teren po przejściu lawy nie sprawiał już wrażenia pustkowia, tak jak wcześniej. Rzeka była wąska, ale w większości miejsc głęboka i wyłobiła sobie koryto, wijąc się i odbijając od skalistych ścian kanionu. Co jakiś czas spadała w dół niewysokim wodospadem. Maszerowaliśmy to na krawędzi szczeliny, wewnątrz której płynęła woda, to znów po piasku na samym brzegu rzeki.

Gdy słońce zaczynało już zachodzić, minęliśmy zakole i znaleźliśmy się nad większym wodospadem, jakieś dwa czy trzy razy większym ode mnie. Po drugiej stronie koryto rzeczne kończyło się skarpą. Wyraźnie widzieliśmy prążki w ziemi, czerwone i czarne. Po naszej stronie, brzeg był niemal całkowicie płaski – plażę utworzyła tu rozdrobniona lawa – zaś za nami wyrastał łagodny pagórek, przesłaniający widok na dystopię i Morze Oliwne.

Mag przystanął.

– To tutaj – oznajmił.

– Co? – Nie zrozumiałem.

– Tutaj zasłużysz sobie na swoją reputację.

Rozejrzałem się, ogarniając wzrokiem puste skały, rzekę i piaszczystą glebę pod moimi stopami. Nie dostrzegłem niczego, co można byłoby ukraść. Absolutnie niczego.

## Rozdział ósmy

– Będziemy musieli poczekać prawie do samej północy – powiedział mag. – Równie dobrze możemy coś zjeść.

Pol wypakował więc zapasy i przygotował kolację nad ogniskiem. Znalezienie odpowiedniej ilości drewna zdolnych podtrzymać ogień zajęło wprawdzie Sofosowi trochę czasu, ale w końcu mu się to udało. Ja zaś wygrzebałem sobie wgłębienie w piasku i położyłem się, by chwilę odpocząć. Zrobiłem palcom małą rozgrzewkę i na tyle, na ile byłem w stanie, rozmasowałem sobie nadgarstki, by nie zeszywniały. Ciekawiło mnie, co zaplanował dla nas mag na tym pustkowiu, ale nie zapytałem go o to. Nie byliśmy w końcu na tyle blisko, by miał mi o tym powiedzieć. Czekaając na przygotowywany przez Pola posiłek, zdrzemnąłem się.

Miałem ten sam sen, co poprzedniej nocy. Wchodziłem po schodach do niewielkiego pomieszczenia o marmurowych ścianach. Komnata nie miała żadnych okien, lecz mimo to światło księżyca padało na białe włosy i suknię oczekującej na mnie kobiety. Ubrana była w peplos ze starożytnych czasów, opadający udrapowanymi fałdami do stóp, jak bogini wyrzeźbiona w kamieniu przy starodawnym ołtarzu. Gdy wszedłem do pomieszczenia, skinęła mi głową, jakby spodziewała się mnie od dawna, a ja się spóźniłem. Miałem wrażenie, że powinienem był ją rozpoznać, ale nie potrafiłem.

– Kto cię tu sprowadza? – zapytała.

– Sam się sprowadzam.

– Przybywasz tu, by dać czy by zabrać?

– By zabrać – wyszeptałem, czując suchość w ustach.

– A więc weź, czego szukasz, o ile uda ci się to odnaleźć, ale bądź ostrożny. Nie obraż bogów. – Zwróciła się w stronę wysokiego, trójnokiego stolika u jej boku. Spoczywał na nim zwój. Kobieta wzięła rylec i dopisała

moje imię na końcu długiej listy, po czym postawiła przy nim niewielki znaczek. Chwilę później, obudziłem się. Kolacja była już gotowa.

Posilaliśmy się przy świetle księżyca, w milczeniu, a potem usiedliśmy przy ogniu. Nie odzywaliśmy się zbyt często, w dodatku tylko mag wiedział, na co właściwie czekaliśmy. By przerwać tę ciszę, zniżył się do poproszenia mnie o opowiedzenie historii o Eugenidesie i gromach. Chciał porównać moją wersję z tą, którą znał.

Potarłem czoło przedramieniem i ziewnąłem. Nie byłem w nastroju do bajania, ale nie chciałem też siedzieć w ponurej ciszy aż do północy. Zacząłem więc snuć opowieść, nieco ją jednak skracając.

## EUGENIDES I WIELKI POŻAR

Po narodzinach Eugenidesa, drwalowi i jego żonie urodziły się własne dzieci. Najstarszym z nich był Lyopidus. Zazdrościł on Eugenidesowi, który był starszy i posiadał dary od bogów. Gdyby Ziemia nie oddała drwalowi swojego własnego dziecka, pierworodnym synem drwala stałby się właśnie Lyopidus, który nie potrafił o tym zapomnieć. Przy obiedzie Eugenides siedział zawsze po prawicy ojca, a gdy dom odwiedzali goście, to on częstował ich czarką wina.

Kiedy Bóg Nieba zniszczył ich dom rodzinny, Lyopidus był przekonany, że winą za to zostanie obarczony jego starszy brat. W końcu to on stał się przyczyną gniewu boga. Lyopidus chciał więc, by jego rodzice porzucili go w lesie, lecz oni nie chcieli się na to zgodzić. A kiedy Eugenides ukradł gromy Nieba i stał się nieśmiertelny, zazdrość Lyopidusa zmieniła się w nienawiść.

Eugenides wiedział o uczuciach, które żywi względem niego brat, by więc ich uniknąć, podróżował po świecie. Wtedy to Lyopidus siadywał po prawicy ojca i częstował gości czarką wina, jednak mimo to wciąż nie był szczęśliwy. Gdy więc w przebraniu woźnicy przybył do niego Bóg Nieba z planem mającym na celu upokorzenie Eugenidesa, Lyopidus cały zamienił się w słuch.

Bóg Nieba przewiózł go swoim rydwanem na drugi brzeg morza środkowego, gdzie stał dom Eugenidesa. Lyopidus zapukał do drzwi i zawołał:

– Nieznajomy chciałby wypić z tobą czarbkę wina.

Eugenides otworzył drzwi i widząc, że stoi za nimi jego Lyopidus powiedział:

– Bracie, nie jesteś dla mnie nieznajomym. Dlaczego chcesz napić się ze mną wina jako obca mi osoba, skoro wolno ci korzystać ze wszystkiego, co moje jako mojemu krewnemu?

– Eugenidesie, w przeszłości żywiłem względem ciebie złe uczucia, lecz teraz wszystkie zniknęły. Dlatego właśnie uważam się za obcą względem ciebie osobę i jako nieznajomy chciałbym napić się z tobą wina i być twoim gościem, byś mógł poznać, czy mnie lubisz i czy zechcesz nazywać mnie przyjacielem i bratem.

Eugenides uwierzył mu, przyniósł więc czarbkę wina, napił się wspólnie z Lyopidusem i uczynił go swoim gościem. Jednak Lyopidus nie był jego przyjacielem ani dobrym gościem. Zadawał bratu wiele pytań o to, jak poluje, jak dobrze mu się żyje i jakie wartościowe przedmioty ma w swoim domu. Samiańskie lustro? Bursztynowy naszyjnik? Złote bransolety? Żelazny kociołek? Za każdym razem Eugenides zaprzeczał, mówiąc, że nie posiada takich rzeczy. Wtedy Lyopidus powiedział:

– Zaskoczyło mnie to. Jesteś w końcu synem Ziemi.

– Ziemia nie daje mi żadnych darów, jakimi nie obdzieliła innych ludzi. Nie będę przecież prosił jej, by podarowała każdemu żelazny kociołek, bym i ja mógł taki dostać.

– Ach – odezwał się znów Lyopidus. – Nie możesz w takim razie go ukraść? Tak, jak ukradłeś gromy Niebu? Chociaż nie – dodał, zarzucając przynętę. – Przypuszczam, że nie potrafiłbyś zrobić czegoś tak niezwykłego po raz drugi.

– Ależ potrafiłbym – odparł Eugenides, połykając haczyk. – Gdybym tylko chciał.

– Ach tak.

I tak, każdego dnia Lyopidus pociągał za haczyk, prosząc brata, by dokonał jakiegoś niesamowitego czynu.

– Mógłbym zanieść opowieści o nich naszym rodzicom – wyjaśnił. – Od dawna nie mieli już od ciebie żadnych wiadomości.

Przez jakiś czas Eugenides zbywał jego prośby, ale Lyopidus podsycił jego arogancję, powtarzając mu wciąż, jakim sprytem wykazał się pokonując Boga Nieba i jakim mógłby się wykazać, przykładając się do tego dużo mocniej. Mógłby na przykład ukraść gromy raz jeszcze, tylko dla żartu, a potem zwrócić je Hefestii. Wiedział, że bogini kochała swojego przybranego brata, pół-boga, pół-człowieka, i nie gniewałaby się na niego za taki wybryk.

Wreszcie Eugenides uległ. Miał świadomość, że Hefestia nie będzie miała mu tego za złe, a zależało mu na tym, by zrobić wrażenie na Lyopidusie, bo wierzył, że ten naprawdę chciał stać się jego przyjacielem i bratem. Pewnego wieczora wspiał się więc na jodłę rosnącą w wielkiej dolinie w Górach Hefestiańskich i zaczął się tam w oczekiwaniu na siostrę, która będzie zmierzać tędy do swej świątyni na szczycie. Gdy Hefestia przeszła pod drzewem, Eugenides ostrożnie zdjął jej z pleców gromy, tak, że nie zorientowała się nawet, że to zrobił.

Zaniósł je z powrotem do swego domu i pokazał Lyopidusowi, który udał, że wzbudziło to jego podziw.

– Może rzucisz jednym – podsunął. – Gdybym ja spróbował to zrobić, zginąłbym, ale ty jesteś w połowie bogiem.

– Możesz mieć rację – przyznał Eugenides.

– No spróbuj – nalegał Lyopidus. – Takim małym.

Nagabywał go i przypochlebiał się bratu, aż w końcu ten zgodził się, byle tylko sprawić mu przyjemność. Wybrał jeden z mniejszych gromów i cisnął nim w drzewo, lecz ten wybuchł, podpalając świat.

Kiedy świat stanął w płomieniach, Niebo udało się do swej córki i zapytało:

– Gdzie gromy, które ci wypożyczyłem?

– Tu, na moim ramieniu, ojciec – odparła Hefestia, jednak tam ich nie było. Bogini pomyślała, że być może zgubiła je w dolinie, więc Niebo kazało jej ich tam poszukać i powiedziało, że jej w tym pomoże.

– Skoro jesteś taka nieuważna – dodało – to nie wiem, czy zwrócę ci je, jeśli je odnajdziemy.

W dolinie Hefestia nie mogła widzieć ognia, więc świat nadal stał w płomieniach. Spłonęły drzewka oliwne i dom Eugenidesa, a pożar wciąż się rozprzestrzeniał. Lyopidusa ogarnęło przerażenie.

– Ty jesteś nieśmiertelny – zwrócił się do brata – ale ja zginę. – Wtedy Eugenides złapał go za rękę i razem zaczęli uciekać przed płomieniami.

Jednak ogień ich otoczył. Zdjęty strachem, Lyopidus krzyknął, że skoro to Niebo namówiło go do wciągnięcia brata w pułapkę, to niech teraz go ochroni, lecz nie dostał żadnej odpowiedzi. Eugenides kochał swojego brata, choć ten niespecjalnie na to zasługiwał, i spróbował przenieść go bezpiecznie przez płomień. Niestety, Lyopidus spłonął w jego ramionach, podczas gdy Hefestia i jej ojciec przechadzali się bezszelestnie pomiędzy jodłami.



Królem jednej z niewielkich dolin górskich był Hamiates. Wyjrzał on ze swego megaronu i zobaczył świat w płomieniach oraz Eugenidesa z bratem. Resztę dopowiedział sobie sam. Opuścił więc swój megaron i przekroczył rzekę, by spotkać się z boginią w jej świątyni, lecz jej tam nie było. Zawrócił wtedy w stronę rzeki, gdzie natrafił na jej boga, potomka Nieba.

– Świat stoi w ogniu – zwrócił się do niego.

– Ja nie splonę – odparł bóg rzeki. – Jestem wodą.

– Nawet woda może ucierpieć, jeśli pożar jest wielki – powiedział Hamiates, myśląc o płomieniach, które ogarnęły świat w czasie kłótni Nieba i Ziemi.

– Gdzie ten ogień?

– Na dole, na równinach.

– W moim górnym czy dolnym biegu?

– W dolnym.

– W takim razie nie muszę się nim niepokoić – uznał bóg rzeki.

– Ale Eugenides ucierpi.

– Eugenides jest wrogiem mego ojca – stwierdził bóg rzeki i Hamiates zrozumiał, że nie otrzyma od niego pomocy. Przez chwilę stał w milczeniu, obserwując płonący świat, śmierć Lyopidusa i Eugenidesa poparzonego przez płomień, który jednak nie mógł umrzeć.

– Posłuchaj – przemówił znów. – Eugenides ma ze sobą gromy twojego ojca.

– Nie należą już do mojego ojca – odparł ponuro bóg rzeki. – Niech Hefestia sama je sobie odbierze.

– Gdyby to tobie udało się je zdobyć, mógłbyś oddać je ojcu, a nie jej – zauważył Hamiates.

– Ach – powiedział bóg rzeki i na chwilę zamilkł. – Powiedz mi, w którym miejscu zmienić swój bieg, żeby je odzyskać.

– Jeśli teraz zmienisz swój bieg i wylejesz z całą siłą, dotrzesz przez równinę do Eugenidesa.

Bóg rzeki zrobił tak, jak powiedział mu Hamiates, a płynąc przez równinę, natrafił na samo serce pożogi, dusząc płomień. Jednak dotarwszy do Eugenidesa, utracił niemal całą swoją potęgę. Zmył więc półboga wraz z gromami, ponieważ ten nie chciał ich oddać. Nowy bieg rzeki zaniósł go aż do Seperchii, córki Ziemi.

Ta odezwała się do mniejszej rzeki:

– Jesteś już zmęczony. Oddaj mi gromy, a ja zaniosę je siostrze.

I obie rzeki zaczęły ze sobą walczyć. Hamiates tymczasem udał się do świątyni bogini Hefestii, by tam oczekiwać na jej powrót. Natomiast Eugenides, o którym chwilowo zapomniały obie rzeki, dopłynął do brzegu i wydostał się z wody, opalony przez ogień na czarno niczym spieczony chleb. Dlatego właśnie, jako jedyny z bogów, ma ciemną skórę niczym Nimbijczycy, zamieszkujący odległy brzeg morza środkowego.

Nie był to mój ulubiony mit i wolałbym, by nie przypominano mi o nim akurat wtedy, kiedy miałem zadanie do wykonania.

– Wiesz – zwróciłem się do maga – że kiedy chce się powiedzieć, że ktoś jest bardzo bystry, mówi się, że jest tak sprytny, że mógłby ukraść Dar Hamiatesa?

Mężczyzna przechylił głowę na bok.

– Nie, nie wiedziałem. Czy to powiedzenie funkcjonuje tylko wśród ludu twojej matki?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam pojęcia. Wiem jednak, co się działo, kiedy ktoś próbował i go na tym przyłapano.

– Tego też nie wiem – odparł królewski doradca, najwyraźniej zaskoczony taką luką w swej edukacji. Nie dziwiło go jednak, że ja mam takie wiadomości. Przypuszczam, że większość złodziei interesuje się przestępstwami i grożącymi za nie karami.

– Wyrzucano go z gór.

– Może to właśnie przydarzyło się twojej matce. Może to dlatego opuściła Eddis – drażnił się ze mną, robiąc co mógł, żeby podnieść mnie na duchu. Albo przeszła mu już złość na mnie, albo udawał, że tak było.

– Nie chodzi o wyrzucenie w sensie wygnania – wyjaśniłem, kreśląc ręką łuk, jaki zatoczyłby ktoś spadający z wysoka. – Wyrzucić w sensie *zepchnąć z góry*.

– Ach tak – wykrztusił mag.

Znów zapadła cisza. Minął kwadrans, zanim usłyszeliśmy dźwięk, na który oczekiwał mag. Nastąpiła zmiana w plusku wody. Królewski doradca wstał i odwrócił się, by spojrzeć w stronę rzeki. Podążyłem za jego przykładem i w ciągu kilku uderzeń serca, ciek zupełnie zniknął. Woda trysnęła jeszcze kilka razy i ostatecznie zupełnie przestała płynąć. Zupełnie, jakby bogowie zakręcili gdzieś ogromny kran. Ucichł szum rwącego nurtu, a nasze uszy zaatakowała cisza.

Stałem z otwartymi ustami przez dłuższy okres czasu, zorientowawszy się, że w górze rzeki znajdował się rezerwuar, zaś wody Araktusa wypływały przez kanał w tamie. Pod koniec lata, jeśli poziom wody w zbiorniku był zbyt niski, zamykano śluzę i rzeka znikła. Pokręciłem głową w zachwycie.

W wybrzuszonej skale, którą wcześniej przesłaniał wodospad, znajdowało się wejście. Nadproże stanowiła sama skała, w którą wprawiono dwa granitowe filary. Pomiedzy nimi umieszczono drzwi, podziurawione ciasnymi szczelinami, szerszymi pośrodku i zwężającymi się ku końcom. Wyciekała z nich woda, tworząc sadzawkę we wgłębieniu na dole.

\*\*\*

– Chciałem dotrzeć tu przynajmniej dzień wcześniej, byś mógł wypocząć – powiedział mag. – Rzeka zacznie znów płynąć tuż przed świtem. Musisz wydostać się na zewnątrz zanim to się stanie, bo, jak sądzę, świątynia szybko wypełni się wodą. Przypuszczam, że może ci się to przydać. – Podał mi narzędzia przydatne w moim fachu, owinięte w kawałek miękkiej skóry.

Natychmiast je rozpoznałem.

– To moje.

– Tak, zabrano ci je w chwili aresztowania. Nie jestem złodziejem, więc tylko tak mogłem dopilnować, że będziesz mieć potrzebne wyposażenie.

Żołądek podskoczył mi do gardła, co ostatnio zdarzyło mi się jedynie w

czasie spotkania w obecności króla.

– A więc już wtedy wiedziałeś? – zapytałem.

– O tak, a mężczyzna, przed którym przechwalałeś się w winiarni był moim agentem, nie przypadkowym informatorem.

Gwizdnąłem bezgłośnie przez zęby, orientując się, jak pogmatwana była ta historia.

– Będę potrzebować światła.

– Pol je ma.

Obejrzałem się za siebie, by zobaczyć żołnierza trzymającego w dłoni lampę oliwną.

– Oleju powinno wystarczyć na sześć godzin – powiedział, podając mi ją.

– Masz łom? – Była to jedyna niezbędna rzecz, jakiej nie nosiłem z resztą narzędzi, ze względu na jej wielkość. Pol ruszył w stronę plecaków, by znaleźć ją dla mnie. Podeszedłem do brzegu rzeki. Woda w sadzawce wciąż marszczyła się lekko.

– Jeśli moje obliczenia są prawidłowe, tego roku przepływ rzeki zostanie zatrzymany przez cztery noce z rzędu. Ta jest druga. Nie utop się przy pierwszej próbie – powiedział mag.

Żołnierz podał mi łom. Czując w dłoni jego ciężar, poczułem ukojenie, choć mogłem być pewny, że w świątyni nie znajdę niczego żywego. Nie sposób trzymać psów obronnych w miejscu, które za wyjątkiem kilku nocy w roku, znajduje się pod wodą. Może węże. Może można trzymać tam węże, pomyślałem.

Odczekałem jeszcze pół godziny, aż strumienie wypływające ze szczelin w drzwiach osłabną nieco. Dopiero wtedy wszedłem do sadzawki. Stojąc po kostki w wodzie, odwróciłem się jeszcze w stronę królewskiego doradcy.

– Wiesz może, czy ktoś już tego próbował? – zapytałem.

– Wydaje mi się, że podjęto kilka prób – odpowiedział.

– I?

– I nikt nie wrócił.

– Z wewnątrz?

– Nie wrócił nikt, kto wszedł do środka, ale też i żaden towarzyszący mu członek grupy. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, ale jeśli zawiedziesz, wszyscy będziemy zgubieni. – Uśmiechnął się i machnął ręką w niejasnym geście błogosławieństwa.

Kiwnąłem głową i zwróciłem się znów w stronę drzwi. Ciekawiło mnie, ile liczyły sobie lat. Przesunąłem dłońią po gładkiej powierzchni granitowego filara. W miejscach, gdzie niegdyś znajdowały się żłobkowania, pozostały łagodne fale. Umieszczone pomiędzy kolumnami drzwi również wykonano z kamienia. Drewno przegniłoby, a metal zostałby starty. Wsunąłem palec w jedną ze szczelin, poszerzoną przez wodę, przepływającą przez nią całymi latami. Wydawała się wąska w porównaniu do rozmiarów drzwi, ale w rzeczywistości była szersza od mojej dłoni i to nawet przy końcach.

Drzwi znajdowały się na wysokości trzech czy czterech stóp powyżej poziomu sadzawki, wdrapałem się więc na próg uważając, by nie rozlać oleju. Nawet zawiasy wykonano z kamienia, co sprawiało, że ciężko było je ruszyć, choć nie widziałem nigdzie żadnego zamka. Naparłem na drzwi, mierząc się nie tylko z ich masą, ale i ciężarem wody po drugiej stronie. Jednocześnie wymamrotałem pobieżnie pod nosem modlitwę do boga złodziei. Był to przesąd, który zaszczeplił we mnie mój dziadek. Pomódl się, gdy zaczynasz robotę i pomódl się, gdy ją kończysz, a do tego raz w miesiącu zostaw ofiarę na ołtarzu Eugenidesa. Staralem się, by były to kolczyki. Mój dziadek natomiast wołał ozdobne fibule.

Drzwi otworzyły się do wewnątrz, a ze środka wylało się jeszcze więcej wody. Gdy udało mi się przez nią przedostać, jej impet zamknął wejście za moimi plecami. Byłem przemoczony do pasa, ale woda na schodach

znajdujących się za drzwiami miała najwyżej trzy czy cztery cale głębokości. Mimo to płynęła wartkim strumieniem, musiałem więc ostrożnie stawiać stopy, wspinając się po stopniach. W pomieszczeniu znajdującym się u szczytu schodów natychmiast rozpoznałem komnatę z mych snów.

Gładkie, marmurowe ściany pokrywał muł rzeczny, a podłogę zakrywała głęboka woda, wlewająca się do środka przez kratkę w drzwiach naprzeciwko. Światło księżycy wpadało przez nieregularny otwór w suficie, nie było jednak żadnej oczekującej mnie kobiety w białym peplosie. Brakowało też złoczonego stolika i zwoju.

Stanąwszy pod otworem w sklepieniu, spojrzałem w górę. Kiedy przywrócony zostanie bieg rzeki, woda w pierwszej kolejności wypełni komnatę, a dopiero potem cofnie się, by zalać również świątynię. Następnie, kiedy oba pomieszczenia zostaną zatopione, woda wciąż będzie wprawdzie przepływać przez komnatę, ale większość przewali się górą i spadnie w dół wodospadem, ukrywając drzwi w skale. Miejsce to było dziełem geniusza. Ciekawiło mnie, kiedy zostało zbudowane. Jakies pięćset lat temu, jeśli jego przeznaczeniem było ukrycie Daru Hamiatesa.

Przeszedłem przez pomieszczenie do drzwi po jego drugiej stronie. Przypomniałem sobie wtedy pytania, jakie zadawała mi kobieta w bieli. Gdybym był religijny, może zatrzymałbym się i żarliwie pomodlił, ale jakoś nie przyszło mi to do głowy.

Podobnie jak w przypadku zewnętrznych drzwi, także i te wykonano z kamienia, ale ich dolną połowę stanowiła krata, pozwalająca na swobodny przepływ wody. Nie było w nich zamka, a jedynie prosta zasuwa w postaci kamiennego rygla. Krata sprawiała, że można było go unieść z obu stron. Zatrzymałem się, by przyświecić sobie lampą, po czym otworzyłem drzwi. One także zamknęły się za moimi plecami.

Korytarz za drzwiami biegł w dwóch różnych kierunkach i był tak wąski,

że ocierałem się ramionami o ściany z litej skały. Nierówne i wilgotne, nachylały się coraz bardziej do środka, tworząc u góry łuk, którego szczytu nie było jednak widać w wąłym świetle mej lampy. Korytarz ciągnął się jakieś dziesięć stóp w każdą ze stron, po czym zakręcał i kończył się zamkniętymi drzwiami. Tutaj, gdzie strumień wody nie miał już aż takiej siły, wykonano je z metalu i zabezpieczono metalowymi zamkami. Nie widać było na nich choćby śladu rdzy.

Zamki były skomplikowane, dlatego otworzenie drzwi po prawej zajęło mi dobrych kilka minut. Za nimi znajdował się kolejny wąski korytarz, kończący się drzwiami podobnymi do tych, które właśnie otworzyłem. Westchnąłem i zabrałem się za szukanie czegoś, czym mógłbym zablokować wejście. Nie chciałem ponownie dłubać w zamku w drodze powrotnej.

W tunelu nie było żadnych kamieni. Miałem do dyspozycji tylko skórzaną torbę, w której trzymałem narzędzia albo łom, którego w żadnym wypadku nie chciałem się pozbywać. Ostatecznie postanowiłem użyć buta. I tak oba przemokły już doszczętnie i strasznie mi ciążyły. Zdjąłem je ze stóp i włożyłem jeden z nich za pas, w razie gdybym potrzebował go później. Drugi wsunąłem pod drzwi, żeby nie zatrzasnęły się za mną. Boso pomaszerowałem korytarzem, brodząc w wodzie o głębokości kilku cali, sączącej się wciąż z wnętrza świątyni. Przebyłem ledwie połowę drogi w kierunku kolejnych drzwi, kiedy światło lampy wydobyło z mroku coś wartego zanotowania. Ich powierzchnia była idealnie gładka. Jeśli znajdował się w nich jakiś zamek, to z pewnością nie było do niego dostępu od tej strony.

– Na bogów – powiedziałem na głos. – O, na bogów. – Odwróciłem się za siebie w samą porę, by zobaczyć, jak woda wymywa mój but spod wcześniejszych drzwi, które z wolna zaczęły się zamykać.

Puściłem się pędem, dając cztery długie susy, i rzuciłem się naprzód,

chwytając dłonią za ościeżnicę. Metalowa płyta przytrzasnęła mi palce, ale nie cofnąłem ich, dopóki w drogocenną szparę nie udało mi się wcisnąć drugiej ręki. Te drzwi, podobnie jak kolejne, były całkowicie gładkie od wewnątrz.

Wypadłem przez drzwi i usiadłem w zewnętrznym korytarzu, ssąc obolałe palce. Wciąż miałem swoje narzędzia, ale zgubiłem gdzieś łom i lampę. Jedyne dostępne światło sączyło się przez kratę w drzwiach za moimi plecami. Nie było go zbyt wiele.

Kiedy serce przestało mi łomotać, a ból palców nieco zelżał, wstałem i zrobiłem kilka kroków. Nie było sensu na nowo otwierać zamka, nie mając czegoś, co zapewni mi powrót, nie chciałem też tracić czasu na powrót do maga po kolejną lampę, łom i coś do zablokowania drzwi. Dodatkowo, wolałbym nie musieć opowiadać mu, jak to niemalże wpadłem w pułapkę bez wyjścia, jeszcze zanim udało mi się dotrzeć do wnętrza świątyni. Nie żebym umarł od razu, kiedy tylko zatrzasnęłyby się za mną drzwi. Zginąłbym dopiero o świcie, gdy przywrócony zostałby bieg rzeki. Na samą myśl, serce znów zaczęło mi bić szybciej. Musiałem przypomnieć sobie, że byłem przecież całkiem zdolnym złodziejem, inaczej by mnie schwytano. Postanowiłem, że zanim udam się na poszukiwanie czegoś w charakterze blokad, sprawdzę jeszcze drzwi po drugiej stronie.

Do pracy niepotrzebne mi było światło, ale w koniuszkach dwóch pierwszych palców prawej ręki pojawiło się wgłębienie i zniknęło w nich czucie. To utrudniło nieco otwieranie drugiego zamka. Kiedy już mi się to udało, upewniłem się, że po drugiej stronie też znajduje się dziurka od klucza. Sprawdziłem nawet, czy jest prawdziwa, czy też to tylko zwykły otwór, wywiercony dla zmylenia intruzów. Gdy wiedziałem już, że od wewnątrz też będę mieć dostęp do zamka, unieruchomiłem drzwi wsuwając pod nie drugi but – pierwszy bowiem gdzieś zaginął – i przekroczyłem próg.



Przede mną było ciemno choć oko wykol. Nie mając lampy, nie potrafiłem stwierdzić, czy ten tunel przypominał poprzedni.

Wsunąłem ręce do kieszeni niebieskich spodni, które otrzymałem od maga. Jedna z nich kompletnie przemokła, druga pozostała względnie sucha. W obu znajdowały się zapałki. Pierwszej nocy w gospodzie podwędziłem maleńkie, srebrne pudełeczko pełne siarczanych zapałek, zaś kolejnej dołączyłem do niego jeszcze pięć czy sześć pudełek. Te, które podprowadziłem Polowi, zostały owinięte w kawałek naoliwionego papieru. Woda najpewniej nie zaszkodziła im w żaden sposób. W suchej kieszeni miałem ponadto niewielki nóż ze składanym ostrzem należący do mężczyzny, który pewnego dnia siedział obok nas w czasie posiłku, kilka kawałków rzemienia, jeden dłuższy kawałek bawełnianego sznurka oraz fibulę, którą mag zwykł spinać swój płaszcz. Wydawało mu się, że zgubił ją przy ostatniej kąpieli, głupiec. W przemoczonej spoczywały natomiast przeróżne monety, dwa zawilgotniałe kawałki wysuszonej wołowiny i grzebień Ambiadesa. Ciekawe, czy zdążył już zorientować się, że go nie ma.

Wsunąłem sobie do ust pasek mięsa i zacząłem żuć, rozmyślając. Zawsze mogłem zawrócić po blokady i lampę, ale tak naprawdę wcale ich nie potrzebowałem. Nie wątpiłem w swoją zdolność otworzenia każdych zamkniętych drzwi, o ile tylko miały otwór na klucz, i byłem przyzwyczajony do pracy w ciemności. Wyjąłem zapałkę ze srebrnego pudełeczka i zapaliłem ją. Przede mną rozciągał się korytarz wykuty w litej skale, zakończony kolejnymi metalowymi drzwiami. Zaklinowawszy te za moimi plecami butem najlepiej jak tylko się dało, ruszyłem naprzód. Płomień sięgnął niemal mych palców. Zdmuchnąłem zapałkę i resztę drogi pokonałem w ciemności.

Drzwi były zamknięte. Otworzyłem je, ale musiałem pozwolić, by zamknęły się za mną, sprawdziwszy jednak uprzednio, że po drugiej stronie

znajduje się dziurka od klucza. Za nimi znajdował się kolejny korytarz, nie różniący się niczym od poprzednich. Zapaliłem kolejną zapałkę i dotykając ściany zacząłem powoli poruszać się naprzód. Podłoga była nierówna. Uderzyłem w coś palcem u nogi i od tamtego momentu ostrożniej stawiałem kroki. Nie spieszyłem się. Przesuwając dłonią po ścianie, natrafiłem na coś zimnego, twardego i idealnie gładkiego. Zatrzymałem się, by dokładniej zbadać znalezisko, wreszcie zapaliłem nową zapałkę, by zobaczyć, co to takiego. Było to hefestiańskie szkliwo, obsydian, który powstał, gdy skała, wewnątrz której przemierzałem, została podgrzana do stanu ciekłego i spłynęła na tę część świata. W starożytnych czasach wydobywano go i wykonywano z niego groty strzał i włócznie. Nawet teraz jest cenionym surowcem do wyrobu biżuterii oraz kling ozdobnych noży. Złóże, które miałem przed sobą, było wielkości mojej głowy i mógłbym na nim sporo zarobić, gdybym wiedział, jak wydobyć je ze skały.

Ruszyłem znów naprzód, a moje palce natrafiły na kolejne i jeszcze jedno. Zapaliłem zapałkę i odkryłem, że znalazłem się na skrzyżowaniu korytarzy. Przemierzałem je przez całą noc – istny labirynt wydrążony w skale. Wędrowałem po nim w osłupieniu.

W pewnym momencie z zaskoczeniem zorientowałem się, że dotarłem do drzwi, przez które tu wszedłem. Nie spodziewałem się natrafić na nie na końcu korytarza, więc zatrzymałem się, by przez chwilę się zastanowić. Stworzenie pamięciowej mapy drogi, którą przebyłem w ciemnościach nie było łatwe, ale miałem w tym wprawę. Nie powinienem był wrócić do punktu wyjścia, to nie ulegało wątpliwości. Zapaliłem kolejną zapałkę i namacałem dziurkę od klucza, po czym sforsowałem zamek przy pomocy narzędzi. Otworzyłem drzwi, ale nie znalazłem otworu po drugiej stronie. Nie były to więc te, przez które tu wszedłem, choć wyglądały identycznie. Nawet nieregularny kształt prowadzących do nich skalnych ścian wydawał się

dokładnie taki sam. To był drugi koniec pułapki. Zapaliłem jeszcze jedną zapalniczkę – zostało mi już tylko siedem – i na ziemi przed sobą zobaczyłem łom, a nieco dalej, przechyloną na bok, niewielką, mosiężną lampę.

No jasne, pomyślałem sobie. Wejdę do środka, by zabrać łom i lampę, a drzwi zamkną się za mną, więżąc mnie tu na zawsze. Niedoczekanie. Zależało mi jednak na odzyskaniu przedmiotów, przytrzymując więc drzwi stopą – były ciężkie i obcierały mi skórę – ściągnąłem z siebie okrycie wierzchnie i upchnąłem je ciasno pod drzwiami. Następnie zdjąłem też i koszulę, którą na wszelki wypadek zostawiłem przy ościeżnicy. Półnagi i trzęsący się z zimna wbiegłem do wnętrza pułapki, zabrałem pozostawione rzeczy (nie znalazłem jednak buta) i pospiesznie wyszedłem na zewnątrz. Bezpieczny.

Z lampy wylało się trochę oleju, ale wciąż pozostało go całkiem sporo. Zapaliłem knot i ponownie zwiedziłem korytarze, które wcześniej zbadałem jedynie opuszkami palców. Nie był to duży labirynt, z pewnością nie dość duży, by się w nim zgubić. Przypomniała mi się świątynia bogini źródła na górskim zboczu, przy którym zatrzymaliśmy na posiłek – mała świątynka dla pomniejszego bóstwa. Ten labirynt nie był od niej wiele większy, może dwu czy trzykrotnie. Poza tym, wyglądało na to, że w ogóle nie było tu świątyni, a przynajmniej takiej, jakie do tej pory dane mi było oglądać. Nie było naosu, a co za tym idzie także i pronaosu, żadnego ołtarza, posągów bogów czy wiernych. I, co najważniejsze, nie było też opistodomosu, czyli skarbcza, w którym przechowywano co cenniejsze dary ofiarne. Był tylko ten labirynt korytarzy wykutych w skale.

Pomyślałbym sobie, że mag dał się oszukać, gdyby nie jedna rzecz. Na tyłach labiryntu, w najdalszym punkcie od wejścia, znajdował się szerszy korytarz, wykończony nieco dokładniej niż pozostałe. Podłoga była przechylona, tak że jedna jej strona stanowiła najniższy położony obszar

labiryntu. Utrzymująca się tam kałuża miała kilka cali głębokości, ale nie była w stanie przesłonić walających się kości, które utknęły tam po ustąpieniu wód Araktusa.

Były wśród nich czaszki wytarte do tego stopnia, że stały się kruche niczym skorupka jaja, dłuższe kości udowe i mniejsze, zakrzywione żebra wystające z ciemnej wody. Zastanawiałem się, ile lat musi minąć, by rozłożyły się kości. Pięćdziesiąt? Sto? Ile czasu te już tu leżą, a ile innych zniknęło przed nimi? Przesunąłem palcami po powierzchni wody i zadrzałem czując jej zimno. Jak to możliwe, że tylu ludzi udało się tu na poszukiwania, a nie wspomniano o tym w żadnych zapisach? Dlaczego Dar Hamiatesa wciąż uznawany jest za zaginiony, skoro tyle osób wiedziało, że szukać go trzeba właśnie tutaj? Światło lampy prześlizgiwało się po tafli wody, pograżając w mroku niektóre kości, a wyławiając z niego inne, niewielkie, wciąż ułożone w kształt dłoni. Cofnąłem się, kryjąc znalezisko w cieniu. Zawróciłem, by sprawdzić jeszcze raz każdy z korytarzy w poszukiwaniu jakiegoś otworu, który mogłem wcześniej przegapić.

Niczego takiego nie znalazłem, ale wracając ze światłem w miejsca, które wcześniej odwiedziłem po ciemku, zorientowałem się, jak wiele było tam hefestiańskiego szkliwa. Widziałem żyły ciągnące się ukośnie, szerokie na trzy cale i długie na dwanaście stóp. Widziałem bryły liczące sobie dwie czy trzy stopy. Wszystkie były idealnie czarne, ale jednocześnie skrzyły się przeróżnymi kolorami w świetle mojej lampy. Wszystkie tak do złudzenia przypominały okna w skale, że przyłożyłem dłoń do jednego z nich, by nie widzieć odbitych obrazów i próbowałem spojrzeć na drugą stronę, zupełnie jakbym mógł zobaczyć, co kryje się za ścianą.

W najdłuższym korytarzu labiryntu, nie licząc tego z wodą i kośćmi, znajdował się ogromny blok obsydianu z żyłkami z litej skały. Zaczynał się nieco ponad podłogą i sięgał powyżej mojej głowy, tworząc coś w stylu

wypukłego trapezu. Przebiegłem palcami po jego powierzchni, rozmyślając o setkach wisiorów, kolczyków, brosz i grotów włóczni, jakie można by z niego wykonać.

Dokładnie w tej chwili zaczęła ogarniać mnie panika. Ściany jakby zbliżyły się do siebie i zaczęła sączyć się przez nie woda. Płomień lampy załopotał i wtedy uświadomiłem sobie, ile czasu musiało już minąć. Pol powiedział, że oleju wystarczy na sześć godzin... ale przez długi czas przyświecałem sobie zapałkami... ale znowu trochę oleju wylało się, gdy upuściłem lampę. Ile czasu jeszcze mi zostało? Ile oleju? Lampa zakołysała się w mej dłoni, gdy moje stopy same zaczęły zmierzać w stronę wyjścia. Uważałem, by kierować się w dobrą stronę. Nieostrożny albo spanikowany złodziej mógłby pomylić jedne drzwi z innymi i zorientować się dopiero, gdy znalazłby się w pułapce, ale ja nie zamierzałem wykazać się brakiem rozwagi.

Z każdą chwilą narastała we mnie panika. Przy pierwszych zamkniętych drzwiach wypadły mi narzędzia ze skórzanej saszetki. Wytrychy, szydła, blokady zapadek – wszystko to rozsypało się po kamiennej podłodze, musiałem więc przyklęknąć i je pozbierać. Trzęsły mi się ręce. Prawie że upuściłem narzędzia po raz drugi, zanim udało mi się otworzyć zamek, po czym przeszedłem na drugą stronę, dając krok prosto w kałużę, której z całą pewnością nie było tam po ustąpieniu wody. Był to pierwszy znak, świadczący o przywróceniu biegu Araktusa.

Dysząc ciężko, popędziłem w pośpiechu w stronę kolejnych drzwi, zapomniawszy z początku o pozostawionej za sobą lampie. Wróciłem jednak po nią i dopiero wtedy skierowałem się znów do wyjścia. Drzwi musiały zamknąć się w pewnym momencie, wypychając spod siebie mojego buta. Woda przelewała się przez kratę w ich dolnej części, oblewając mi nogi. Zacząłem gorączkowo dłubać przy zamku. Kiedy udało mi się go

rozpracować, drzwi otworzyły się z impetem – o mały włos, a oberwałbym prosto w twarz – a woda za nimi wlała się gwałtownie do środka, odpychając mnie do tyłu. Zamachałem rękami, starając się odzyskać równowagę, zgubiłem łom i postanowiłem spisać go na straty. Z trudem ruszyłem pod prąd, w stronę zaryglowanych, kamiennych drzwi dzielących mnie od przedsionka labiryntu, gdzie woda wlewała się przez otwór w suficie. W maleńkim pomieszczeniu chlupotały fale.

Uniosłem rygiel i otworzyłem drzwi, po czym, trzymając się ściany, przemierzyłem przedsionek i zszedłem schodami w dół. Woda miała zaledwie pięć czy sześć cali głębokości, ale spiętrzyła się przy głównych drzwiach, gdzie na przepływ pozwalały jej jedynie wąskie szczeliny. Pokonując jej opór z siłą, która płynie ze zgrozy, otworzyłem drzwi i zostałem wypchnięty na zewnątrz. Kamienna płyta zatrzasnęła się za mną z mocą zdolną skruszyć kości.

Wylądowałem na czworakach w sadzawce, a po chwili wstałem, ociekając wodą i charcząc. Przez całą noc chodziłem przemoczony i czułem się jak głupiec. Uczucie paniki zniknęło. Labirynt za moimi plecami zostanie zatopiony dopiero za dobrych kilka godzin. Raczej nie utonąłbym w kilku calach wody.

Brnąc w stronę brzegu, wyobrażałem sobie, jak śmiesznie mój powrót musiał wyglądać dla obserwatorów. Na niebie nie było jeszcze słońca, ale świat zaczynał już pokrywać się odcieniami szarości. Za jakąś godzinę nadejdzie świt.

– Masz go? – zapytał mag.

– Nie. – Rozchlapując wodę, skierowałem się w jego stronę, ponury i zawstydzony. – Nie mogłem go znaleźć. W ogóle niczego nie mogłem znaleźć. – Niczego, poza ogromnymi bryłami obsydianu. – Nie ma tam naosu, ołtarza ani skarbcza. – Wychodząc na brzeg, opowiedziałem mu o

labirynt. – Nie jest zbyt duży. – Królewski doradca wyciągnął rękę, by mi pomóc. Najpierw złapał mnie za nadgarstek, potem powyżej łokcia.

– Mamy jeszcze dwie noce – rzucił z optymizmem. – Chodź, zjedz śniadanie.

Obudziliśmy Pola, żeby przyrządził nam posiłek. W swoich torbach skrywał jeszcze sześć jaj oraz kawę. Mag natomiast znalazł dla mnie suche ubrania. Zjadłem śniadanie i natychmiast położyłem się spać. Słońce dopiero zaczynało wschodzić.

## Rozdział dziewiąty

Przespałem cały dzień, choć promienie słoneczne i błękit nieba zaglądały mi pod zamknięte powieki. Po zimnej i mokrej nocy w świątynnym labiryncie, słońce stanowiło dla mnie istną przyjemność, obudziłem się więc dopiero wtedy, gdy zaczęło zachodzić. Znów przyśniła mi się kobieta w komnacie – na włosach miała złotą opaskę z ciemnoczerwonymi kamieniami i łabędzim piórem postawiła drugi znak przy moim imieniu. Odniosłem wrażenie, że się o mnie niepokoi. Już miałem zapytać ją, gdzie jest świątynia, ołtarz i posąg bogini, gdy obudził mnie zapach kawy.

Jęknąłem. Nie otwierając oczu, przeciągnąłem się z rękami nad głową. Ktoś stanął nade mną. Sofos, pomyślałem sobie. Włożył kubeczek z kawą w moją wyciągniętą dłoń.

– Niech bogowie ci błogosławią – powiedziałem.

– Nie ma za co – odparł oschle mag. – Skoro już wróciłeś do świata żywych, mam do ciebie kilka pytań.

Skrzywiłem się i nie spiesząc się, zacząłem sączyć kawę. Była tak gęsta i słodka, że aż zrobiło mi się przykro, gdy dotarłem do fusów na dnie.

Mag miał do mnie całe mnóstwo pytań. Przede wszystkim jednak chciał, żebym opisał mu noc spędzoną w świątyni. Opowiedziałem mu więc o korytarzach wykutych w litej skale i nachylonych ścianach tworzących łukowate sklepienia. Opowiedziałem o pułapce i o tym, jak niemalże dałem się w nią złapać. Nie pisałem tylko ani słowem o przedSIONKU, który pojawił się w moich snach. W zasadzie sam tak naprawdę w to nie wierzyłem. Natomiast o kościach wspomniałem dość niechętnie.

– Ile ich było? – zapytał mag.

Ghul, pomyślałem sobie.



– Czaszki były roztrzaskane na kawałki. Widziałem części czterech czy pięciu, może więcej. Jakie to ma znaczenie?

– Wydaje mi się, że dotarł tu mój poprzednik – wyjaśnił królewski doradca. – Jednak z tego co wiem, był sam. Pozostałe kości muszą więc być starsze. Chciałbym wiedzieć... – mruknął.

– Wiedzieć co?

– Dlaczego dotarłszy tu, do celu, znikają całe wyprawy.

– Ja natomiast wolałbym wiedzieć, dlaczego wszystkie kości spoczywają na tyłach labiryntu, a nie ma ani jednej w pułapce na samym początku.

Mag podniósł głowę, by na mnie spojrzeć, po czym jego brwi powędrowały ku górze.

– Słuszne spostrzeżenie – powiedział. – Ktoś je tam przeniósł?

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem pojęcia. Może na przestrzeni pięciuset lat każdy złodziej, który tu zaglądał, był tak sprytny jak ja, chociaż trudno było mi w to uwierzyć. Rozejrzałem się naokoło, bo do głowy przyszło mi już coś zupełnie innego.

– Na twoim miejscu, przeniósłbym obozowisko – powiedziałem.

– Dlaczego?

– Rzeka tu zakręca. Znajdujemy się dokładnie naprzeciwko wodospadu. Jeśli woda popłynie szybciej niż poprzedniej nocy, przeskoczy spadek i uderzy prosto w was. Cała wasza trójka zostanie zmyta z łachy i wyląduje gdzieś w dolnym biegu rzeki, zapewne tonąc po drodze.

Mag kiwnął głową.

– Przeniesiemy obozowisko. Zjedz kolację.

Posilając się, zapytałem Pola, czy ma jakąś linę albo sznur. Potrzebowałem dłuższego kawałka niż te, które nosiłem w kieszeniach. Napelniwszy żołądek, przebrałem się z powrotem w strój z wczorajszego wieczora. Wysechł na słońcu, gdy spałem, za wyjątkiem podszewki w jednej

z kieszeni. Niedługo po północy rzeka zniknęła. Wydało mi się to równie magiczne, co poprzedniej nocy. Tym razem odczekałem nieco dłużej, żeby woda wydostała się z labiryntu. Następnie wziąłem od Pola linę i wszedłem do sadzawki.

Wśliznąłem się do środka przez kamienne drzwi i natychmiast znalazłem jeden ze swoich butów. Kołysał się w niewielkiej kałuży po drugiej stronie. Drugi natomiast cofająca się woda pozostawiła w kącie przedsionka. Założyłem obydwie na stopy i skrzywiłem się z obrzydzeniem. Były zimne. Uniosłem rygiel przy kolejnych drzwiach i znalazłem się znów w labiryncie. Nim otworzyłem zamek przy metalowej furcie, ciepło mojego ciała ogrzało buty i zdążyłem zapomnieć, że mam je na sobie.

Otwieranie zamków nie jest zbyt trudnym zadaniem. Wszystkie działają w oparciu o ten sam mechanizm: małe zapadki ustawione w jednej pozycji zamykają go, w innej – otwierają. Im ich więcej, tym droższy zamek, ale złodziej, który potrafi poradzić sobie z czterema, nie będzie mieć większych problemów z sześcioma, ośmioma czy dwunastoma. Użyje po prostu dłuższego wytrycha.

Jeśli chcesz, by coś było bezpieczne, lepiej wynajmij strażnika, przynajmniej dopóki ktoś nie wynajdzie lepszych zamków. Albo ukryj swój skarb tam, gdzie nikt go nie znajdzie. To właśnie robi większość ludzi. Odnajdywanie przedmiotów ukrytych za ramą łóżka, poruszanie się po domu tak, by nikt nie usłyszał – to dla złodzieja o wiele ważniejsze umiejętności niż otwieranie zamków. To i brak lęku wysokości. Mało kto ukrywa szmaragdowe kolczyki w piwnicy.

Zablokowałem jedne i drugie drzwi kamieniami, które zabrałem ze sobą znad brzegu rzeki, po czy pomaszerowałem przez labirynt do skupiska kości. Stałem i przyglądałem im się przez chwilę, a odbite światło lampy pełgało po ciemnej powierzchni wody. To miejsce, gdzie mógł być ukryty Dar

Hamiatesa, ale ja wcale nie miałem ochoty tu go szukać. Przeszedłem kilka razy w tę i z powrotem wzdłuż kałuży i wreszcie zanurzyłem dłonie na jednym końcu i zacząłem przeczesywać zimną wodę, wzburzając osad z dna i fragmenty kości. Znalazłem pierścień, dwa pierścienie, złote guziki, srebrne guziki, mosiężne guziki, fibule i brosze. Złodzieje, którzy odwiedzili to miejsce, musieli być bogaci, ale żaden z nich nie znalazł tego, po co tu przybył. Brosze wysadzone były lapisami, obsydianami i wieloma innymi kamieniami, ale żaden z nich nie był Darem Hamiatesa. Oczko jednego z pierścieni wykonano z ogromnego szmaragdu, na którym wyryto wzór, którego jednak nie potrafiłem dostrzec w półmroku. Był za duży na mój serdeczny palec, więc wsunąłem go na kciuk. Pozostałe znaleziska wrzuciłem z powrotem do wody jako dary ofiarne dla bogów.

Opuściłem korytarz i zacząłem żmudne zadanie mierzenia labiryntu przy pomocy otrzymanego od Pola sznura. Zajęło mi to całą noc. Powoli kończyłem, gdy nagle znów ogarnęła mnie panika. Zwinąłem linę drżącymi rękami i pospieszyłem w stronę wyjścia. Poruszałem się coraz szybciej, a pod koniec w zasadzie już biegłem, tak że niemal zderzyłem się z drzwiami. Były zamknięte. Kamienny blok nie pozostał na swoim miejscu, choć umieściłem go bardzo ostrożnie i unieruchomiłem, żeby powracająca woda nie była w stanie go wymyć. Zacząłem grzebać w poszukiwaniu narzędzi, po czym otworzyłem zamek. Kiedy ruszyłem w stronę kolejnych drzwi, które jak zdążyłem już dojrzeć również były zamknięte, uderzyłem stopą o kamienny blok. Najwyraźniej tu właśnie został odepchnięty. Moja druga stopa natrafiła natomiast na łom, zgubiony i zapomniany poprzedniej nocy. To zabolowało mnie o wiele bardziej, ale ani na chwilę się nie zatrzymałem. Kulejąc, dotarłem jak najszybciej do odległych drzwi i przeszedłszy przez nie, wydostałem się z labiryntu. Mój powrót nie był aż tak żałosny, jak poprzednim razem, ale tylko niewiele lepszy. Mag już na mnie czekał.

– Poszczęściło ci się? – zapytał.

– Nie.

– Cholera. To co ty tam robisz całymi nocami?

– Potykam się o łomy – odparowałem. – Gdzie moje śniadanie?

Posiliwszy się, poprosiłem królewskiego doradcę o papier. Wiedziałem, że ma dziennik, w którym zapisuje relacje z kolejnych dni naszej podróży.

– Chcesz napisać list do swojej ukochanej? – zapytał.

– Dlaczego uważasz, że moja ukochana potrafi czytać? Zamknij się i dawaj papier.

Mag roześmiał się i pomaszerował w kierunku swojego plecaka, spoczywającego obok jego posłania. Wyrwał kartkę z tyłu dziennika i teatralnym gestem położył ją przede mną.

– Robię to, o co się mnie poprosi – powiedział – czego nie można powiedzieć o tobie.

Wyrwałem mu papier z dłoni i zauważyłem zaskoczone spojrzenie Sofosa.

– Na co się gapisz? – zapytałem chłopca.

– Na nic.

– Dziwi się jedynie mojemu dobremu humorowi, Genie – wyjaśnił mag. – I temu, że tak ochoczo spełniam twoje gburowate prośby. – Następnie zwrócił się do Sofosa – Wielce szanuję rzemieślników, a Gen jest jednym z nich. Jednak jeśli dzisiejszej nocy nie wróci do nas z Darem Hamiatesa, lepiej żeby cała nasza trójka się potopiła, niż miała wracać do króla i poinformować go o porażce.

– Wasza trójka? – zapytałem. – A co ze mną?

– Och. – Królewski doradca machnął ręką. – Ty utoniesz w labiryncie.

Dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa. Bez słowa pochyliłem się nad kartką papieru. Używając do tego zwęglonego patyka, odwzorowałem na niej

wszystkie pomiary, jakie do tej pory przechowywałem w głowie. Labirynt z wolna nabierał kształtu, a mag w milczeniu zaglądał mi przez ramię.

– Co to takiego? – zapytał, wskazując palcem na rozmazaną smugę.

– Pomyłka. Niechcący odwracam pomiary. W każdym razie, ten wielki blok obsydianu, o którym ci opowiadałem, znajduje się dokładnie tutaj – Zaznaczyłem go kolejną smugą.

– Gdybym przybył tutaj, żeby się wzbogacić, uszczęśliwiłaby mnie ta informacja. Ile długości ma ta lina? – zapytał po chwili.

– Około trzydziestu stóp – odparłem.

– Dokładnie trzydzieści – wtrącił się Pol.

– A więc ta przestrzeń – królewski doradca dotknął kartki palcem – ma jakieś osiem na sześć stóp.

– Tak mi się wydaje.

– Myślisz, że jest tam jakaś ukryta komnata?

– Nie wiem. Każda ściana ma grubość dwóch czy trzech stóp. Gdzieś może znajdować się jakaś skrytka. Są jeszcze zewnętrzne ściany. Tajne przejście mogłoby prowadzić do długiego na milę tunelu. Nie mam pojęcia.

– Sprawdziłeś te ściany?

– Cał po calu – odpowiedziałem ze złością.

Mag położył mi dłoń na ramieniu i ścisnął lekko.

– Jeśli są tam jakieś drzwi, na pewno je znajdziesz – powiedział, a ja wzruszyłem ramionami. Wątpiłem, by mi się to udało. Nie istniały żadne drzwi. Byłem tego pewien.

– Przeszukałeś kości? – zapytał cicho. Nie zasugerował, bym to zrobił poprzedniej nocy, ale obaj byliśmy świadomi takiej konieczności.

– Tak.

– Znalazłeś coś?

Spojrzałem na pierścień wciąż tkwiący na moim lewym kciuku. Mag

także spuścił wzrok i aż zagwizdał. W świetle słońca zobaczyłem, że szmaragd miał mlecznobiałą skazę na jednym boku. Wygrawerowana na jego powierzchni pieczęć przedstawiała zakrzywioną rybę, czy może delfina. Białe przebarwienie stanowiło przełamującą się falę.

Mag pochylił się nade mną i zdjął mi pierścień z palca.

– Napis wykonano w starym stylu, sprzed czasów inwazji. Pierścień musiał przechodzić z rąk do rąk w rodzinie jego właściciela od wielu pokoleń, kimkolwiek ten był.

– Albo ten ktoś zgubił go tutaj bardzo dawno temu.

Królewski doradca przytaknął.

– Mogło być i tak. Włożę go do torby, żeby i nam się nie zgubił.

– Nie ma mowy – zaprotestowałem. Pierścień nie powinien leżeć w torbie, powinien być noszony na palcu. Moim palcu.

Mag spojrział na mnie, a ja wstałem. Pol zrobił to samo.

– Chcesz sygnet – powiedziałem głośniejszym głosem niż zamierzałem – to sam go sobie zdobądź.

– Już dobrze. – Mężczyzna ustąpił i oddał mi błyskotkę z uśmiechem na ustach. – Hieno cmentarna.

Roześmiałem się, słysząc ten epitet.

– Próbuję okraść świątynię, a twoim zdaniem powinienem przejmować się duchami kilku martwych ludzi? – Nasunąłem pierścień z powrotem na palec i położyłem się. Usnąłem, mając w głowie plan labiryntu.

Znów śniłem. W przedsionku, kobieta w bieli zawołała mnie po imieniu. Wiedziałem oczywiście, że zapisała je na swym zwoju, lecz mimo to, gdy usłyszałem, jak wypowiada je na głos, poczułem się tak, jakby opadła jakaś kojąca zasłona anonimowości. Zawahałem się, a ona powtórzyła je jeszcze raz.

– Jestem – odpowiedziałem.

– Wielu przeszukiwało labirynt dwukrotnie, lecz mimo to zdecydowało się odejść – zwróciła się do mnie cichym głosem. – Jeśli podejmiesz trzecią próbę, nie wyjdiesz bez tego, czego szukasz.

Kiwnąłem głową.

– Podjmiesz trzecią próbę?

– Tak.

– To żaden wstyd, jeśli tego nie zrobisz. – Umilkła, jakby zbyt oddaliła się od scenariusza, jaki dla niej napisano. – Kto cię tu sprowadza? – zapytała.

– Sam się sprowadzam – wyszeptałem.

– A więc podejmiesz trzecią próbę?

– Tak.

– Bądź ostrożny – powiedziała, odwracając się i biorąc do ręki białe pióro. – Nie obraż bogów.

Obudziłem się, zanim zdążyła unieść wzrok znad trzeciego znaku przy moim imieniu.

Do zachodu słońca zostało jeszcze ponad godzinę. Piasek, na którym leżałem, nagrzał się w ciągu dnia, więc było mi przyjemnie. Pozostałem więc na miejscu z zamkniętymi oczami i zacząłem rozmyślać o kamieniach, których użyłem do zablokowania drzwi. Nie powinny się poruszyć. Dopilnowałem tego. Czyżby ktoś to zrobił? Kobieta w bieli? Wewnętrzny głos w mojej głowie zachichotał. Ależ oczywiście, że znała moje imię. To był jedynie sen, wytwór mojej wyobraźni. Skoro sam znałem swoje imię, ona również je znała, ale sen nie może poruszyć kamiennych bloków.

Uchyliłem lekko powieki i spojrzałem na maga. Siedział wraz z Polem przy wygaszonym ognisku i rozmawiał z nim ściszonego głosem, żeby mnie nie obudzić, o jakiejś kampanii wojskowej, w której obaj brali udział. Żołnierz nie odsunął kamieni. Niespecjalnie obchodziło go, czy znaję

artefakt, czy nie, nie był też wrogiem maga. Z kolei mag mógł to zrobić, ale nie widziałem powodu. W mojej głowie pojawił się wprawdzie paskudny obraz przedstawiający królewskiego doradcę zatrzaskującego drzwi wyjściowe i blokującego mi wyjście dopóki nie oddam mu Daru Hamiatesa, ale był to jedynie koszmar senny, a nie jawa. Pomimo swojego całkowitego oddania sprawie zapewnienia Sounisowi panowania nad światem, był w zasadzie całkiem uczciwym człowiekiem. Kiedy oskarżyłem go, że zamierza wbić mi nóż w plecy jak tylko oddam mu kamień, zareagował oburzeniem i złością. Okradłby cały kraj, ale nie zabiłby jednego, brudnego złodziejzka. Podobnie zresztą jak Pol, chyba że królewski doradca wydałby mu taki rozkaz. Sofosa też nie uważałem za potencjalnego skrytobójcę. Martwiłbym się Ambiadesem, ale pozostawiliśmy go na odległym krańcu dystopii.

Więc kto poruszył kamienne bloki? Ostatecznie doszedłem do wniosku, że nikt. Drzwi musiały być cięższe niż mi się wydawało, a mokre skały dużo bardziej śliskie. Muszę po prostu zachować większą ostrożność. Mój żołądek upomniał się, że nie jadłem drugiego śniadania, usiadłem więc na swoim posłaniu.

– Witamy – odezwał się mag. – Co chcesz do jedzenia: suszoną wołowinę, suszoną wołowinę czy może suszoną wołowinę?

– Poproszę faszerowane gołębie w sosie i trochę porządnego wina. Byle nie żadnego sikacza.

Królewski doradca podał mi niemalże puste zawiniątko z suszoną wołowiną i pół bochenka chleba.

– Smacznego.

Chleb miał już cztery dni, żuło się go więc równie ciężko, co wołowinę. Męcząc się nad swoim posiłkiem, przysłuchiwałem się magowi i Polowi, rozprawiającym wciąż o wspólnej kampanii. Rozejrzałem się w poszukiwaniu Sofosa, ale nigdzie nie mogłem go dostrzec.



– Posłałem go po drewno – wyjaśnił królewski doradca, przerywając rozmowę.

Znając chłopca, zapewne wpadł do rzeki.

– Potrafi pływać? – Wyraziłem swoje myśli na głos.

Mag spojrział na Pola, a ten wzruszył ramionami. Bez słowa obaj wstali, otrzepali się z piasku i ruszyli na poszukiwania. Kiedy zniknęli, otworzyłem torbę żołnierza, zabrałem z niej jeszcze jeden pasek mięsa i schowałem go do kieszeni. Mag zapewne dałby mi go, gdybym tylko o to poprosił, ale od czasu incydentu z batem jeździeckim nie miałem ochoty domagać się dokładki.

Zza wzniesienia za moimi plecami wyłonił się Sofos, niosąc w dłoniach naręczą chrustu.

– Gdzie są wszyscy?

– Poszli cię szukać – odpowiedziałem i wyjaśniłem mu, że myśleli, że utonął.

Chłopiec naburmuszył się i siedział w milczeniu przez następne pół godziny, dopóki znad brzegu rzeki nie wrócił do obozowiska mag. Zobaczywszy Sofosa, cofnął się z powrotem za zakręt i musiał pomachać do Pola, bo po chwili obaj pojawili się na miejscu.

Mężczyźni usiedli obok nas, a wtedy, patrząc gdzieś w przestrzeń, chłopiec powiedział z naciskiem:

– Świetnie pływam.

– Mamy coś na kolację? – zapytałem.

Jedząc, oczekiwaliśmy zniknięcia rzeki. Odsunąłem się od ognia, by znaleźć się w ciemności. Sofos ruszył za mną.

– Gen – zaczął. – Czy z wnętrza świątyni słyszysz, kiedy woda wraca?

Pomyślałem o atakach paniki, jakich doznałem w ciągu obu nocy. Może moje uszy słyszały coś, czego nie rozumiała głowa.

– Nie wiem – odpowiedziałem i opowiedziałem mu o ogarniającej mnie

grozie. Nie zataiłem przed nim też kwestii usuwających się bloków.

– Myślisz – zawahał się – że oprócz ciebie jest tam... ktoś jeszcze?

Wolałabym, żeby nie było aż tak oczywiste, że z początku chciał powiedzieć „coś” zamiast „ktoś”. Nie żebym wierzył w duchy i ghule, ale ich istnienie wydawało się jakoś bardziej prawdopodobne, kiedy tkwiło się w zimnej, ciemnej i mokrej dziurze pod ziemią.

Pamiętałem, by trzeciej nocy w labiryncie podnieść łom, leżący u jego wejścia. Następnie ruszyłem prosto w kierunku korytarza, biegnącego przez jego środek. Kładąc dłoń przy dłoni, zbadałem każdy kawałek jego wewnętrznych ścian, od początku do końca, a potem, wędrując przez labirynt, zrobiłem to samo także po zewnętrznej stronie. Zajęło mi to większość nocy, a i tak niczego nie udało mi się znaleźć. Udałem się do kałuży w głębi labiryntu i zacząłem brodzić w wodzie, co jakiś czas krusząc pod stopami kości, choć uważałem, by tego nie robić. Potem zbadałem tylną ścianę, ale i tam moje wysiłki spełzły na niczym.

Moim poszukiwaniom towarzyszyły niewypowiedziane przez Sofosa słowa „Myślisz, że oprócz ciebie jest tam coś jeszcze?”, błąkające mi się po głowie. Co kilka minut oglądałem się za siebie, przeklinając chłopca. Zwrócił moją uwagę na coś, o czym wolałem nie myśleć.

Płomień mojej lampy załopotał, a mnie ogarnęła panika. Zawróciłem do środkowego korytarza i zatrzymałem się. Oblewały mnie fale grozy, pchając mnie w kierunku wyjścia. Wiedziałem, że mam jeszcze czas, zanim labirynt wypełni się wodą i ani myślałem uznawać jeszcze swojej porażki. Zaparłem się mocno stopami i złapałem się skały, szukając w niej oparcia. Zamierzałem odnaleźć Dar Hamiatesa, ale jeśli mi się to nie uda, albo – jak podejrzewałem – wcale go tu nie było, mogłem równie dobrze utonąć. Ostatecznie, do czego niby miałbym wracać?

Panika ustąpiła wreszcie, a ja spojrzałem na ścianę przed sobą. Jej

powierzchnię pokrywały wypukłości i fale, w miejscach, gdzie zastygła płynna skała. Jednak nie widać było żadnych pęknięć ani szczelin, które wskazywałyby na ukryte przejście czy mechanizm. Zbadałem całą środkową część, aż wreszcie zakląłem głośno ze złości i uderzyłem w skałę łomem.

Zabolała mnie ręka. Narzędzie wylądowało z brzękiem u moich stóp. Miałem szczęście, że nie odbiło się od kamienia i nie trafiło mnie w twarz. Odwróciłem się i usiadłem przy ścianie, masując dłoń i ocierając łzy z twarzy. Panika ustąpiła, ale wciąż kusiło mnie, by wydostać się z labiryntu na zewnątrz. Nie mam pojęcia, czy mógłbym to zrobić, czy też nie. Nie zostałem w środku, ponieważ znalazłem się w pułapce. Zostałem, bo byłem zbyt głupi, by odejść. Może ludzie, do których należały kości na tyłach, też utonęli przez swój upór.

Spoglądając na ogromną bryłę obsydianu przed sobą, zastanawiałem się, ile osób siedziało tu przede mną. Hefestiańskie szkliwo było piękne. Pełgało po nim światło lampy stojącej u mojego boku. Moje odbicie też tam było, zniekształcone przez wypukłości i załamania w powierzchni obsydianu. Przez chwilę przyglądałem się odbłaskowi płomienia i znów przyszło mi do głowy, jak bardzo szkliwo przypomina okno pośród nocy, odbijające światło ze środka domu, podczas gdy świat pogrążony jest w ciemności, lecz ukrywające widok wnętrza. Jak bardzo przypomina okno... albo drzwi.

Wstałem, zapominając zupełnie o bólu ręki. Obsydian dwukrotnie przewyższał rozmiarami otwór drzwiowy, jednak pokrywały go żyłki litej skały. Położyłem dłonie na powierzchni minerału i przycisnąłem do niej twarz, próbując zajrzeć na drugą stronę. Zobaczyłem tylko mrok. Podniosłem łom i wstrzymując oddech uderzyłem nim w szkliwo.

Narzędzie odbiło się, odłamując jedynie niewielki kawałek obsydianu. Odwróciłem twarz i zamachnąłem się jeszcze raz, mocniej. Na ziemię posypały się większe kryształy, a od miejsca, w które trafił mój łom,

rozchodziły się gwiaździste pęknięcia. W miejscu ich zbiegu powstał niewielki otwór, może wielkości guzika. Przepchnąłem przez niego koniuszek palca, uważając na ostre krawędzie, i pokręciłem nim trochę pośród otwartej przestrzeni po drugiej stronie.

Odwróciwszy znów twarz zacząłem raz za razem uderzać łomem w drzwi ze szkliwa, aż poczułem, że coś obluzowuje się i roztrzaskuje na podłodze. Spojrzałem i zorientowałem się, że od reszty odpadł blok wielkości napierśnika, który rozbił się na drobne kawałki u moich stóp. W powietrzu unosił się pył, który kłuł mnie w oczy. Uniosłem lampę i przystawiłem ją do otworu w obsydianie. Po drugiej stronie nie było żadnego pomieszczenia, lecz pusta przestrzeń, która według moich obliczeń miała znajdować się za przeciwległą ścianą korytarza. Obejrzałem się za siebie, zaskoczony własnym błędem. Potem nachyliłem się znów w stronę otworu. Dostrzegłem dwanaście stromych stopni prowadzących w górę, ku pomieszczeniu, którego nie dosięgało światło mojej lampy.

Kilkoma rozważnie umiejscowionymi uderzeniami łomu powiększyłem otwór pomiędzy żyłkami litej skały. Obluzowałem kilka bloków większych niż półmiski. Wyłuskałem każdy z nich i ostrożnie ułożyłem na ziemi. Nagle jeden cios zawalił wszystko.

Skalne żyłki pokruszyły się na kamyki wielkości pięści, a spomiędzy nich wypadł ogromny kawał szkliwa, roztrzaskując się w drobiazgi. Odłamki wystrzeliły na wszystkie strony niczym pociski. Odskokczyłem i zasłoniłem twarz obiema rękami. Kiedy pył opadł, spojrzałem przez prześwit, odpowiadający wielkością niemalże dwóm otworom drzwiowym na schody, wypełniające całą przestrzeń wnętrza. Miały jakieś osiem stóp szerokości, jak wynikało z obliczeń maga i mojej mapy. Nie potrafiłem jednak wyjaśnić, jakim cudem znalazły się po tej stronie korytarza, gdzie ściana liczyła sobie zaledwie dwie stopy grubości.

Znów upuściłem lampę, ale na szczęście nie zgasła. Podniosłem ją z ziemi, przedostałem się przez odłamki obsydianu oraz kamienia i wspiałem się po schodach. Moja lampa była okrągła, pękata, nieco szersza niż wyższa i spłaszczona u podstawy, z dwoma zniekształceniami po jednej stronie, w miejscach, gdzie uderzyła o ziemię, gdy ją upuściłem. Miała coś w stylu dzióbka z otworem na knot, ale brakowało jej uchwytu. Musiałem więc trzymać ją na dłoni. W miarę wypalania się oleju robiła się coraz lżejsza, a mosiądz coraz bardziej się nagrzewał. W tamtej chwili w środku zostało już niewiele oleju, co znacznie obniżyło ciężar lampy. Trzymałem ją nieco powyżej wysokości wzroku, żeby rzucała swoje wątłe światło na drogę przede mną. Nie natrafiłem jednak na żadne przeszkody. Wspinałem się po schodach, nie spuszczając wzroku ze stopni, dlatego zorientowałem się, że w pomieszczeniu było całe mnóstwo ludzi dopiero, gdy znalazłem się na samej górze.

Stali w rozproszeniu po obu stronach przejścia. Nikt się nie odzywał i nikt nie patrzył w moją stronę, niemożliwe jednak, by nie byli świadomi mojej obecności. Roztrzaskujący się o podłogę obsydian narobił hałasu zdolnego obudzić nawet umarłych, ale nikt nie zwrócił tu na to uwagi. Stałem na widoku, ale nikt na mnie nie spojrzał. Wreszcie zdałem sobie sprawę, że jedyną rzeczą, jaka poruszała się w tym pomieszczeniu, były cienie w świetle lampy na mojej drżącej dłoni. Wreszcie odetchnąłem z ulgą. To tylko posągi.

Mijając je, zdałem sobie sprawę, że ich doskonałość czyniła je nierealnymi. Ich skóra, jaśniejsza czy ciemniejsza, była nieskazitelnie gładka, twarze symetryczne, a spojrzenie przejrzyste. Żaden nie miał blizn, wykrzywionych kończyn czy zez. Miałem ochotę dotknąć tej idealnej skóry, ale zabrakło mi śmiałości. Musnąłem jedynie palcami materiał jednej z szat. Była ciemnoniebieska, a utkano ją tak, że przypominała płynącą wodę. Miał ją na sobie wysoki mężczyzna. Wyższy niż ja, to oczywiste, ale wyższy

nawet od maga.

Z dala od głównego przejścia, w głębi pomieszczenia, natrafiłem na kobietę w białym peplosie. Rozpoznałem ją, choć nie miała pióra ani zwoju, i uśmiechnąłem się. Była to Moira, zapisująca losy ludzi. Nie zastanawiałem się, jak pojawiła się w moim śnie. Znalazłem jej podobiznę i odniosłem wrażenie, że oto wyjaśniły się wszystkie tajemnice.

Pozostawiłem ją i zwróciłem się w stronę ołtarza, ale pomyliłem się. Nie było żadnego ołtarza. W miejscu, gdzie spodziewałem się go ujrzeć, znajdował się tron, na którym siedział posąg Wielkiej Bogini Hefestii. Bogini odziana była w szatę z aksamitu w kolorze ciemnej czerwieni w miejscach, gdzie udrapowano ją w fałdy, i jaśniejszej na brzegach. Jej włosy okalała złota, tkana wstęga wysadzana rubinami. Na kolanach trzymała niewielką tacę, na której lustrzanej powierzchni spoczywał pojedynczy kamień. Podeszedłem bliżej, aż wreszcie znalazł się w zasięgu mojej dłoni. Zamarłem z wyciągniętą ręką i trwałem tak w bezruchu, obserwując, jak zmienia się wzór światła na aksamitnej szacie. Serce zastygło mi w piersi niczym kamień.

To nie był wizerunek Hefestii wykonany z dbałością o szczegóły i umieszczony pośród posągów innych bogów. To Wielka Bogini we własnej osobie, w otoczeniu swego dworu. Moja wyciągnięta ręka zaczęła drżeć. Zamknąłem oczy, słysząc za sobą szelest materiału. Może to Oceanus sprawdzał, czy nie pobrudziłem ciemnoniebieskiej tkaniny przypominającej wodę. Uniosłem jedną powiekę i spojrzałem na Wielką Boginię. Patrzyła w przestrzeń, obojętna i odległa, nie tyle nieświadoma mojej obecności, co zupełnie nią nieporuszona.

Za moimi plecami rozległy się szepty, ale nie byłem w stanie wyłowić z nich żadnych słów. Kątem oka dostrzegłem, że ktoś podeszedł bliżej. Nie zobaczyłem go wcześniej, choć powinienem był odszukać go wzrokiem. Jego

skóra nie była czarna jak u Nimbijczyków. Miała raczej odcień głębokiej, brązowawej czerwieni niczym wypalona glina, jak u starożytnego ludu, po którym zostały jedynie portrety na ścianach ruin na wyspach morza środkowego. Włosy miał ciemne, podobnie jak jego siostra, jednak odbijające się światło nadawało jej pukłom złote i kasztanowe refleksy, natomiast jego pasma były czarne niczym węgiel. Jego twarz była o wiele węższa, a nos ostrzejszy. Na policzku miał jaśniejszą bliznę po oparzeniu w kształcie zaokrąglonego pióra. Był niższy niż pozostali bogowie i nosił prostą, szarą tunikę.

– Na razie nie obraziłeś bogów – przemówił wreszcie Eugenides, bóg, który kiedyś był śmiertelnikiem. – Może za wyjątkiem Araktusa, którego zadaniem było nie dopuścić tu żadnego złodzieja. Możesz wziąć kamień.

Nadal trwałem w bezruchu.

Patron złodziei podszedł jeszcze bliżej. Stał po prawicy siostry i położył dłoń na jej dłoni.

– Weź go – powtórzył. W jego mowie pobrzmiwał dziwny akcent, ale nie różniła się ona zbyt wiele od mojej. Nie było maga, który zaraz powiedziałby mi, jak miała się do języka cywilizowanego świata. Nie miałem problemów ze zrozumieniem słów boga. Po prostu nie mogłem się ruszyć.

Podejrzewam, że zawiodły mnie nerwy. Nie chodziło w zasadzie o to, że bałem się, iż spadną na mnie gromy z nieba. Po prostu w czasach szczenięcych, religia musiała jakoś wpłynąć na mój tok rozumowania, a ja nawet nie byłem tego świadomy. Sama myśl, że miałbym ukraść coś Wielkiej Bogini wydawała się straszliwa. Nie potrafiłem tego zrobić.

Jednak nie byłem też w stanie tak po prostu odwrócić się i uciec. Trochę zaskoczyło mnie, jak uparty się stałem, nie miałem jednak zamiaru opuścić tego miejsca bez Daru. Za duże miało to dla mnie znaczenie. Do moich uszu dotarł odległy szum i grzechot kamieni, gdy rzeka zaczęła znów płynąć

swoim korytem gdzieś nad moją głową, ale mimo to trwałem wciąż w bezruchu tak jak bogowie, których wziąłem za posągi. Poruszałem tylko oczami, przenosząc je z małego, szarego kamienia na tacy na dłoń Eugenidesa i jego twarz. A potem, myśląc, że skoro i tak zginę, to chociaż zrobię coś, co dane było niewielu osobom od czasu stworzenia świata – spojrzałem znów w oczy Wielkiej Bogini. Na krótką chwilę odpowiedziały mi tym samym. Tego było już za wiele.

Wyzwolony z paraliżu, pochyliłem się nieco bliżej i porwałem kamień z lustrzanej tacy, po czym odwróciłem się i puściłem pędem. W uszach huczały mi odgłos powracającej wody. Wybiegłem na schody, mijając obserwujących mnie obojętnie bogów. Podniosłem tylko głowę, by spojrzeć na Moirę, ale nie zobaczyłem jej w tłumie.

Przeskoczyłem dwa pierwsze stopnie, a pozostałe pokonałem potykając się. Wpadłem na ścianę naprzeciwko i upuściłem lampę. Nie zamierzałem jednak jej podnosić. Nie potrzebowałem jej, spędziwszy trzy noce w labiryncie. Biegłem przed siebie, dotykając rękami ścian, w jednej dłoni ściskając Dar Hamiatesa. Kiedy ściana po lewej urwała się, skręciłem w lewo, potem dwa razy w prawo, następnie dwa razy w lewo i chlupocząc popędziłem w kierunku drzwi, które wprawdzie unieruchomiłem, ale które mimo to znów się zamknęły. Wyobraziłem sobie, jak Araktus wykonuje gest dłonią, pchając nieco więcej wody do środka, by odsunąć zostawione przeze mnie kamienne bloki. Wciąż jeszcze może mu się udać uwięzić mnie w pułapce. Woda przelewająca się przez kratę w drzwiach obmywała mi nogi. Miała już sześć cali głębokości. Ilu złodziei dotarło do tego miejsca, a mimo to utonęło? Czy moje kości też skończą w kałuży na tyłach labiryntu? Czy obsydianowe drzwi na nowo się zasklepią, a Dar znajdzie się znów na lustrzanej tacy?

Gdybym upuścił narzędzia, zniknęłyby gdzieś pod powierzchnią, ale na



szczęście żadne z nich nie wyleciało mi z rąk. Woda po drugiej stronie miała dwanaście cali głębokości, lecz nim udało mi się dotrzeć do kolejnych drzwi, jej poziom sięgnął niemal dwóch stóp. Otworzyłem zamek i cofnąłem się pod naporem rzeki. W przedsionku woda sięgała mi już do pasa, a fale wzburzane przez wodospad, wlewający się do środka przez otwór w sklepieniu, obmywały mi pierś. Słup wody połyskiwał w świetle księżyca, ale mimo to w komnacie było równie ciemno jak w labiryncie. Ostrożnie posuwałem się naprzód, trzymając się blisko ścian, ale pośliznąłem się u szczytu schodów prowadzących ku wyjściu na zewnątrz i znalazłem się pod wodą, po czym popychany prądem zostałem przygwożdżony do kamiennych drzwi, nie mogąc złapać oddechu.

Próbowałem przekręcić się i znaleźć jakiś punkt oparcia, by móc unieść głowę, ale rzeka trzymała mnie mocno odwróconego na plecy, z głową w dół. Przesuwałem dłonie na oślep, ale nie byłem w stanie dźwignąć się na nich, by uwolnić ciało spod naporu wody. Rzeka pieniała się wokół. Skończyło mi się powietrze. Ogarnęła mnie ciemność czarniejsza niż odmęty.

## Rozdział dziesiąty

Kiedy odzyskałem przytomność, słońce stało już na niebie, a dzień robił się ciepły. Leżałem na piaszczystym brzegu Araktusa ze stopami w wodzie. Rzeka unosiła je i kołysała nimi lekko, nie próbując już jednak wciągnąć mnie pod powierzchnię. Płynęła cicho swym korytem, jakby skłonna pogodzić się z utratą Daru Hamiatesa. A przynajmniej to właśnie przyszło mi do głowy, gdy otworzyłem oczy. Chwilę później w mym umyśle pojawiły się nieco rozsądniejsze pytania. Czy zeszłej nocy próbowałem uciec z labiryntu w ostatniej chwili i uwięziony przez wodę wymyśliłem sobie całą resztę – obsydianowe drzwi, bogów, Hefestię i Dar Hamiatesa?

W sumie wszystko to wydawało się czystą fantazją, idealnie pasującą do snów, jakie nawiedzały mnie w ciągu ostatniego tygodnia. Zastanawiałem się, czy byłbym w stanie wyobrazić sobie tkaninę, z jakiej wykonana została szata Oceanusa i to, jaka wydawała się w dotyku – z początku chłodna niczym satyna, potem miękka jak aksamit. Moje palce zetknęły się ze sobą na samo wspomnienie. Spojrzałem w dół, by zobaczyć, co trzymałem w ręce. Po całej nocy spędzonej w rzece, w mojej dłoni wciąż spoczywał zwyczajny, niepozorny, szaro-biały, nakrapiany kamień – Dar Hamiatesa.

Nakrywszy dłoń drugą, zamknąłem oczy i podziękowałem Hefestii, Eugenidesowi, Oceanusowi, Moirze, Araktusowi oraz wszystkim bogom i boginiom, jakich tylko zdołałem sobie przypomnieć. Następnie wyciągnąłem nogi z rzeki, podciągnąłem się wyżej, gdzie piasek był suchy i zasnąłem. Tak właśnie znaleźli mnie mag, Pol i Sofos. Widzieli kamienne drzwi z klifu znajdującego się poza zasięgiem wodospadu. Przyszli po mnie ze wszystkimi pakunkami, w razie gdyby mieli znaleźć mnie martwego i pogrzebać, a potem ruszyć w drogę powrotną do domu. Przebudziwszy się, zobaczyłem ich stojących nade mną.

– No cóż – odezwał się mag, gdy przetoczyłem się na drugą stronę. – To przynajmniej jakaś dobra wiadomość. – Usiadłem, a on pochylił się nade mną. – To wielka ulga dla mojego sumienia, że nie utonąłeś, Genie. – Poklepał mnie z zakłopotaniem po ramieniu. – Ty żyjesz, my żyjemy, więc przynajmniej nasza wyprawa nie była katastrofą, jak wszystkie poprzednie. Nawet jeśli nie udało nam się znaleźć Daru Hamiatesa, to przecież ktoś inny mógł znaleźć go pierwszy. Albo może wcale go tam nie było?

Zamierzałem przez chwilę potrzymać go w niepewności, ale wydawał się tak przygnębiony, że nie do końca chętnie, jednak przysunąłem dłoń i otworzyłem palce, ukazując mu Dar Hamiatesa.

Pod magiem ugięły się kolana. Przykucnął przy mnie z otwartymi ustami. Uśmiechnąłem się, widząc jego zachwyty, ale też byłem zadowolony sam z siebie. Kompletnie zaskoczyło mnie, gdy mężczyzna objął mnie ramionami i przytulił jak własnego syna, a przynajmniej bliskiego krewnego.

– Jesteś niesamowity, Genie. Każę wyryć twoje imię na steli przed bazyliką, obiecuję.

Roześmiałem się głośno.

– Gdzie był?

Opowiedziałem mu o obsydianowych drzwiach i schodach prowadzących do sali tronowej, ale zawahałem się. Przyszła pora wspomnieć o bogach, ale postanowiłem pominąć tę kwestię. Rozmawianie o nich w świetle dnia wydało mi się niewłaściwe, a przy tym ludzie, którzy w nich nie wierzyli, mogliby mnie wyśmiać. Jeśli nawet mag zauważył moją chwilę niepewności, to nic na ten temat nie powiedział.

– Rzeka wylała dokładnie tak, jak przewidziałeś – powiedział. – Pochłonęła całe nasze wcześniejsze obozowisko na brzegu. Zawdzięczamy ci więc zarówno nasze życie, jak i to. – Spojrzał na trzymany w dłoni kamień.

– To naprawdę on? – zapytał Sofos. – Skąd wiesz?

Królewski doradca odwrócił przedmiot na drugą stronę, by przyrzeć się wyrytemu tam napisowi. Były to cztery symbole oznaczające starożytne imię Hefestii.

– Ale to tylko zwykły, szary kamień – nie ustępował chłopiec.

– Masz jakiegokolwiek wątpliwości? – zapytałem.

– Nie – przyznał. – Nie rozumiem tylko, dlaczego jestem taki pewien.

– W historii, którą opowiadałem którejś z wcześniejszych nocy, kiedy Hefestia nagrodziła Hamiatesa, wyłowiła ponoć zwykły kamień z rzeki i zanurzyła go w wodzie nieśmiertelności.

– A więc to tylko skała?

– Niezupełnie – włączył się mag. – Pozwól, by oświetliło ją słońce i popatrz uważniej. – Oddał mi artefakt. Przez chwilę ważyłem go w dłoni. Był owalny i dostatecznie ciężki, by nadać się do procy. Przyjrzałem się wnikliwie znakom wyrytym na jego powierzchni i zauważyłem, że w świetle słońca, w głębi, coś połyskuje na niebiesko.

– To szafir – powiedziałem. – Przynajmniej częściowo. – Zajrzałem przez otwór wywiercony na wylot, po czym odwróciłem kamień i po dokładniejszym zbadaniu udało mi się zidentyfikować miejsca, w których wygładziła go woda, odsłaniając błękitne kryształki ukrytego w jego wnętrzu klejnotu.

– Wśród zwojów arcykapłana Eddis znajduje się jego opis – powiedział mag. – Za każdym razem, gdy pojawiał się ktoś z kamieniem, arcykapłan porównywał go z opisem. Przeczytać go mógł tylko kapłan, więc nikomu nigdy nie udało się wykonać przekonującej kopii. Zapewne dlatego, że ciężko skorumpować kogoś tak bogatego i potężnego, jak arcykapłan Eddis.

– Albo był już dawno skorumpowany i nie chciał dzielić się z nikim swą władzą – podsunąłem.

– Ale ty znasz ten opis? – zapytał maga Sofos.

– Tak.

– Skąd? – Tym razem to ja chciałem zaspokoić swą ciekawość.

– Mój poprzednik odwiedził arcykapłana przy okazji wizyty w Eddis w charakterze ambasadora. Poczęstował go winem nafaszerowanym środkami oszalamiającymi, po czym kiedy tamten stracił przytomność, przejrzał zawartość jego biblioteki. Wtedy nie uważał wprawdzie, by opis kamienia był jakoś szczególnie istotny, ale zanotował go w swoim dzienniku, który to znalazłem po jego zniknięciu.

Zadrzałem na samą myśl o podtruciu arcykapłana. Za tego rodzaju przestępstwo wciąż zrzucali ludzi z góry.

– Jesteś mokry, Genie – powiedział mag, źle odczytując przyczynę moich dreszczy. – Przebierz się w suche ubrania i zjedz coś. A potem, o ile masz dość siły, chciałbym, żebyśmy pokonali przynajmniej część drogi przez dystopię. Resztę żywności pozostawiliśmy przy Ambiadesie.

Zjadłem resztki suszonego mięsa. Chleb się skończył. Sofos napełnił kubek wodą z rzeki i odstawił go, by opadł osad. Zgubiłem gdzieś sznurek, którym wiązałem włosy, poprosiłem więc Pola o nowy. Żołnierz podał mi dwa kawałki rzemienia, dłuższy i krótszy. Pierwszym związałem koniec warkocza, a drugi zostawiłem sobie na później. Potem ruszyliśmy przez dystopię. Mag zawiesił sobie Dar Hamiatesa na szyi. Kamień opuścił moje ręce w zaledwie kilka godzin po tym, jak go ukradłem.

Kiedy w okolicach południa zrobiło się gorąco, skryliśmy się w cieniu rzucanym przez pochyloną skałę i przespaliśmy tam kilka godzin. Dotarliśmy do skraju drzewek oliwnych, gdy słońce zaczynało już zachodzić, ale wciąż znajdowaliśmy się jakąś milę drogi od miejsca, gdzie odłączyliśmy się od Ambiadesa. Skręciliśmy na południe. Niebo było jasne, ale gaje pozostawały skryte w mroku. Pośród ciemności, widzieliśmy płonące ognisko Ambiadesa.

Mag pokręcił głową.

– Widać go z pięćdziesięciu mil. – Posłał Pola przodem, by ten zgasił ogień, albo przynajmniej trochę go przytłumił, więc gdy dotarliśmy na polanę, Ambiades zdążył już wyjść z szoku na widok naszej grupy całej i zdrowej.

– Myślałem, że zginęliście – powiedział. Nie przyznał, że podtrzymywał ogień, by płonął jasnym blaskiem, bo bał się, że wrócą po niego nasze duchy. Pod naszą nieobecność zjadł większość żywności, ale mag oszczędził mu połajanki i wszyscy poszliśmy spać. Nie obudziłem się ani razu, by sprawdzić, czy ktoś mnie pilnował. Obudziłem się dopiero, gdy słońce stało już na niebie i gdy usłyszałem, jak Ambiades kręci się po obozowisku, sprzątając bałagan, jakiego narobił, gdy nas nie było. Nie mieliśmy nic na śniadanie.

Mag zaplanował, że zejdziemy na dół wzdłuż skraju Morza Oliwnego do najbliższego miasteczka, gdzie kupimy żywność i konie.

– Wrócimy do domu bardziej bezpośrednią trasą. Teraz, gdy mamy już kamień, lepiej będzie poruszać się jak najszybciej.

Perspektywa świeżego jedzenia musiała ucieszyć konie w takim samym stopniu, co mnie. Wśród wysuszonych traw miały raczej kiepski popas. Spakowaliśmy się i wjechaliśmy pomiędzy oliwki, podróżując w ich cieniu aż dotarliśmy do zarośniętej dróżki, skręcającej w stronę odległej Seperchii. Wkrótce znaleźliśmy się nad szerokim, płytkim strumieniem. Kiedy tylko nasze wierzchowce weszły do wody, zza kępy wyschniętych dębów i jeżyn wypadła grupa konnych. Zauważyłem, że w dłoniach mieli miecze. Nie interesowało mnie już nic więcej.

Jechałem wraz z magiem na przedzie, niemalże kolano w kolano. Pociągnąłem wodze w bok i mój koń wpadł na swojego towarzysza. Przez chwilę otarłem się o ramię królewskiego doradcy, po czym zmusiłem zwierzę do zwrotu na zadzie i wbijając mu pięty w boki, wjechałem znów pomiędzy

drzewa na brzegu. Widząc zbliżającą się gałąź, chwyciłem ją wolną ręką, podciągnąłem się i zniknąłem w koronie.

Kiedy bezpiecznie skryłem się na wyżej położonym konarze mogłem zaryzykować spojrzenie w dół. Pol i mag trzymali w dłoniach własne miecze, a jeden z atakujących leżał już w wodzie. Na własne oczy przekonałem się, że królewski doradca był równie niebezpiecznym przeciwnikiem, co żołnierz. Między sobą mieli trzech pozostałych konnych. Za nimi znajdował się Sofos, odwrócony w siodle plecami do walki, próbował wydobyć z torby podróźnej własną broń. Ambiades chciał uczynić to samo, ale miał na tyle oleju w głowie, by wydostać się najpierw na brzeg, z dala od niebezpieczeństwa. Skierowany w niewłaściwą stronę młodszy chłopiec nie miał pojęcia, jak niewiele dzieliło go od wrogich ostrzy.

Zawołałem go po imieniu, ale nie usłyszał mnie pośród innych krzyków. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że były głównie ponagleniami ze strony Pola i maga, by zostawił miecz i schował się między drzewami. Żołnierz odciągał na bok jeden z atakujących, przez co królewski doradca został sam z dwoma napastnikami. Sofos wciąż nie zdawał sobie sprawy w niebezpieczeństwa. Całą uwagę skierował na pas od miecza, który zaczepił się o sprzączkę przy sakwie.

Klnąc, stanąłem na gałęzi i przebiegłem po niej aż do samego końca. Opadłem głową w dół, wspierając większą część ciężaru na najgrubszym konarze, ale częściowo też na mniejszych i sięgnąłem przez kłujące liście. Udało mi się dosięgnąć jedynie włosów Sofosa, więc złapałem go za nie mocno i pociągnąłem. Chłopiec stracił równowagę dokładnie w tym samym momencie, kiedy jeden z konnych przedarł się pomiędzy magiem i Polem.

Sofos zwałił się z wierzchowca twarzą w dół, niemal pociągając mnie za sobą. Wylądował w błocie, za swoim zwierzęciem, oddzielającym go teraz od walczących. Gdyby pozostał w tej pozycji, byłby bezpieczny, ale zamiast

tego wstał z bronią w ręku, a koń uciekł. Chłopiec znalazł się twarzą w twarz z atakującym i z otwartymi ustami przyglądał się, jak tamten wzniósł miecz.

Zamknąłem oczy, jednak Sofos musiał w ostatniej chwili przenieść ciężar ciała i zablokować cios wymierzony w jego głowę. Wytracony z równowagi, zbyt wolno powrócił do gardy i nie mam pojęcia, co stałoby się później, gdyby nie szczęśliwy fakt, że chłopiec nie musiał robić już nic więcej. Kiedy podniosłem powieki, miecz Pola tkwił w klatce piersiowej mężczyzny, niemal po samą rękojeść. Napastnik stęknął i zawisł na chwilę na ostrzu, po czym ześliznął się do wody. Po drugiej stronie strumienia rozległ się kolejny plusk – to mag pokonał swojego przeciwnika. Wstałem i przeszedłem po gałęzi w stronę pnia.

W wodzie stały cztery konie bez jeźdźców, tupiąc i chlupocząc. Kiedy wreszcie trochę się uspokoiły i przestały chrzęścić kopytami po żwirze, królewski doradca spytał, czy Sofos nie został ranny.

– Nie, wszystko w porządku.

– To dobrze. Ambiadesie?

– W porządku.

– Pol?

– Nic poważnego. – Żołnierz ścierał krew z rozcięcia poniżej łokcia.

– A ty, Genie? Widzę, że znalazłeś sobie bezpieczne schronienie, gdy my byliśmy zajęci.

Otworzyłem już usta, by wytknąć mu, że przecież nie miałem miecza, żeby móc się bronić – nie żebym wtedy mimo wszystko nie wspiął się na drzewo – ale tylko wbiłem wzrok w maga i zastygłem z rozwartą szczęką niczym jakiś przerażony gargulec. Wskazałem palcem na jego koszulę. Królewski doradca podniósł dłoń i zaczął obmacywać się w poszukiwaniu rany. Dopiero po chwili zorientował się, o co mi chodziło. Dar Hamiatesa zniknął. Spuścił wzrok i popatrzył na odcięty rzemyk, spoczywający mu na



ramieniu. Z niedowierzaniem przebiegł po nim palcami, po czym zaczął gorączkowo przeszukiwać fałdy tkaniny. Zbadał załamania siodła i toreb podróżnych, a potem zeskoczył z konia i brodząc w strumieniu, kłął raz za razem. Pol i Sofos podążyli za jego przykładem, ale wzburzyli zbyt wiele osadów z dna. Nic nie było widać.

– Co się stało? Co się stało? – krzyczał znad brzegu Ambiades. Jako jedyny siedział jeszcze w siodle.

– Kamień, przeklęty kamień – odpowiedział mu mag. – Zgubiłem go w czasie walki. Jasna cholera, kim w ogóle byli ci ludzie? – Zsunął jedno z ciał ze zwirowej łachy pośrodku strumienia.

– Wszyscy nie żyją? – dopytywał się wciąż Ambiades.

– Tak, nie żyją. Chodź tu i mi pomóż.

Zabrali się za wyciąganie trupów z wody, zapominając o mnie. Siedziałem wciąż na drzewie, zaplatając starannie włosy i przyglądając się całej scenie. Gdy wszystkie ciała znalazły się na brzegu, mag przypomniał sobie o mnie.

– Zejdź i pomóż nam szukać – rzucił w moją stronę. Wyglądał na wyraźnie strapionego i bardziej prosił mnie, niż mi rozkazywał.

Niechętnie zsunąłem się z drzewa i podszedłem do trupów. Okazali się być żołnierzami królowej Attolii. Jeden z nich posiadał stopień porucznika. Był młody, a wyglądał na jeszcze młodszego z przyklejonymi do czoła mokrymi włosami i spływającymi po twarzy kroplami. To on kierował atakiem konnych i niewątpliwie za jego przewodnictwem skończyli na ostrzu miecza Pola.

Część jego munduru nie nasiąkła ani krwią, ani wodą, a kształt, jaki przybrała – tworząc jakby liść koleusa – zwrócił moją uwagę. Po chwili pochyliłem się, nabrałem w dłonie wody ze strumienia i zacząłem polewać suche miejsce. Przestałem dopiero, gdy pusta przestrzeń zlała się w jedno z

resztą mokrej tkaniny. Woda była zimna. Opryskała szyję zabitego i zebrała się w niewielką kałużę przy jego obojczyku, ale on nie miał nic przeciwko. Nie zasłużył, aby być naznaczonym piętnem tchórza w czasie podróży w zaświaty.

Kiedy symbol zniknął, wyprostowałem się i zauważyłem przyglądającego mi się Pola. Wzruszyłem ramionami i wytarłem ręce o spodnie. Te jednak były całe w błocie, więc ostatecznie skończyłem z nie tylko mokrymi, ale i brudnymi dłońmi.

Zostawiliśmy ciała na brzegu i pod komendą maga zaczęliśmy poszukiwania Daru Hamiatesa. Kiedy wzburzone osady osiadły nieco, mag ustawił nas w szeregu w poprzek strumienia, dużo poniżej miejsca, w którym stoczyliśmy walkę. Trzymając się razem, posuwaliśmy się w górę, aż wreszcie minęliśmy miejsce, w którym kamień mógł wpaść do wody. Prąd nie był na tyle silny, by znieść go daleko, ale artefakt nie różnił się w zasadzie niczym od tysięcy otoczków na dnie. Tylko mag i jak mieliśmy okazję trzymać go w dłoni. Ambiades w ogóle nie widział go na oczy. Przez prawie kwadrans wpatrywaliśmy się w kamienie pod stopami. Wreszcie Pol zdecydował się odezwać:

– Kamień przepadł, magu.

Żaden z nas nie przerwał poszukiwań.

– Magu – powtórzył stanowczo tym razem unieśliśmy głowy. Wraz z Ambiadesem i Sofosem zacząłem spoglądać to na królewskiego doradcę, to znów na żołnierza.

– Masz rację – przyznał w końcu mag po dłuższej chwili ciszy. – Musimy ruszać. Ambiadesie, przyprowadź nasze wierzchowce na brzeg. Sofosie, sprawdź czy inne konie wciąż kręcą się gdzieś po okolicy. Trzeba je spętać. Jeśli mają przytroczone jakieś torby podróżne, poszukaj, czy jest w nich jedzenie.

Trzy z nich stały wraz z naszymi zwierzętami – w końcu nieszczęścia lubią chodzić stadami – jednak czwarty gdzieś zniknął, zapewne wrócił do obozowiska.

– Nie ma czasu, żeby go ścigać – uznał mag. – Musimy poruszać się tak szybko, jak tylko się da. – Wsiadł na konia i spojrzał po raz ostatni w stronę strumienia. – Nie mogę w to uwierzyć – mruknął.

Patrzyłem na niego tak długo, aż wreszcie nawet ja poczułem się niezręcznie i odwróciłem wzrok tak jak Pol, Sofos i Ambiades. Był w posiadaniu kamienia przez cały dzień, a potem go stracił. Powinno mnie to cieszyć. Jeszcze pięć dni temu z lubością wyobrażałbym sobie, jakby to było, gdyby wrócił na dwór Sounisa i musiał powiedzieć mu, że cała ta ryzykowna wyprawa wzięła w łeb, ale teraz wcale mnie to nie bawiło. Powtarzałem sobie, że to dlatego, że byłem cały przemoczony od brodzenia w strumieniu. Albo najzwyczajniej w świecie bałem się ludzi, którzy wkrótce przybędą tu, by sprawdzić, co stało się z porucznikiem i jego trzema podwładnymi.

– Dobrze, już dobrze – powiedział wreszcie mag. – Ruszajmy. – Lecz mimo to nie zawrócił konia od strumienia. Z oddali dobiegł krzyk. Ktoś musiał znaleźć zbłąkanego wierzchowca. Jednak królewski doradca nadal siedział bez ruchu, najwyraźniej nie potrafiąc dać za wygraną. Obrzucił wzrokiem brzegi strumienia oraz otaczające go drzewa, jakby próbując zapisać w pamięci jakieś punkty orientacyjne, które pozwolą mu wrócić tu kiedyś na poszukiwania. Moje podenerwowanie musiało udzielić się zwierzęciu, na grzbiecie którego siedziałem, bo zaczęło szarpać się i przestępować z nogi na nogę.

Wreszcie mag ustąpił. Skierowaliśmy konie w dół szlaku i ponagliliśmy je do galopu. Jadący obok mnie królewski doradca wciąż sprawiał wrażenie oszołomionego. Nie miałem pojęcia, co myśleli sobie pozostali – ja koncentrowałem się na jeździe. To nie był dobry moment na zostanie w tyle,

a co dopiero na upadek z siodła.

Pokonawszy pewną część drogi, zagłębiliśmy się między drzewa i przez najbliższą godzinę poruszaliśmy się wolniej. Potem znów wyjechaliśmy na szlak.

– Wyśledzą nas – powiedział Sofos, oglądając się przez ramię.

– W takim razie musimy trzymać ich na dystans – skwitował mag. Odwróciłem głowę, by na niego spojrzeć. Jego wypowiedź zabrzmiała niemal wesoło. Wyglądał też na całkiem radosnego.

– Odrobina niebezpieczeństwa nadaje życiu smaku, Genie – powiedział.

Kompletnie zaskoczyło mnie, jak szybko się pozbierał. Musiałem dać to po sobie poznać.

– Miałem trochę czasu na przemyślenia. Kamień sam w sobie nie jest wcale taki ważny. Skoro widzieliśmy go na własne oczy, mamy jego opis i wiemy, że nikt inny nie będzie mógł przedstawić oryginały, możemy wykonać kopię.

Nie miałem pojęcia, jakim cudem ktoś, kto trzymał artefakt w dłoni, mógł powiedzieć, że nie jest on istotny. Spodziewałem się niemalże, że zaraz z nieba uderzy grom, zabijając go na miejscu.

– A co z faktem, że kamień ma mieć moc? – warknąłem. – Każdy, kto na niego spojrzy, ma wiedzieć, że to Dar Hamiatesa. – Wszyscy to poczuliśmy nad brzegiem Araktusa.

Lecz i na to mag miał gotową odpowiedź.

– Ta część zostanie potraktowana jako zwykły przesąd – stwierdził z przekonaniem w głosie. – Damy radę. Damy sobie radę.

Cały mój wysiłek poszedł na marne. A on *da sobie radę*. Zgrzytnąłem zębami.

Królewski doradca zwrócił się w stronę Pola.

– Dojedziemy tym szlakiem do uprawnych gajów, a potem przetniemy je

i dotrzemy do głównej drogi. Jeśli nas nie widzieli, może uda nam się zniknąć pośród innych podróżujących. Jeśli widzieli, schowamy się między oliwki i będziemy korzystać ze ścieżek plantatorów.

– A co z żywnością? – zapytałem. Mój ton musiał go poirytować.

– Myślę, że spróbujemy zdobyć coś w Pirrei dziś wieczorem – odparł dość ogólnikowo.

– Wieczorem? – Moja złość przebiła bańkę jego fałszywego zadowolenia.

– Bardzo mi przykro – warknął – ale nie zdobędę ci jedzenia z nieba.

– W Pirrei też nie – odparowałem. – Co zamierzasz, chodzić po domach i mówić „Przepraszam bardzo, zabiliśmy czterech gwardzistów królowej, żołnierze przeczesują wszystkie drogi, by nas znaleźć, ale pomimo to chciałbym kupić kilka bochenków chleba i trochę suszonej wołowiny”?

– Więc cóż radzisz, o wyrocznie z rynsztoka?

– Moja rada jest taka, że powinieneś być zabrać żywność dla pięciu osób z tym swoim żalonym, obwoźnym cyrkiem. Albo zostawić Bezużytecznego Starszego i jego młodszego brata w domu!

– To nie jest mój brat – zaprotestował urażony Ambiades.

– To była tylko przenośnia – warknąłem. – A teraz się zamknij. – Podskoczył w siodle, jakbym go uderzył. Zwróciłem się znów do maga. – Jak niby mamy zdobyć jedzenie?

Ten miał jednak chwilę do namysłu, więc przyszło mu do głowy dość oczywiste rozwiązanie.

– Ukradniesz je.

Pozostało mi tylko załamać ręce.

Pirrea była starym miasteczkiem. Podobnie, jak wiele innych, rozrosła się poza własne mury i została otoczona polami oraz gospodarstwami. Przemierzałem przykuchenne ogródki, zabierając ze sobą wszystko to, na co byłem w stanie natrafić w ciemnościach. Zdobycze wrzucałem do worka,

który podwędziłem z szopy przy pierwszym mijanym domu. W pewnym momencie za bardzo zbliżyłem się do zagrody z kozami, które beczeniem zaczęły oznajmiać moją obecność. Nikt nie wyszedł, aby rzucić okiem na zwierzęta, więc wszedłem do środka i zabrałem z półki dwie bańki mleka. Spragniony i głodny, wypilem zawartość jednej z nich, rozważając włamanie do kuchni i doprowadzenie z niej resztek chleba. Porzuciłem jednak ten pomysł. Czerstwe pieczywo nie było warte takiego ryzyka. Wśliznąłem się natomiast do kurnika przy największym z mijanych domostw i ukłęciłem głowy trzem kurczakom. Wrzuciłem je do drugiego worka i wymknąłem się z miasteczka.

Mag czekał na mnie wraz z pozostałymi między drzewami na odległym końcu pola cebuli. Nie kwapiłem się do nadstawiania za nich karku. W czasie jazdy padły oskarżenia o bezużyteczność. Ambiadesowi nie spodobała się moja sugestia, że powinien zostać w domu. Wytknąłem mu więc, że nie przydał się do niczego nad strumieniem. Ten odbił piłeczkę przypominając, że wspiałem się na drzewo. Zwróciłem jego uwagę na fakt, że nie miałem miecza. Zaproponował, że odda mi swój, sztychem do przodu.

Gdy odłączałem się od reszty w rzadkim gaju migdałowców, mag powiedział, że daje mi godzinę, a jeśli nie wrócę, stanie na rynku i ile sił w płucach krzyknie „Złodziej!”.

W ciemności nie widział zapewne wyrazu pogardy na moim obliczu, ale musiał usłyszeć ją w moim głosie.

– Koniecznie zawołaj też „Mordercy! Mordercy!” – dodałem.

Odchodząc, usłyszałem jeszcze jego odpowiedź:

– Dopilnuję, byśmy wszyscy razem poszli pod topór.

Wszyscy spojrzeli z żalem na kurczaki, gdy mag zdecydował, że nie ma czasu na ich przygotowanie. Pol przywiązał je więc do siodła i wszyscy ruszyliśmy w dalszą drogę, pogryzając surowe warzywa. Ziemia chrzęściła

nam między zębami.

– W Kahlii, przy głównej drodze znajduje się stajnia – powiedział mag. – Możemy ukraść stamtąd świeże konie.

Zakrztusiłem się szpinakiem.

– Co takiego?

– To jakieś dwie godziny drogi stąd, jeśli popędzimy nasze konie – ciągnął, nie zwracając uwagi na mnie. – Możemy rozbić obozowisko przy drodze. Podróżuje tamtędy tyle osób, że nikt nie powinien zwrócić na nas uwagi. Prześpimy się kilka godzin. Przyrządziłbyś kurczaki – tu zwrócił się do Pola – a potem zdobylibyśmy nowe wierzchowce i ruszyli dalej. Powinniśmy zgubić pościg, odbijając od głównego szlaku i oddalając się od przełęczy prowadzącej do Eddis. Tego nie będą się spodziewać.

– Chcesz wrócić do domu tym samym szlakiem? Dlaczego nie pojedziemy po prostu główną przełęczą? – zapytał Ambiades. – Byłoby dużo bliżej, prawda? A wkroczywszy na terytorium Eddis, znaleźlibyśmy się na neutralnym terenie.

– Z Kahlii rzeczywiście byłoby bliżej do głównej przełęczy – przyznał mag. – Z pewnością jednak zablokują wszystkie drogi, wątpię więc, by udało nam się wymknąć. Tereny wokół przełęczy to w większości otwarta przestrzeń. Nie będą spodziewać się, że skierujemy się z powrotem w głąb kraju, dlatego powinno nam się udać.

– Myślę, że lepiej byłoby jednak przejechać przez główną przełęcz – powiedział niepewnie Ambiades, dając królewskiemu doradcy ostatnią szansę.

– Nie jesteś tu od myślenia – uciął mag.

Chłopak odrzucił głowę do tyłu i przez chwilę wydawało mi się, że coś odpowie, ale tego nie zrobił.

– W kwestii tych koni... – zacząłem.

– Dasz z siebie wszystko, Genie – wszedł mi w słowo mag. – A jeśli to nie wystarczy, to wszyscy...

– ...razem pójdziemy pod topór – dokończyłem zrzędliwie. – Już to mówileś.

Nikt więcej nie odezwał się do czasu, aż znaleźliśmy się na drodze, tuż przed granicami Kahlii. Królewski doradca promieniował swym zwyczajowym optymizmem, Pol zachowywał kamienny spokój, a Sofos najwyraźniej nie wiedział, że powinien być przerażony. Tylko Ambiades był zdenerwowany jak kot, który znalazł się zbyt blisko ognia. Młodszy chłopiec zdążył już zapomnieć, że trzymał się z daleka od swojego idola i próbował nawiązać z nim rozmowę przy rozkulbaczaniu koni, ale ten nawet mu nie odpowiedział.

Pol rozpałił ognisko w przystosowanym do tego miejscu i pokroił kurczaki na mniejsze kawałki. Tym specjalnym miejscem był krąg z kamieni posklejanych ze sobą zaprawą murarską. Znajdowały się w odległości około pięćdziesięciu jardów od siebie, przy drogach w okolicy większych miasteczek. Zbudowano je z myślą o kupcach, zatrzymujących swe karawany na popas. Kilka takich obozowało niedaleko nas tej nocy, a oprócz nich jeszcze parę mniejszych grup z jednym wozem albo nawet i bez niego. Było na tyle ciepło, że wystarczył namiot albo zwykły koc. Strażnicy pełnili wartę w okolicy, ale żaden z nich nie zwrócił na nas szczególnej uwagi.

Przespaliśmy się wszyscy z wyjątkiem Pola. Mag obudził mnie wcześniej niż innych i wyjaśnił mi szczegółowo, jak przedostać się przez miasteczko do stajni przy przeciwległej bramie.

– Wyprowadź je tamtędy. Pol będzie tam na ciebie czekał. My pójdziemy z siodłami kawałek dalej drogą. – Wydawał się równie beztroski jak Sofos, ale nie mógł mieć na to takiego samego wytłumaczenia.

– Masz w ogóle pojęcie, jak niemożliwe jest to zadanie? – zapytałem.



Mężczyzna roześmiał się.

– Wydawało mi się, że twierdziłeś, że potrafisz ukraść wszystko. – Klepnął mnie lekko w ramię, popychając w stronę drogi.

– Przedmioty nie hałasują – mruknąłem pod nosem.

Księżyc wciąż jeszcze stał na niebie, miałem więc dość światła, by widzieć drogę przed sobą. W miarę, jak zbliżałem się do murów, robiło się coraz jaśniej dzięki latarniom płonących u bram miasta. Te były otwarte. Pewnie nie zamykano ich od lat, przy wejściu jednak stał strażnik.

Miał zapewne wyglądać podejrzanych osobników – takich jak ja. Nie przychodziła mi do głowy żadna dobra wymówka na wyjaśnienie tego, dlaczego chcę wejść do miasta o tak późnej porze, dlatego postanowiłem uniknąć problemu. Ominąłem bramę szerokim łukiem i znalazłszy się poza zasięgiem wzroku strażnika, wspiąłem się na mur. Zeskoczyłem na czyjeś podwórko, a następnie minąłem kilka budynków i znalazłem się na szerokiej ulicy, mając nadzieję, że to ta, którą opisał mi mag.

Przemierzyłem pospiesznie opustoszałe skrzyżowania, nasłuchując na każdym rogu kroków patrolującej straży, ale nie natrafiłem na nikogo. Znalazłem się na właściwej ulicy i bez problemu odnalazłem stajnię oraz sąsiadującą z nią gospodę. Rzecz jasna, obie zamknięto na noc. Okna zasłaniały drewniane okiennice, a dostępu na dziedziniec broniła brama. Znów nadstawiłem ucha, czy po okolicy nie kręci się straż. Nie usłyszawszy niczego, uchyliłem jedno skrzydło bramy, unosząc wcześniej słupek, by nie zazgrzytała o ziemię. Bloczek wpasowałem natomiast pomiędzy kamienie bruku, upewniając się tym samym, że brama się nie zamknie.

Zajrzałem do wnętrza stajni i dostrzegłem uśpionego stajennego, siedzącego na krześle na drugim jej końcu. Miałem szczęście. Mężczyzna nie tylko drzemał. Wnioskując po pustej butelce po jego lewej, zapewne był też pijany. Z kołka nad jego głową zdjąłem pięć uwiązów, po czym przeszedłem

wzdłuż rzędu boksów, zaglądnąc do każdego z nich i obrzucając wzrokiem śpiące konie. Wybrałem pięć z nich, które jak sądziłem były klaczami i obudziłem je szeptem. Przypiąłem im uwiąz do kantarów i ostrożnie otworzyłem drzwi wszystkich boksów tak, by nie zaskrzypiały, poczynając od tych najdalej od stajennego. Konie stanęły na nogi. Zdziwione tym, że ktoś przeszkadza im o tak późnej porze, wydawały z siebie ciche odgłosy zaskoczenia, które nie wystarczyły jednak do obudzenia ich opiekuna.

Kiedy wszystkie boksy zostały już otwarte, wróciłem po wybrane przez siebie wierzchowce i wyszedłem z pierwszym z nich. Mijając boks następnego, pochyliłem się, by pociągnąć za uwiąz przyczepiony do kantara klaczy. Ta posłusznie ruszyła za swoją towarzyszką. W ten sam sposób wyprowadziłem resztę koni, aż wreszcie cała piątka stanęła w szeregu. Pozostałe zwierzęta wyglądały ze swych zagród, zastanawiając się, co takiego je omija.

Stałem u wyjścia ze stajni i omiotłem wzrokiem brukowany dziedziniec, na którym końskie kopyta będą grzmieć niczym gromy z jasnego nieba. Obejrzałem się na śpiącego stajennego. Hałas nie obudzi go tylko jeśli naprawdę porządnie się upił, a nie miałem jak sprawdzić, ile trunku zawierała butelka, gdy zaczął pić. Nasunęło mi się pewne oczywiste rozwiązanie, ale byłem wszak złodziejem, nie mordercą.

Zmówiłem pospieszną modlitwę do boga złodziei, błagając go, by konie zachowywały się cicho, a stajenny okazał się pijany w sztok. Potem ścisnąłem w dłoniach wszystkie pięć uwiązów i wyprowadziłem wierzchowce na zewnątrz.

Wokół panowała tak głęboka cisza, że aż musiałem upewnić się, że zwierzęta rzeczywiście podążają za mną. Jakoś nie przyszło mi do głowy, że milczący i nieruchomi bogowie ze świątyni mogą wciąż się mną interesować. Prawie zderzyłem się z klaczą, idącą moim śladem. Zaskoczona, podrzuciła

głowę, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Cofnąłem się, a ona zrobiła krok do przodu. Podkute kopyta bezgłośnie opadły na bruk. Za nią ruszyła też reszta koni. Przerażony, że ogłuchłem, wymknąłem się z dziedzińca. Za moją wybraną piątką, wymaszerowały też pozostałe wierzchowce ze stajni. Wyszły na zewnątrz przez bramę i rozeszły się ulicami, znikając niczym duchy. Kiedy stajenny przebudzi się ze snu, będzie musiał przeszukać całe miasteczko, zanim zorientuje się, że brakuje pięciu zwierząt.

Przy bramie miejskiej spotkałem Pola, stojącego nad ciałem strażnika.

– Zabiłeś go? – Moje wargi uformowały bezgłośnie pytanie.

Żołnierz pokręcił głową. Podobnie jak stajenny, strażnik jedynie spał. Pol zabrał cztery konie, łapiąc po dwa uwiąz w dłoń, mi zostawiając tylko jednego. Następnie ruszył przez trawę przy drodze, przeszedł między dwoma domami i na przełaj przez pola. Skryliśmy się między drzewami, gdzie czekała na nas pozostała trójka.

– Jakież problemy? – zapytał mag i czar ciszy prysnął.

Pokręciłem głową.

– Nie – odpowiedziałem. – Żadnych. – Poza tym, że pragnąłem jak najszybciej przestać być obiektem zainteresowania bogów.

Sofos wyjął mi uwiąz z rąk i odprowadził mojego konia na bok, by go osiodłać.

– Wszystko w porządku? – zapytał mnie Pol.

Kiwnąłem głową.

Chwyił mnie za łokieć i poczuł, że drzę.

– Na pewno?

Potwierdziłem. Jak miałem wyjaśnić mu, że to normalna reakcja, jeśli twoja niedbała modlitwa zostanie wysłuchana? Cisza, jaką zachowywały konie, o wiele bardziej działała na nerwy niż widok bogów w świątyni.

Może to dlatego, że stajnie były częścią mojego świata, a świątynia nie?

Nie miałem pojęcia. Po raz pierwszy od dawna, Pol musiał pomóc mi wsiąść na konia.

Znaleźliśmy się zaledwie godzinę drogi od Kahlii, gdy poczułem na karku zimny, wilgotny wiatr i ściągnąłem wodze, by nadstawić ucha. Doleciał mnie odgłos świątynnego gongu.

– O co chodzi? – zapytał Ambiades, gdy pozostali też się zatrzymali.

To pewnie sprawka Araktusa, pomyślałem.

– Stajenny się obudził – powiedziałem i dźgnąłem konia piętami.

Nim nastał ranek, udało nam się pokonać niemal całą drogę do górskiego szlaku. Konie były już jednak wycieńczone, a ścigający nas ludzie znajdowali się tak blisko, że na prostych odcinkach, widzieliśmy ich przez ramię. Stajenny musiał udać się do garnizonu, nie licząc wcześniej zwierząt. Zagłębiwszy się w gaju oliwnym, straciliśmy żołnierzy z oczu, ale wiedzieliśmy, że depczą nam po piętach. Lawirując w mroku między drzewami, poruszaliśmy się nieco szybciej niż pościg, ale tylko dlatego, że wiedzieliśmy, dokąd zmierzamy.

Zbocza gór strzelały w niebo pośród Morza Oliwnego tak stromo, że wyrosły przed nami bez ostrzeżenia, kiedy tylko wyłoniliśmy się z wnętrza gaju. Nagle znaleźliśmy się w świetle słońca, padającego na sterty kamieni u podnóża klifu. Mag ściągnął wodze i zsiadł z konia.

– Mało kto wie o istnieniu tego szlaku. Jeśli uda nam się wdrapać na klif zanim nas zobaczą, może nie domyślą się, gdzie zniknęliśmy.

– Czy tu nie zaczyna się już terytorium Eddis? Nie jesteście czasem na neutralnym terenie? – zapytał Sofos.

– Tylko jeśli znajdzie się dostatecznie wielu Eddijczyków, by tego dowieść – odparł królewski doradca i smagnął wierzchowca batem, posyłając go drogą biegnącą między górami a drzewami. Pozostałe zwierzęta ruszyły jego śladem.

– Ruszajmy – zwrócił się do reszty.

– Beze mnie – powiedziałem, zamierzając znaleźć sobie bezpieczną kryjówkę, w której mógłbym przeczekać pościg. Już dawno powinienem był pójść w swoją stronę. Umknąwszy pogoni, mag i Pol mogliby dopilnować, bym wrócił do Sounis i do tamtejszego więzienia, a nie miałem zamiaru trafić z powrotem w żadne z tych miejsc.

Królewski doradca wydawał się całkowicie zaskoczony. Potem wyraźnie się zezłościł.

– Jak to bez ciebie?

– Nie zamierzam wracać do więzienia, kopalni srebra czy innej dziury w ziemi. Wolę zaryzykować, zostając w Attolii.

– Myślisz, że zabrałbym cię z powrotem do więzienia? – zapytał.

– Myślisz, że ci zaufam? – To było niesprawiedliwe z mojej strony. Ostatecznie, nie dał mi żadnego powodu, aby mu nie ufać, ale wszyscy pamiętali moje komentarze o perspektywie oberwania nożem w plecy, wypowiedane w górach.

– Attolijczycy też cię zabiją – powiedział. – I to zapewne w bardziej bolesny sposób.

– Będą zajęci ściganiem ciebie.

Mag spojrział na Pola.

– Nie masz czasu, by próbować zmusić mnie siłą – zauważyłem.

Mężczyzna wyrzucił ręce w górę.

– Dobrze! – krzyknął. – Giń sobie od attolijskich mieczy. Niech rozciągają cię koźmi, ćwiartują lub powieszają, nic mnie to nie obchodzi. Spędź resztę życia w jednym z ich lochów. Nie robi mi to żadnej różnicy.

Westchnąłem. Nie chciałem go obrazić.

– Zostawcie mi miecz – powiedziałem bez namysłu – a zrobię co w mojej mocy, by zatrzymać ich choć na chwilę. – Mogłem ugryźć się w język, ale

mag i tak nie zamierzał skorzystać z mojej propozycji. Parsknął z niedowierzaniem i odszedł.

Reszta ruszyła jego śladem, lecz Sofos zawrócił po kilku niepewnych krokach. Niezdarnie wyciągnął miecz z pochwy i podsunął mi go, kierując rękojeść w moją stronę.

– Mnie i tak do niczego się nie przyda – oznajmił, skądinąd zgodnie z prawdą.

Był to miecz przeznaczony dla osoby początkującej, lżejszy niż zwykle, ale lepsze to niż nic. Złapałem go za tępą część klingi, tuż przy rękojeści i uniosłem w geście uznania. Chłopiec odwrócił się i pospieszył za magiem, który obejrzał się przez ramię i prychnął z pogardą, po czym zniknął między głazami.

Wybrałem sobie pobliską skałę i wdrapałem się na nią. Dotarwszy na szczyt, znalazłem się powyżej poziomu wzroku wszelkich jeźdźców, którzy mogliby przejechać obok. Była to kryjówka dobra jak każda inna. Pogoń powinna minąć mnie, w ogóle nie zauważając, chyba, że zeskoczę na dół wymachując mieczem.

Nie miałem pojęcia, co mnie napadło, że zasugerowałem coś takiego. Będąc jeszcze w królewskim więzieniu, przysięgałem przed bogami, że nigdy już nie dam wplątać się w nic głupiego. Oczywiście wtedy nie wierzyłem jeszcze w bogów, ale dlaczego niby miałby obchodzić mnie los maga i jego uczniów? Spędziłem dziesięć minut, pocąc się na słońcu i przypominając sobie wszystkie powody, dla których nie znosiłem królewskiego doradcy i wszystkiego co z nim związane, starając się jednocześnie wyrzucić z głowy makabryczną myśl, obrazowo ukazującą mi, że wszyscy zostaną skróceni o głowę.

Usłyszałem podzwanianie uzd i zza drzew kilkaset jardów dalej, jeden po drugim, wyłonili się Attolijczycy. Zatrzymali się na chwilę, by przyjrzeć się

śladom kopyt, prowadzących w kierunku głównej przełęczy i postanowili je zignorować. Podążyli natomiast w stronę tajnego szlaku maga. Nie pochodzili z garnizonu w Kahlii. Podobnie jak żołnierze, których spotkaliśmy już wcześniej, byli odziani w barwy Gwardii Królowej.

Gdy przejeżdżali pode mną raz jeszcze powtórzyłem sobie, że jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest przeczekać, aż mnie miną, po czym zejść ukradkiem z głazu po drugiej stronie i zniknąć między drzewami. W następnej chwili skoczyłem drugiemu żołnierzowi na plecy. Kolejne konie w szeregu poruszały się zbyt szybko, bo zdążyć się zatrzymać, więc gdy spadłem na ziemię wraz z Attolijczykiem, ciężkie kopyto uderzyło w darń kilka cali od koniuszka mojego nosa. Mężczyzna próbował mnie przygnieść i wtedy trafiło go następne kopyto. Wierzchowiec przewrócił się, a ja odpełzłem jak najdalej na czworakach, ciągnąc za sobą miecz Sofosa. Udało mi się nie dźgnąć nim ani Attolijczyka, ani jego konia, ani siebie. Stałem na nogi i puściłem się biegiem.

Znalazłszy się między oliwkami, mogłem poruszać się szybciej niż konni, wypracowałem więc sporą przewagę. Zmierzałem w kierunku kępy dębów, którą wypatrzyłem ze szczytu klifu dziesięć dni temu. Rosły blisko ziemi, dlatego liczyłem, że ich gęste korony dadzą mi schronienie. Bez psów, ścigający mnie ludzie mieliby niewielkie szanse wytropienia mnie. Mógłbym pozostać w ukryciu aż do zmroku, a potem rozplynać się w ciemności.

Pomiędzy pniami oliwek widziałem już zwartą grupę dębów. Zwolniłem nieco, szukając najlepszego miejsca, w którym mógłbym dać nura w ich korony, gdy nagle pojawiła się druga grupa jeźdźców, odcinając mi drogę ucieczki. Nie będąc w stanie zostawić ich w tyle, zawróciłem w stronę góry, licząc, że uda mi się dotrzeć między skały, gdzie nie zdołają mnie wyprzedzić. Gdybym wspiął się na ścianę klifu, to, o ile nie mieliby kusz albo, co gorsza, broni palnej, mógłbym uciec albo chociaż poddać się, nie

dając się wcześniej zabić. Tłukłem stopami o twardą glebę pomiędzy drzewami, a jakaś niewielka część mnie, która powinna raczej szukać rozsądnego wyjścia z sytuacji, zauważyła, że od czasu, gdy opuściłem królewskie więzienie, powróciły mi siły.

Wydostałem się na otwartą przestrzeń, ale pościg dopadł mnie, zanim udało mi się dotrzeć do skał. Czyjś wierzchowiec odciął mi drogę i musiałem zakręcić, żeby się z nim nie zderzyć. Konie były wszędzie, zewsząd dobiegały też krzyki. Miałem wrażenie, że krzyczeli dosłownie wszyscy.



# Rozdział jedenasty

Usłyszałem szcęk zapadek, gdy strażnik otworzył moją celę, by wpuścić maga do środka. Nie odwracając głowy, dostrzegłem w wejściu zarys jego sylwetki wraz z Sofosem u boku. Gdy zamknięto drzwi za jego plecami, pomieszczenie znów pograżyło się w mroku. Nie wydałem z siebie żadnego dźwięku, łudząc się, że mnie nie dostrzegł.

– Magu? – szepnął Sofos.

– Tak, widziałem – odparł mężczyzna i moja nadzieja umarła. Zrobił kilka małych, ostrożnych kroków. Zbliżywszy się do mnie, kucnął i wyciągnął ręce. Jedna z nich musnęła moją nogę, potem rękaw i przesunęła się w dół, aż dotknęła mojej dłoni, by sprawdzić czy była ciepła i żywa, czy też zimna i martwa.

– Żyje – odezwał się do Sofosa i ścisnął lekko moją rękę. Gest ten miał chyba dodać mi otuchy.

– Słyszysz mnie, Genie? – zapytał cicho.

– Idź sobie.

Odnalazł w ciemności moją twarz i odgarnął mi włosy z czoła. Był bardzo delikatny.

– Jestem ci winien przeprosiny. Przepraszam.

Nie odpowiedziałem. Ledwie chwilę temu wypłynąłem na powierzchnię bólu, który pochłonał mnie całego. Niespecjalnie obchodziły mnie jego przeprosiny.

Sofos ukląkł obok w ciemności.

– Jak tu trafiłeś? – zapytał szeptem, jakby strażnik miał podsłuchiwać rozmowę więźniów.

– Mieli wóz.

Mag parsknął. Przestał dotykać mojej twarzy, poczułem za to, że

obmacuje delikatnie przód mojej koszuli w miejscu, gdzie pokrywała ją zaschnięta krew.

– Przestań – rzuciłem słabym, urywanym głosem. Wziąłem się w garść na tyle, na ile byłem w stanie i spróbowałem jeszcze raz. – Zostaw mnie w spokoju. Wszystko ze mną w porządku. Idź sobie.

– Krwawienie chyba ustało. Mam ze sobą swój płaszcz. Spróbuję cię w niego owinąć.

– Nie – zaoponowałem. – Nie, nie, nie. – Nie odważyłem się pokręcić głową, ale desperacko nie chciałem, by mag owijał mnie w swój płaszcz. Nie chciałem jego płaszcza. Nie chciałem, by wsuwał rękę pod moją głowę, unosił ją i umieszczał pod nią zwinięty, wymyślny płaszcz Sofosa. Zaprzestałem protestów, gdy nie zauważył guza u podstawy mojej czaszki, pod włosami. Znów oblała mnie fala bólu, w której natychmiast utonąłem. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszałem, był głos maga wyklócającego się ze strażnikiem o czystą wodę i bandażę.

\*\*\*

Kiedy znów się obudziłem, przez zakratowane okno celi wpadało do środka stłumione światło. Dostrzegłem też kręcącego się po pomieszczeniu Sofosa. Moją koszulę rozcięto, a mnie owinięto białymi bandażami. Mag musiał więc postawić na swoim.

Chłopiec zauważył, że zezuję w dół, na swoją klatkę piersiową i wyjaśnił:

– Powiedział strażnikowi, że zawsze mogą zabić cię później, ale jeśli umrzesz teraz, tylko bogowie będą mogli cię przesłuchać.

Pocieszające.

– Gdzie wszyscy? – zapytałem.

Sofos usiadł obok ze skrzyżowanymi nogami. Leżałem na jego płaszczu, natomiast owinięty byłem w okrycie maga.

– Jakąś godzinę temu przyszli i zabrali maga. Pol i Ambiades nie żyją. Żołnierze królowej czekali na nas na szczycie urwiska. Ambiades powiedział im o szlaku.

Czekał, ale nie miałem pojęcia, co mógłbym powiedzieć.

– Widzieliśmy wszystko z góry – dodał.

To dlatego mag mnie przeprosił.

Kapitan Gwardii Królowej wraz ze swymi ludźmi czekał na zboczu góry. Niewątpliwie jeszcze więcej żołnierzy pilnowało wejścia na Przełęcz Seperchiańską, ale dowódca liczył na to, że mag będzie chciał opuścić Attolię tą samą drogą, którą do niej przybył. Sofos zobaczył ich buty, kiedy królewski doradca wraz z Polem podsadzili go na krawędź klifu, ale został wciągnięty na górę, zanim zdążył ich ostrzec. Nie mogli więc zrobić nic innego, jak tylko podążyć za Ambiadesem. Kiedy kapitan gwardii zapytał o mnie, mag – wciąż rozżłoszczony – odpowiedział mu, że „Ratuję własną skórę”. Łatwo można było dostrzec mnie z góry, rozpląszonego na szczycie głazu.

– Przygotowuje zasadzkę – zauważył jeden z żołnierzy i uniósł kuszę.

– Królowa kazała pojmać ich żywcem – przypomniał mu dowódca.

– W takim razie nie zadawajcie sobie nawet trudu, by do niego strzelać – rzucił mag z goryczą. – Ukryje się gdzieś, aż wreszcie zejdziecie na dół, by go aresztować.

– Jest uzbrojony – wytknął kapitan i przyłożył dłonie do ust, by ostrzec swych ludzi, ale opuścił je, gdy królewski doradca machnął ręką z lekceważeniem.

– A cóż on może zrobić z mieczem? Chyba tylko ukraść go albo sprzedać.

Stali więc i patrzyli, jak zamieniam pościg w bezładną plątaninę powalonych koni i rannych ludzi. Kapitan odwrócił się gwałtownie w stronę

maga, ale widząc jego zaskoczenie zmienił zdanie co do tego, co zamierzał powiedzieć.

– Tego się nie spodziewałeś? – zapytał kwaśno.

Ten pokręcił głową, przyglądając się, jak salwuję się ucieczką.

– Moi ludzie odetną mu drogę – zapewnił dowódca, gdy zniknąłem między oliwkami.

– Już po nim – stwierdził Ambiades, gdy jeźdźcy wywabili mnie znów na otwartą przestrzeń. – I dobrze – dodał, gdy rzucili się na mnie.

– Zamknij się – warknął mag.

– Będą musieli zsiąść z koni, by go pojmać – zauważył kapitan.

– Nie będą mieli z nim żadnych problemów – odpowiedział ze smutkiem królewski doradca, nie mając pojęcia, jak bardzo mój ojciec pragnął bym został żołnierzem, a nie złodziejem.

– Nigdy nie widziałem, żeby ktoś wygrał z taką ilością ludzi – powiedział Sofos, siedząc na zimnej, kamiennej podłodze obok mnie.

– Masz rację, nigdy – wytknąłem. – Opowiedz mi o Ambiadesie. – Nie chciałem rozmawiać o walce, jaką stoczyłem u podnóża góry. Wydarzyło się wtedy coś nieprzyjemnego. Nie mogłem przypomnieć sobie, co to właściwie było. I wcale nie chciałem.

Jednak Sofos nie dał się zbić z tropu.

– Fakt. Ale raniłeś dwóch z nich, a trzeciego chyba zabiłeś.

Zamknąłem oczy. Właśnie o tym nie chciałem myśleć. Nie zamierzałem nikogo zabijać, ale spanikowałem, widząc tyle mieczy naokoło.

– Widzieliśmy, jak wybiegłeś z powrotem na otwartą przestrzeń – ciągnął bezlitośnie chłopiec. – Dlaczego nie próbowali cię stratować?

– Za dużo skał – szepnąłem. Byłem zmęczony. – Poza tym siedzieli na koniach gospodarskich. Jeśli nadepną na człowieka, to tylko przez przypadek.

Z początku tylko czterech żołnierzy zeskoczyło z siodeł. Pierwszego uciałem w przedramię, a drugiego rozbroilem, ale miecz zaczepił mi się o rękojeść jego broni. Gdyby był dłuższy, nie udałooby mi się go uwolnić, ale klingę Sofosa, przeznaczoną dla niewprawnego fechtmistrza, oswobodziłem w samą porę, by obronić się przed pchnięciem zadany mi przez kogoś z lewej. Wydawało mi się, że w mojej pamięci dawno już zatarły się treningi, które nakazały mi przekształcić blok w pchnięcie z wypadem. Zatopiłem ostrze w piersi przeciwnika, niewątpliwie go zabijając. Nie różniło się to dla mnie niczym od dźgnięcia kukły. Fakt ten tak mnie jednak przeraził, że gdy mój przeciwnik upadł na ziemię, pozwoliłem, by miecz wysliznął mi się z dłoni. Nie chciałem być żołnierzem. Zostałem złodziejem, by uniknąć zabijania. Oto, gdzie mnie to zaprowadziło.

Lekkie pchnięcie zmusiło mnie do przestąpienia niewielkiego kroku naprzód. Spuściwszy wzrok, zobaczyłem, że moja koszula wybrzuszyła się niczym namiot, a z rozdarcia w materiale wystawał czubek ostrza. Klinga musiała przeszyć moje ciało gdzieś pośrodku pleców, ale została poprowadzona pod skosem i wyszła w okolicach pachy. Zapamiętałem wyraźnie, że na stali było tylko trochę rozmazanej krwi.

– Myśleliśmy, że cię zabili – powiedział Sofos.

Sam też tak myślałem. Ugięły się pode mną nogi. Przez długi czas wszystko wydawało się rozmazane i okropne, ale gdy otworzyłem oczy, leżałem na plecach, a niebo nade mną miało kolor idealnego błękitu. Widziałem tylko ten błękit. Musiałem spoczywać na wozie, ale jego boki znajdowały się poza zasięgiem mojego wzroku. Nigdzie nie było choćby śladu drzewek oliwnych czy gór. Gdyby nie wstrząsy, powodowane przez koła na zakrętach mógłbym równie dobrze leżeć na chmurze. Ludzie najwyraźniej wciąż krzyczeli, ale przebywali gdzieś daleko. Były to ważne osobistości, a ich krzyki dotyczyły mnie. Słyszałem króla Sounis i królową

Eddis, a także głosy, których nie rozpoznawałem. Przyszło mi do głowy, że mogli to być bogowie. Chciałem powiedzieć im, żeby nie robili zamieszania. Chciałem wyjaśnić, że wkrótce i tak umrę, więc nie będzie nawet o co go robić, ale wóz podskoczył mocno na wybojach. Niebieskie niebo przybrało kolor czerwieni, a potem wszystko załała czerni.

Sofos wyciągnął mnie z odmetów wspomnień, pytając:

– Kto nauczył cię tak walczyć?

– Mój ojciec.

– Bardzo był zły, kiedy jednak zostałeś złodziejem?

Przypomniałem sobie kłótnię, w czasie której podarłem dokumenty zaciągu do wojska.

– O tak. – Mimo to, zbliżyliśmy się do siebie, kiedy sprawa została zamknięta i wszystko się uspokoiło. – Ale już się z tym pogodził.

– Powinieneś być zostać żołnierzem. Byłeś o wiele lepszy niż Ambiades. Myślę, że właśnie dlatego powtórzył jeszcze raz „I dobrze”, a wtedy Pol... – urwał.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że płakał. Przesunął po twarzy rękawem, ścierając z niej łzy i smarki. Ja nie chciałem myśleć o tym, co zdarzyło się u stóp klifu, a on – na szczycie.

Wziął kilka głębokich oddechów i podjął znów cicho:

– Mag powiedział Ambiadesowi, że nie ma się z czego cieszyć, a kapitan straży potwierdził. Z początku Ambiades wyglądał na zniesmaczonego, jak mag, ale potem zaczął sprawiać wrażenie zadowolonego z siebie. Wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że to on powiedział Attolijczykowi o szlaku w górach.

Przypomniał mi się jego wymyślny, szylkretowy grzebień, który zwrócił uwagę królewskiego doradcy. Musiał zastanawiać się, skąd chłopak wziął pieniądze, żeby sobie na niego pozwolić. Domyśliłem się, że Ambiades musiał być przez kogoś opłacany, przez co od czasu do czasu miewał

wyrzuty sumienia, ale zakładałem, że tym kimś jest jakiś wróg maga na sounijskim dworze. Nie przyszło mi do głowy, i najwyraźniej magowi też nie, że mógłby sprzedać swego mistrza Attolijczykom.

– Ambiades zaczął coś mówić, ale wtedy ty zacząłeś krzyczeć.

Krzyczałem?

– Słyszeliśmy cię ze szczytu klifu, kiedy wyszarpnęli miecz – dodał Sofos drżącym głosem... i wtedy sobie przypomniałem. To była ta niejasna i okropna część. Czułem, że wraz z klingą wydarto ze mnie życie, a jednak nie chciało mnie ono opuścić. Rozciągnęło się między mną a klingą. Myślę, że od śmierci uratowała mnie tylko moc bogów, lecz jednocześnie moja egzystencja stanowiła dla nich obrazę. Powinienem być umrzeć, ale zamiast tego towarzyszył mi tylko nieustający ból. Śmierć byłaby o wiele łatwiejsza.

Wzdrygnąłem się i ból powrócił, odbierając mi oddech. Sofos trzymał mnie za rękę, aż uczucie minęło.

– Wszyscy patrzyliśmy na ciebie – podjął. – Potem popatrzyliśmy na Ambiadesa, a jego zupełnie to nie obchodziło. To znaczy, widać było, że nie obchodzi go, czy umrzesz. Myślę, że nic już go nie obchodziło, ani ja, ani mag czy Pol. A Pol wyciągnął rękę i zepchnął go z klifu. A potem...

Sofos wziął głęboki oddech i dopiero po chwili zaczął znów mówić.

– Potem sam też skoczył, zabierając ze sobą dwóch Attolijczyków. Mag próbował dobyć miecza, ale pozostali żołnierze powalili go na ziemię.

Chłopiec przyciągnął kolana do klatki piersiowej i zaczął płakać, kołysząc się w tę i z powrotem.

Powoli uniosłem rękę i ścisnąłem lekko jego nogę. Nie przychodziło mi do głowy, co mógłbym powiedzieć. Lubiłem Pola.

– Znałem go przez całe życie. *Nie chcę*, żeby nie żył – zaprotestował, jakby jego życzenie miało się spełnić. – Ma żonę i dwójkę dzieci – zaszlochał – a ja będę musiał im o tym powiedzieć.

Zadrzałem i znów zamknąłem oczy. Człowiek, którego zabiłem, mógł nie mieć pojęcia, że stanął przeciwko wprawnemu przeciwnikowi. Osądził mnie po moich rozmiarach i mieczu nowicjusza. Wziąłem go więc z zaskoczenia i zabiłem. Równie dobrze mógłbym go dźgnąć od tyłu w jakiejś bocznej alejce. Czy miał żonę i dwójkę dzieci? Kto powie im, że zginął? Ból w piersi zaczął się rozprzestrzeniać, aż ogarnął nawet moje palce, których grzbiety spoczywały na nierównej podłodze.

Po dłuższej chwili Sofos odezwał się szeptem:

– Genie? Nie śpisz jeszcze?

– Nie.

– Mag powiedział, że krwawienie ustało i najprawdopodobniej wyjdiesz z tego. O ile nie dostaniesz gorączki.

– Dobrze wiedzieć. – W takim razie będą mogli ściąć mi głowę.

Słońce zaczynało już zachodzić, gdy strażnicy przyprowadzili maga z powrotem. Ostatnie promienie wpadały wprost przez maleńkie okienko, oświetlając przeciwległą ścianę celi. Wykonana była z tego samego żółtego wapienia, co królewski megaron po drugiej stronie gór Eddis. Przez całe popołudnie to zasypiałem, to znów budziłem się. Ktoś przyniósł nam posiłek, który kazałem zjeść Sofosowi.

– Jak się czujesz, Genie? – zapytał mag.

– Dobrze – odparłem. Moja pierś wydawała się wypełniona wrzącym cementem i było mi jednocześnie gorąco i zimno, ale tak naprawdę wcale mnie to nie obchodziło. Nic mnie już w zasadzie nie obchodziło, więc chyba czułem się dobrze.

Królewski doradca przyłożył mi dłoń do czoła i zrobił zatroskaną minę.

– Jadłeś coś dzisiaj?

Przewróciłem oczami.

– Tak – przyznał. – To było głupie pytanie. Dostałeś coś do jedzenia,



Sofosie?

Chłopiec pokiwał głową.

– Zostało coś dla mnie?

– Nie. Przepraszam. – Sofos wyglądał na skruszonego.

– Nic nie szkodzi – skłamał mag. – Jadłem na górze, w czasie rozmowy z kapitanem Gwardii Królowej. Najwyraźniej Jej Wysokość jest już w drodze, by na własne uszy usłyszeć naszą historię.

Usiadł na kamiennej podłodze tuż poza zasięgiem mojego wzroku i oparł się o ścianę.

– Znaleźliśmy się w dość trudnym położeniu – powiedział, a ja znów przewróciłem oczami. – Obawiam się, że Ambiades był naszym jedynym sposobem na przekonanie Attolijczyków, że Dar Hamiatesa zaginął. Wiesz już, co stało się z Ambiadesem?

– Sofos mi powiedział. – Czułem się dziwnie, bo wypowiedzi kierowane były do boku mojej głowy, ale odwracanie jej, by móc spojrzeć na maga nie było warte wysiłku.

– Pieniądze ojca musiały się skończyć, zdecydował więc, że woli być bogatym zdrajcą niż zubożałym uczniem. Attolia opłaciła go, on zaś dopilnował, by ktoś śledził nas od czasu, gdy opuściliśmy Sounis. Jeśli poruszaliśmy się zbyt szybko, dbał o to, by nas spowolnić. – Obaj pomyśleliśmy o jedzeniu, które zniknęło z toreb.

– Winien ci jestem przeprosiny za wiele rzeczy – przyznał mężczyzna.

– Przyjęte – odparłem. To już nie było ważne.

– Królowa zapewne zamierzała zabić nas wszystkich po kryjomu, a Ambiadesa odesłać z powrotem jako jedynego ocalałego. Raczej nie ucieszy jej, że straciła cennego szpiega, a skoro Ambiades nie żyje, obawiam się, że nie ma sposobu, by przekonać ją, że Dar Hamiatesa wpadł do strumienia.

Na chwilę zapadła cisza. Każdy z nas rozważał attolijskie metody

pozyskiwania wiarygodnych informacji.

Mag zmienił temat. Odwróciłem głowę, gdy usłyszałem, co powiedział.

– Attolijscy żołnierze byli w świątyni na terenie dystopii. – Kiwnął głową. Nie byłem pewien, czy chciał w ten sposób potwierdzić, że to prawda, czy też okazać, że cieszy się, iż okazałem wreszcie jakąś oznakę życia. – Została całkowicie zniszczona. Araktus wdarł się do środka przez dach i zmył większość ścian. Pozostały wprawdzie ślady świadczące o tym, że znajdowało się tam coś stworzonego ludzką ręką, ale to wszystko.

– Kiedy?

– Nie jestem pewien, ale nie później niż dzień czy dwa po naszym odejściu.

Przypomniałem sobie jak bliskie wydawały się dźwięki przepływającego po dachu sali bogów Araktusa. Wyobraziłem sobie, jak wlewa się do komnaty i labiryntu poniżej, wymywając drzwi i ściany. Wyobraziłem sobie brak bogów w ich pięknych szatach i Hefestii na tronie. Odwróciłem znów głowę w kierunku sufitu i zamrugałem, próbując usunąć wilgoć spod powiek. Mag wyczuł moje strapienie i podszedł bliżej, by mnie pocieszyć.

– Genie, to była stara świątynia. Zawalenie się głównych drzwi było zapewne pierwszą oznaką zniszczeń poczynionych przez Araktus, gdy znalazł sobie jakieś nowe ujście. W ciągu kilku kolejnych dni siła wody zniszczyła całą budowlę. Coś takiego wydarzyłoby się i tak, prędzej czy później. Wszystkie twory człowieka zostają ostatecznie zniszczone. – Starł łzę spływającą w stronę mojego ucha. – Żałuję, że nie poszedłem tam z tobą – dodał. – Zawsze już będę zastanawiał się, co tam ujrzalesz. – Odczekał chwilę, mając nadzieję, że odpowiem.

– Nie chcesz powiedzieć czy nie możesz? – zapytał.

– Nie mogę – przyznałem. – Ale i tak bym nie powiedział – pozwoliłem sobie na lekką złośliwość.

Mężczyzna roześmiał się, po czym raz jeszcze sprawdził temperaturę mojego czoła.

Strażnik przyniósł więcej żywności. Mag z Sofosem zabrali się do jedzenia. Żółty kwadrat światła słonecznego na ścianie naprzeciwko okna przygasł nieco, gdy usłyszeliśmy odgłosy kroków w korytarzu. Zrozumieliśmy, że do zamku przybyła królowa i oto posłała po maga.

– Zrobię dla ciebie, Genie, co tylko w mojej mocy – obiecał królewski doradca, podnosząc się z miejsca. Zabrali też Sofosa, toteż zostałem w celi zupełnie sam, zastanawiając się, co też mag sądzi, że jest w stanie osiągnąć.

Kiedy wrócił, w celi było już zupełnie ciemno. Strażnicy nieśli ze sobą lampy, zamknąłem więc oczy, by uchronić się przed ich blaskiem, sądząc, że żołnierze wkrótce odejdą. Jęknąłem, gdy ktoś dźgnął mnie czubkiem buta, częściowo dlatego, że mnie to zaboląło, a częściowo, że nie podobało mi się, że mi przeszkadzano. Kolejny, mocniejszy już cios trafił mnie w żebra. Otworzyłem oczy. Nade mną, pomiędzy magiem a kapitanem straży, stała królowa Attolii.

Uśmiechnęła się, widząc moje zaskoczenie. Opromieniało ją światło lamp, pośród panujących naokoło ciemności wydawała się więc otoczona nimbem niczym bogowie. Miała czarne włosy, okolone imitacją złotej, tkanej wstęgi Hefestii. Jej szatę, udrapowaną jak peplos, wykonano z haftowanego, czerwonego aksamitu. Była równie wysoka, co mag i piękniejsza niż jakakolwiek kobieta, którą kiedykolwiek widziałem. Wszystko przywodziło na myśl starą religię. Wiedziałem, że to podobieństwo nie jest przypadkowe – chodziło o to, by przypomnieć poddanym, że tak jak Hefestia panuje nad wszystkimi bogami, tak ta kobieta włada całą Attolią. Co za pech, że miałem okazję oglądać Wielką Boginię i byłem świadomy, jak daleko było do niej attolijskiej królowej.

Przemówiła cichym i czarującym głosem:

– Mag z Sounis zapewnia mnie, że twoje umiejętności złodziejskie nie mają sobie równych. – Uśmiechnęła się delikatnie.

– To prawda – przyznałem.

– Dał mi jednak do zrozumienia, że nie darzysz swego kraju zbyt wielką lojalnością.

Wzdrygnąłem się.

– Nie darzę szczególną lojalnością króla Sounis, Wasza Wysokość.

– Całe szczęście. Mam wrażenie, że niezbyt cię szanuje.

– Nie, Wasza Wysokość. Nie wydaje mi się.

Znów się uśmiechnęła, odsłaniając idealnie równe zęby.

– W takim razie nic nie stoi na przeszkodzie, byś miał zostać w Attolii i służyć jako mój złodziej. – Spojrzałem na maga. A więc to ta przysługa, którą mi wyświadczył: przekonał królową, że jestem zbyt cenny, by się mnie pozbyć. – Umm, jedna rzecz, Wasza Wysokość

Jej brwi uniosły się w zdumieniu, tworząc dwa łuki.

– A cóż to takiego?

Musiałem szybko coś wymyślić. Rozsądek powstrzymał mnie przed oświadczeniem, że uważam ją za demona z zaświatów i nawet poszczyty górskimi lwami nie zgodziłbym się na wstąpienie do niej na służbę. Gorączkowo poszukując jakiegoś wyjaśnienia, przypomniałem sobie słowa maga, wypowiedziane nad brzegiem Araktusa.

– Mam ukochaną – wyznałem z przekonaniem. – Obiecałem, że do niej wrócę, Wasza Wysokość.

Królowa wyglądała na rozbawioną, mag na skonsternowanego. Nie potrafił odgadnąć, dlaczego odrzucam szansę na ocalenie. W moim rejestrze w królewskim więzieniu nie było ani słowa o żadnych romansach. Miałem pewność co do tego, bo sam go napisałem. Nie istniał prostszy sposób, by zamienić całą masę przechwałek w niezachwianą reputację, a wsunięcie

dotatkowej kartki pomiędzy prawdziwe dokumenty nie nastąpiło żadnych problemów. Każdy, kto potrafi ukraść królewski sygnet, da sobie radę z zamkami w archiwum.

– Zostałeś komuś przyobiecany? – zapytała królowa z niedowierzaniem.

– Tak, Wasza Wysokość – odpowiedziałem stanowczo.

– I nie zamierzasz złamać przyrzeczenia? – Pokręciła głową ze smutkiem.

– Nie mógłbym tego zrobić, Wasza Wysokość.

– Ależ jestem chyba lepszą panią?

– Piękniejszą, Wasza Wysokość. – Królowa uśmiechnęła się, ale ja jeszcze nie skończyłem. – Lecz w jej piersi bije gołębie serce.

To by było na tyle, jeśli chodzi o rozsądek. Uśmiech zniknął. Zapadła cisza jak makiem zasiał. Alabastrowe policzki władczyni pokryły się żywą czerwienią. Nikt nie zarzucał braku dobroci królowej Attolii.

Kobieta znów uśmiechnęła się, jednak tym razem w inny, oszczędniejszy sposób. Skinęła mi głową, uznając moje zwycięstwo w tym starciu. Odwzajemniłem uśmiech, zadowolony z siebie, choć było to gorzkie uczucie. Królowa zwróciła się natomiast do kapitana straży:

– Zabierzcie go na górę i sprowadźcie medyka – rozkazała. – Damy mu szansę na zmianę zdania. – Gdy odwróciła się, by odejść, jej czerwony peplos prześliznął się po grzbiecie mojej dłoni. Zadrzałem. Aksamit był wprawdzie miękki, ale hafty drapały.

Leżałem w łóżku, w pokoju kilka pięter powyżej lochu, a gorączka wciąż rosła. Majaczyłem, ale jakimś cudem wiedziałem, że majaczę. Usiadła przy mnie Moira. Zapewniła mnie, że nie umieram. Powiedziałem jej, że wolałbym, by tak było. Potem z ciemności wyłonił się Eugenides, a Moira zniknęła. Bóg z początku był cierpliwy. Przypomni mi, że czasami życie jest niczym przedmiot, który można ukraść, jak jakąkolwiek inną własność. Zapytał mnie, czy wolałbym być martwy. Odparłem, że owszem. W takim

wypadku chciał wiedzieć, co z moimi marzeniami o sławie i imieniu wykutym w skale. I czy w takiej sytuacji zostawiłbym też swoich towarzyszy na pewną śmierć?

Nie chciałem myśleć o magu jako o swoim towarzysz. Jednak jeśli nim nie był, to dlaczego już raz ryzykowałem dla niego życiem? Westchnąłem. Poza tym był jeszcze Sofos, o którego trzeba było się martwić. Powiedziałem, że gdybym umarł, gdy żołnierz wyszarpnął ze mnie miecz, nie nękałoby mnie sumienie. Bóg milczał. Cisza rozciągała się z okolic mojego łóżka na zamek i, wydawało się, także na cały świat. Przypomniałem sobie wtedy, że Lyopidus zginął w pożarze, a Eugenides nie.

Po niezliczonych, pustych uderzeniach serca, bóg znów przemówił gdzieś z oddali:

– Jego żona zmarła w zimie. Trójka jego dzieci mieszka wraz z ciotką w Eia.

Kiedy odważyłem się opuścić rękę, już go nie było. Zasnąłem, a gdy się obudziłem, mogłem myśleć już trochę bardziej trzeźwo. Pozostawienie Sofosa i maga na pewną śmierć raczej nie pomogłoby mojemu sumieniu, choćbym sam zginął niewiele później. Poza tym nie należało również zapominać o sławie i bogactwach. Zwlokłem się z łóżka i rozejrzałem się nieco po pokoju.

Rygle cofnęły się z wolna i drzwi celi otworzyły się. Lamy w korytarzu zostały zgaszone, tak więc ani mag, ani Sofos nie mogli dojrzeć, kto stał w wejściu.

– To ja – syknąłem, zanim którykolwiek z nich zdążył wydać z siebie jakikolwiek odgłos mogący dotrzeć aż do pomieszczenia strażników. Usłyszałem, że zbliżają się, więc zrobiłem im miejsce, aby na mnie nie wpadli. Gdy znaleźli się w przejściu, zapytałem chłopca, czy wciąż ma na sobie tunikę.

– Dlaczego pytasz? – chciał wiedzieć.

– Chcę, żebyś mi ją oddał.

– Dlaczego?

– Bo mam na sobie tylko bandażę. Zabrali wszystkie moje ubrania. – Sofos zdjął z siebie ubranie i podał mi je, niemalże wybijając mi przy tym w oko.

– Chcesz też buty? – zaproponował ofiarnie.

– Nie, lepiej jak zostanę boso.

– Genie – odezwał się mag. – Nie powinienes tego robić.

– Ubierać się?

– Wiesz, co mam na myśli. – Przynajmniej miał na tyle rozsądku, by ściszyć głos. – Dziękuję, że otworzyłeś drzwi, ale najlepiej będzie, jak o wszystkim teraz zapomnisz. Wracaj z powrotem tam, skąd przyszedłeś i udawaj, że w ogóle nie wychodziłeś z łóżka.

– A jak niby się stąd wydostaniecie? Frontowymi drzwiami?

– Damy sobie radę.

Parsknąłem cicho.

– Wątpię.

– Jeśli nas złapią, powiemy, że przekupiliśmy strażnika.

Zbyłem jego wypowiedź lekceważącym machnięciem dłoni, którego i tak nie mógł zauważyć.

– Musimy ruszać – powiedziałem, ponaglając go zdrową ręką, czego również nie mógł dostrzec.

– Genie, minęły zaledwie dwa dni, a trzy od czasu, kiedy nas aresztowano. Nie dasz rady.

– Wydaje mi się – odparłem chłodno – że jestem raczej waszym atutem niż kulą u nogi.

– Nie to miałem na myśli. – Wyciągnął rękę pośród ciemności, by

dotknąć mojego ramienia, ale się odsunąłem. – Nie możemy oczekiwać, że znowu będziesz dla nas ryzykował.

– A to jakaś zmiana względem twojego wcześniejszego podejścia – wytknąłem.

– Wtedy się myliłem.

– Mylisz się i teraz.

– Genie, królowa Attolii nie żywi względem ciebie urazy.

Przypomniałem sobie uśmiech, jakim obdarzyła mnie na pożegnanie.

– Myślę, że jednak żywi.

– Chce tylko otrzymać od ciebie obietnicę, że będziesz jej służył.

– Cóż, w takim razie jej nie dostanie. – Słyszałem zbyt wiele opowieści o tym, co stało się z ludźmi, którzy dla niej pracowali. – Czy możemy teraz o tym nie rozmawiać? – Mówiąc to, zacząłem oddalać się z wolna, a oni podążyli za mną. Boso stąpałem ostrożnie i nie miałem też większych problemów, aby pamiętać o oszczędzaniu uszkodzonej ręki.

– Skąd wzięłeś klucze? Gdzie są strażnicy? – Sofos ani myślał zamilknąć, gdy poruszaliśmy się naprzód wśród nieprzeniknionych ciemności. – I dlaczego nie pali się żadna lampa?

Westchnąłem.

– Nie mam kluczy. Zabrali moje ubrania i najprawdopodobniej je spalili. Zostawili jednak wytrychy oraz resztę rzeczy, które miałem w kieszeniach, na stoliku w moim pokoju. – Nie zabrałem z niego fibuli maga oraz grzebienia Ambiadesa. Wziąłem za to scyzoryk, w razie gdybym znów miał go potrzebować. Znaleźliśmy się na rogu. Wymacałem sobie drogę, po czym wróciłem po Sofosa i zacząłem prowadzić go za rękę.

– Bądź cicho – szepnąłem – i postaraj się mnie nie szarpać. – Wciąż jeszcze nie stałem pewnie na nogach, obawiałem się więc, że mógłby mnie przewrócić, gdyby się potknął.



– A co ze strażnikami? – Chłopiec nie miał zamiaru odpuścić. – I lampami?

Odpowiedziałem mu zatem, że strażnicy zajmują się pilnowaniem talii kart na końcu korytarza, a lampy nie świecą, bo sam zgasilem każdą z nich.

– Dzięki temu – syknąłem – kiedy usłyszą, że świergolimy niczym zadowolone wróble, nie będą w stanie tak *od razu* nas znaleźć.

– A dokąd idziemy?

– Zamkniesz się wreszcie?

Lewą ręką, uszkodzoną, ocierałem o ścianę, aż wreszcie zaczepiłem nią o klamkę. Ból sprawił, że natychmiast się zatrzymałem. Ścisnąłem mocno dłoń Sofosa, by nie wpadł na mnie.

– Zaczekajcie – szepnąłem. Stali w milczeniu, podczas gdy ja zabrałem się za rozpracowywanie zamka. Na szczęście miałem klucz o zbliżonym kształcie, mogłem więc operować nim jedną ręką. – Uwaga na drzwi – powiedziałem, otwierając je na oścież. Zazgrzytały po posadzce, ale zawiasy nie skrzypiały. – Nie uderz się w głowę – ostrzegłem jeszcze maga.

Ruszyliśmy tunelem szerokości drzwi. Ściany nachylały się ku sobie, tworząc sklepienie zaledwie kilka cali nad moją głową. Korytarz kończył się kamiennymi drzwiami, zamkniętymi od wewnątrz na zwykłą antabę. Przedostawszy się na drugą stronę, znaleźliśmy się poza zamkiem, na wąskim, kamiennym podeście, biegnącym poniżej murów zamkowych. Pośród ciszy słyszeliśmy fale rozbijające się o skały pod naszymi stopami. Po powierzchni wody pełgały odbite plamy światła pochodni, oświetlających chodnik strażniczy nad naszymi głowami.

– Co to takiego? – zapytał Sofos.

– To Seperchia – odpowiedział mu mag. – Nie zapominaj, że tę twierdzę zbudowano na rzece, by bronić mostu na drugi brzeg.

– Nie, miałem na myśli co to jest? – Sofos uderzył stopą w skałę, na

której staliśmy.

– To parapet biegnący wokół całego zamku – wyjaśniłem. – Umożliwia prace konserwatorskie przy fundamentach. Pójdziemy nim aż do mostu prowadzącego do miasta. Mówcie cicho. Tu też wystawiają strażę.

– A po co są tu te drzwi?

Odpowiedź pozostawiłem magowi.

– Pozbywają się ciała, wrzucając je do rzeki.

– Och.

– Czasami strażnicy odsprzedają ciało bliskim, którzy czekają tu w łodzi – dodał królewski doradca.

Sofos wreszcie zamknął buzię na kłódkę, mogliśmy więc skupić się na ostrożnym posuwaniu się bokiem wokół zamku. Na niebie nie było księżyca. Nie widziałem nawet własnej ręki przed twarzą, więc przykleiłem ją do murów, a stopą sprawdzałem, czy mam przed sobą oparcie. Mag zajął pozycję między mną a chłopcem i pilnował się, by na mnie nie wpaść. Skręciliśmy za jeden narożnik, potem za następny. Przy moście nie płonęły pochodnie, a jeśli pilnowali go strażnicy, musieli być rozlokowani na wieżach. Cała nasza trójka przekradła się na drugą stronę.

Przedarcie się przez miasto okazało się dużo trudniejsze niż wydostanie się z zamku. Noc była bezksiężycowa, musieliśmy więc ostrożnie wybierać drogę, ja zaś miałem problemy z prowadzeniem pozostałej dwójki tam, gdzie chciałem się udać. Płonące w domach ognie wygaszono wiele godzin temu, nie mogliśmy zatem liczyć na blask bijący z okien. Obszczekiwały nas mijane psy, ale nie pojawił się żaden strażnik, by sprawdzić, co się dzieje. Droga biegnąca od strony zamku oddalała się od rzeki. Zeszliśmy z niej, licząc na to, że uda nam się dostać z powrotem nad wodę, ale zabłądziliśmy pośród wąskich uliczek. Dwukrotnie zderzyłem się niemalże z niewidoczną ścianą domu, zanim wreszcie natrafiliśmy na inną drogę ciągnącą się wzdłuż

brzegu i prowadzącą przez most na drugą stronę.

– Zostaniemy po tej stronie – zdecydowałem, a mag nie protestował. Powoli przekradaliśmy się obok pogrążonych w mroku domów. Nieobecność księżycy w gruncie rzeczy mnie cieszyła. Nie musiałem zawracać sobie głowy kryciem się, a posuwając się naprzód powoli, miałem czas, by oszczędzać uszkodzoną rękę.

– Genie – odezwał się mag – jak się czujesz?

– Dość dobrze – odparłem, do pewnego stopnia sam zaskoczony tym, jak sprawny się sam sobie wydawałem. Byłem wprawdzie słaby, ale mogłem myśleć trzeźwo. Ręka trochę mnie rwała, jednak dość tępo. Ból wyostrzał się tylko wtedy, gdy potykałem się, a to nie zdarzało się zbyt często. Odnosiłem wrażenie, jakbym łagodnie szybował nad drogą, niczym przywiązany do niewidzialnej chmury. Pośród nocy niosły się zwyczajowe odgłosy wydawane przez owady, pluskanie ryb oraz wycie psów z oddali, ale nas otaczała jakby bańka ciszy.

Wkrótce wszedł księżyc i przeprawa stała się łatwiejsza, lecz mimo to mag nie próbował mnie popędzać. Obaj wraz z Sofosem byli cierpliwi, ale chłopiec wciąż próbował wdać się z nami w pogawędkę. Zrozumiałem, że mówieniem próbował rozładować strach, ale potrzebowałem skupić całą swoją uwagę na stopach. Rozmawiał więc z nim królewski doradca. Nie zatrzymaliśmy się niemalże do świtu.

Nie odeszliśmy wielu mil od miasta, ale droga którą podążaliśmy, wspinała się na wzgórze i zakręcała w głąb kraju. Żeby zatem dalej trzymać się rzeki, musieliśmy wybrać węższą ścieżkę, która wiła się między przybrzeżnymi skałami. Stanęliśmy na odpoczynek. Oparłem się o dogodny stos kamieni i osunąłem się na ziemię. Owinąłem się koszulą Sofosa, która na szczęście była długa, i zamknąłem oczy. Było mi zimno w stopy, ale postanowiłem nie zwracać na to uwagi. Zdrzemnąłem się chwilę. Gdy

uniosłem powieki było już na tyle jasno, że dało się rozróżnić kolory. Stopy miałem okryte koszulą maga, ale jego samego nigdzie nie było widać.

Odwróciłem głowę, by go poszukać, ale zaraz tego pożałowałem. Ciało zeszywniało mi w czasie snu. Sofos wciąż jeszcze drzemał, zwinięty obok mnie na ziemi. Królewski doradca stał kawalek dalej i spoglądał między skałami na rzekę. Zawołałem do niego, a gdy się odwrócił, na jego twarzy malował się ponury grymas. Poczułem się tak, jakby stado ptaków zaczęło dziobać mój żołądek.

– Co się stało? – zapytałem.

– Rzeka płynie w złą stronę.

Wpuść bogów do swojego życia, a natychmiast stracisz wiarę w prawa natury. Ptaki przestały dziobać i wszystkie padły trupem. Sądziłem, że naprawdę chodziło mu o to, że rzeka zmieniła swój bieg i przez chwilę mój żołądek pełen był martwych ptaków. Jak się wkrótce okazało, miał jedynie na myśli, że w nocy pomylił kierunki.

Mag usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

– W mieście zupełnie straciłem orientację – powiedział. – Nie szliśmy wcale w dół rzeki, w stronę przełęczy. Szliśmy w górę. Teren stopniowo się wznosił, ale nie zauważyłem tego, dopóki nie dotarliśmy do bardziej stromych rejonów. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

W tym samym momencie Sofos usiadł i zamrugnął oczami, nikt więc nie zwrócił uwagi, że odetchnąłem z ulgą.

– Co się dzieje? – zapytał, spoglądając na maga.

Ten wyjaśnił, że wie jedynie, iż znajdujemy się na odległym krańcu dystopii, z dala od Morza Oliwnego. Dlatego właśnie droga, którą podążaliśmy zakręciła. W górze rzeki nie ma gruntów ornych. Nie istniał żaden sposób, by sprawdzić, jak daleko moglibyśmy iść nią w kierunku źródła. Teren wznosiłby się coraz mocniej i robił coraz bardziej skalisty,

stając się tym samym trudniejszym do pokonania. Zdaniem maga, przez dystopię nie przerzucono żadnego mostu, więc ostatecznie dotarlibyśmy do podnóża gór, gdzie znaleźlibyśmy się w potrzasku.

– Na drugim brzegu rzeki biegnie szlak handlowy, jestem też pewien, że znajduje się tam kilka wiosek, ale wątpię, by którejkolwiek z nich był potrzebny most prowadzący do dystopii.

– A co z tą drogą, którą podążaliśmy? – zapytałem, mimo że znałem odpowiedź.

– Zwęża się, a dalej zamienia się w zwykłą ścieżkę i zapewne kończy się przy najbliższym gospodarstwie. Byłem się rozejrzeć.

– To co zrobimy? – zapytał maga Sofos.

– Idziemy dalej – odparłem zamiast niego. – Nie możemy zawrócić, bo wpadniemy na pościg. – Na chwilę oparłem głowę o kamień. – Będziemy trzymać się rzeki, mając nadzieję, że skały spowolnią konnych. Nie ma żadnego powodu, dla którego mielibyśmy tu być, więc zapewne będą szukać nas gdzieś indziej.

– Możemy ukryć się przez jakiś czas w dystopii – podsunął chłopiec. – Potem moglibyśmy przejść przez nią i wrócić przez Morze Oliwne.

Mag spojrzał na mnie.

– Nie damy rady przedostać się na drugi brzeg Araktusa.

– Poczekamy, aż Gen wydobrzeje.

– A co z żywnością?

Nie będąc głodnym, zupełnie zapomniałem o pożywieniu.

– Przynajmniej wody mamy pod dostatkiem – rzuciłem z optymizmem i podniosłem się z ziemi. Czuję się jak jeden z zepsutych zegarów, nad którymi czasem pracował mój brat. Mag pochylił się i podał mi dłoń. Sofos też zwrócił się w moją stronę, by mi pomóc.

– Naprawdę uważasz, że będą nas szukać? Czy skracając nas o głowę, nie

sprovokują wojny? – zapytał.

Zamyśliłem się przez chwilę, zestawiając ze sobą prestiż stracenia jednego z głównych doradców wroga oraz wszelkie minusy zmasowanego ataku.

– Wam zapewne pozwolą uciec – kiwnąłem potakująco głową – żeby uniknąć wojny albo przynajmniej odłożyć ją w czasie, aż zdążą się do niej przygotować.

– A co z tobą?

– Możliwe, że mi też pozwolą uciec, ale woleliby mnie pojmać, a wam dać się wymknąć. – Nikt nie wszcząłby wojny ze względu na mnie, za to mógłbym okazać się ogromnie przydatny, gdyby udało się mnie skłonić do służby. Zadrżałem, a z moich ust wydobyło się westchnienie, które w założeniu miało być jękiem. Musieliśmy trzymać się blisko rzeki, bo w razie ryzyka pojmania, zamierzałem rzucić się w jej odmęty.

Stanąwszy na nogi, dałem się ponieść pędowi. Ruszyliśmy ścieżką, wijącą się między skałami przy samej rzece. Obcierałem sobie stopy o walające się wszędzie pokruszone kamienie, ale za to widziałem dużo lepiej, mogliśmy więc poruszać się szybciej niż poprzednio.

Maszerowaliśmy głównie gęsiego, a Sofos w zasadzie nie przestawał mówić.

– Genie? – zaczął. – Gdybyś mógł być teraz gdziekolwiek byś chciał, to gdzie byś był?

Westchnąłem.

– W łóżku – odpowiedziałem. – W wielkim łóżku z rzeźbionym wezglowiem, w ciepłym pokoju z dużą ilością okien. I z pościelą – dodałem po kilku krokach, wyobrażając sobie, jak otulałaby moje poobcierane stopy. – Taką ładną, jakie sprzedają przy Świętej Drodze. I z kominkiem. – Mój sen na jawie zaczynał się rozrastać. – I książkami.

– Książkami? – powtórzył zaskoczony chłopiec.

– Książkami – powiedziałem z naciskiem, nie zastanawiając się, czy magowi również wydało się to dziwne. – Całym mnóstwem książek. A ty, gdzie byłbyś?

– Pod morelą w ogrodzie willi mojej matki. Obserwowałbym bawiące się siostry, a kiedy tylko nasłaby mnie ochota na owoc, wystarczyłoby, żebym wyciągnął rękę.

– O tej porze roku nie są jeszcze dojrzałe.

– W takim razie powiedzmy, że moglibyśmy być w dowolnym miejscu o dowolnej porze. A ty, magu, gdzie byś był?

Mężczyzna milczał tak długo, że sądziłem, iż nie odpowie.

– W głównej świątyni – rzucił wreszcie.

– Uhh – mruknąłem, wciąż kojarząc świątynię z nudą, mnóstwem zawodzących ludzi i wszechobecnym zapachem kadzidła. Moja nowa, żarliwa wiara w bogów wcale nie uczyniła mnie bardziej tolerancyjnym wobec pustej klepaniny, jaką przez całe życie oglądałem w świątyniach.

Jednak królewski doradca jeszcze nie skończył.

– Obserwując ceremonię zaślubin Sounisa i Eddis.

Skrzywiłem się.

– Dlaczego tak zależy ci na tych zaślubinach?

– Król potrzebuje następcy tronu, który odziedziczy zarówno Sounis, jak i Eddis.

– Przecież ma bratanka – zauważył Sofos.

– Oczywiście, że ma następcę – przyznał mag. – Ale żeby zapewnić ciągłość dynastii, potrzebny jest mu syn. A to z kolei oznacza, że musi mieć żonę.

– A niby dlaczego ten następcą tronu miałby sprawować władzę także nad Eddis? – zapytałem.

Królewski doradca uznał, że zasłużyłem na pełną odpowiedź, co wyraźnie świadczyło o tym, jak bardzo zmieniła się jego opinia na mój temat.

– Nie tylko nad Eddis, ale i nad Attolią – sprostował. – Nie jesteś świadom, Genie, że te trzy kraje są wolne tylko dzięki niezwykle rzadkiemu splotowi wydarzeń. Najwcześniejsi najeźdźcy zaatakowali naszą ojczyznę, bo chcieli, abyśmy płacili im daninę. Z wolna ich miejsce zajęło Cesarstwo Kupieckie, które interesował głównie nasz handel. Tych panów ostatecznie udało nam się odeprzeć. Jednak było to możliwe tylko dlatego, że Cesarstwo Kupieckie pochłaniała wojna z większym zagrożeniem w innej części świata, Medejczykami. Medejczycy od stu lat próbowali rozszerzyć granice swojego imperium tak, by obejmowało cały basen morza śródziemnego. Wkrótce nie tylko będą chcieli zagarnąć nasze ziemie, ale też nas z nich wyprzeć. Od lat walczą z pozostałościami Cesarstwa Kupieckiego, a póki to robią, jesteśmy wolni. Jednak kiedy przestaną, Sounis, Eddis i Attolia będą musiały zjednoczyć się, by stawić czoła zwycięzcy, bo w przeciwnym razie zostaniemy podbici jak nigdy wcześniej. Nie będzie ani Sounis, ani Attolii, ani Eddis, tylko Medea.

– Jesteś pewien, że to Medejczycy zwyciężą?

– Jestem pewien.

Była to informacja warta przemyślenia w czasie marszu. Szliśmy coraz wyżej w stosunku do rzeki. Brzeg stawał się bardziej stromy, aż wreszcie zamienił się w pionowe urwisko wysokości sześciu czy ośmiu stóp, kończące się bezpośrednio w wodzie. Szliśmy ścieżynką prowadzącą po kamieniach. Po lewej stronie głazy sięgały jeszcze wyżej. W swym górnym biegu rzeka stawała się węższa i głębsza. Słyszałem wyraźnie, jak się kotłuje, usiłując wcisnąć się w ciasne koryto. Przeciwległy brzeg znajdował się w odległości zaledwie kilkuset jardów, a raz minęliśmy maleńką, opustoszałą wioskę. Nie rosły tu żadne drzewa, natomiast słońce przygrzewało coraz mocniej. Głazy



po lewej stronie urosły do tego stopnia, że przesłaniały nam widok na każdym zakręcie ścieżki.

Gdy dotarliśmy do kolejnego wzniesienia, mag pomógł Sofosowi wdrapać się na skałę, by chłopiec mógł spojrzeć w dół rzeki.

– Widzisz kogoś? – zapytaliśmy go obaj.

Ten zaprzeczył i zaczął zsuwać się na ziemię.

– Poczekaj – zatrzymałem go. – A widzisz pył?

– Masz na myśli pył unoszący się w powietrzu? Tak, widzę chmurę.

– To konie na drodze – powiedziałem do maga.

Mężczyzna przytaknął i pomógł Sofosowi zejść. Próbowaliśmy przyspieszyć kroku, ale choć nie czułem jakiegoś straszego bólu, nie miałem siły poruszać się szybciej. Kiedy kolejny raz chłopiec wyjrzał ponad głazy, dostrzegł w oddali konie posuwające się gęsiego między skałami. Parliśmy naprzód, lecz nagle noga uwięzła mi między kamieniami i runąłem na ziemię. Idący przede mną mag usłyszał, jak łapię oddech i odwrócił się, by mi pomóc, ale zdążyłem już się przewrócić. Chcąc mnie podnieść, złapał niestety za uszkodzoną rękę. Mogłem jedynie zamachać dłonią z bólu. Dziadek byłby dumny z tego, jak mnie wyszkolił. Złodziej nigdy nie hałasuje przez przypadek. Przygryzłem wargę.

– Genie? Genie, nie mdlej. Zejdziemy ze ścieżki i spróbujemy ukryć się między skałami. Może nas miną.

– Nie – odpowiedziałem. Był to beznadziejny plan i obaj doskonale o tym wiedzieliśmy. Gdyby obaj z Sofosem zostawili mnie tutaj, może daliby radę umknąć pogoni, ale istniała jeszcze lepsza alternatywa. – Tam jest most – wykrztusiłem, oddychając ciężko. W górnym biegu rzeki, kamienne wysepki dzieliły nurt na mniejsze strumienie. Po powodzi, wymyte przez wodę osady wszelkiego rodzaju osadziły się pomiędzy kamieniami. Pień powalonego drzewa sięgał od brzegu, na którym się znajdowaliśmy do stosu gruzów

pośrodku rzeki.

Mag obejrzał się i dostrzegł prowizoryczny most.

– Myślisz, że damy radę dostać się na drugą stronę?

– Tak. – Na przeciwległy brzeg prowadziła sterta gałęzi. Wprawdzie sprawiała wrażenie dość kruchej, ale powinna wytrzymać mój ciężar, a zapewne także i królewskiego doradcy.

Niemniej jednak ten prowizoryczny most znajdował się w odległości kilkuset metrów. Jeźdźców natomiast dzieliło od nas ledwie dwa razy tyle. Był to wyścig między żółwiem i zającem, jednak gad miał wystarczającą przewagę, a do tego jeszcze mag ciągnął go za sobą. Kiedy dotarliśmy do miejsca przeprawy, pościg deptał nam już niemal po piętach. Zsiedli z koni. Szlak był zbyt zdradliwy dla wierzchowców, a ich jeźdźcy mogli poruszać się szybciej pieszo.

– Sofosie, ty pierwszy – zdecydował mag. – Ja pomogę Genowi.

– Nie – zaprotestowałem.

– Mam iść prosto? – zapytał chłopiec.

– Nie! – Nakazałem mu przedostać się ostrożnie na drugą stronę na czworakach. Jeden fałszywy ruch, a znajdzie się pod wodą i pewnie już nigdy go nie zobaczymy. Rzeka płynie najszybciej w najwęższym miejscu, a tu, między ścianami koryta, musiały zmieścić się całe wody Seperchii. Powierzchnia wydawała się gładka i spokojna, ale było to zwodnicze wrażenie, nurt był tu bowiem tak silny, że w mgnieniu oka wciągnąłby człowieka w odmęt. Sofosowi udało się dostać bezpiecznie na środek rzeki.

– Pójdziemy razem – powiedział mag.

– Nie.

– Genie, nie opuszczę cię po raz drugi.

Obejrzał się za siebie na zbliżających się mężczyzn i zaczął ciągnąć mnie za zdrową rękę. Wydaje mi się, że już wtedy musiał być pewny, że

gwardziści puściliby wolno jego i Sofosa.

– Gen...

– Musisz powiedzieć Sofosowi, że jeśli gałęzie ugną się pod jego ciężarem, ma przeskoczyć na drugą stronę. Jeśli będzie próbował wydostać się na brzeg ze stopami w wodzie, utonie.

Mag spojrział na chłopca, który zabierał się właśnie za przekraczanie drugiego, kruchego mostu. Tworzyły go niewielkie gałęzie, stłoczone w jednym miejscu przez rwącą wodę i zaklinowane w szczelinach pomiędzy skałami. Drewno było kruche, a im więcej gałęzi pękało, tym niżej zawisał most nad wodą. Królewski doradca znał prawo Archimedesesa równie dobrze jak ja.

– Genie? – Odwrócił się znów w moją stronę.

– Dam sobie radę. Obiecuję – powiedziałem.

Niechętnie odszedł i przedostał się przez pierwszy most, równie ostrożnie jak Sofos.

Kiedy znalazł się na wysepce, ześliznąłem się z brzegu ku miejscu, gdzie utknęła kłoda i przeszedłem na drugą stronę. Pień został wygładzony przez wodę i stanowił przyjemną odmianę dla moich stóp. Gdyby był o połowę szerszy, nie miałbym w ogóle żadnych problemów.

Mag wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy wylądowałem na kamieniach obok niego, po czym razem zabraliśmy się za spychanie kłody. Jeden z mężczyzn próbował już po niej przejść, ale zawrócił, zanim zdążyliśmy ją obluzować. Prąd dokończył dzieła, natychmiast ją porywając. Pomimo huku wody, do naszych uszu doleciały przekleństwa.

Posłałem królewskiego doradcę przez drugi most. Posłuchał mnie bez protestów. Następnie sam ruszyłem na drugą stronę. Wiele mniejszych gałęzi, utrzymujących zapórę w miejscu, załamało się pod ciężarem maga i kładka zawisała niebezpiecznie blisko wody. Gdyby opadła jeszcze niżej,

porwałby ją prąd, ale na szczęście płatanina, która utrzymała królewskiego doradcę, nie miała problemów także i ze mną. Będąc w połowie drogi, zauważyłem zaklinowany między gałęziami kawałek liny. Pokonałem ostatni odcinek i wdrapałem się na skały obok maga dokładnie w tej samej chwili, gdy mężczyźni po drugiej stronie zaczęli strzelać z broni palnej. Nie przejąłem się tym zbytnio. Ten nowy rodzaj broni był wprawdzie w stanie powstrzymać zmasowany atak piechoty, ale nie pozwalał strzelcowi na namierzenie wybranego celu. Kusze okazałyby się dużo bardziej niebezpieczne, ale królowa Attolii wolała, żeby jej osobista gwardia nosiła strzelby, bo te jej zdaniem robiły dużo większe wrażenie.

Pokazałem linę magowi i zapytałem go, czy dałby radę do niej dosięgnąć. Musiałem podnieść głos, by przekrzyczeć huk rzeki.

– Mogą znaleźć zwalone drzewo po swojej stronie. Będzie lepiej, jeśli zniszczymy i drugi most.

Królewski doradca kiwnął głową, po czym uchwycił się mocno skały i wychylił się ponad wodę. Złapał za postrzępiony kawałek liny i pociągnął. Sznur tylko się urwał. Mężczyźni na drugim brzegu oddali kolejne strzały. Poruszając się nieco wolniej, mag tym razem zamknął w dłoni trzy czy cztery końce powrozu i dopiero wtedy ponownie szarpnął. Most drgnął i wykrzywił się. Co bardziej kruche gałązki złamały się, kładka skróciła się o kilka cali i odległy koniec runął do wody. Nurt dokończył dzieła i wymył całą resztę.

Nagle kula odbiła się od skały blisko ręki królewskiego doradcy. Jego dłoń straciła oparcie i mężczyzna opadł w dół. Jego lewa ręka aż po ramię znalazła się w rzece. Udało mu się utrzymać głowę nad wodą, ale mimo to Seperchia niemalże wciągnęła go całego. Wraz z Sofosem chwyciliśmy go za pas, chłopiec obiema rękami, ja jedną. Zaczęliśmy ciągnąć ze wszystkich sił. Mag wierzgał nogami, starając się znaleźć dla nich oparcie i z naszą pomocą udało mu się wydostać z powrotem na brzeg. Strzelcy wypalili jeszcze raz,

ale my schowaliśmy się już za wysokimi skałami, niknąc im z oczu. Klucząc między głazami, wspinaliśmy się po stromej skarpie. Ta wznosiła się ostro do góry przez jakieś dziesięć stóp, po czym teren opadał nieco. Nie groziły nam już żadne zbłąkane kule, więc zatrzymaliśmy się, by odpocząć. Dopiero wtedy zauważyłem krew ściekającą po gorsie mej koszuli. Ostrożnie dotknąłem palcami policzka.

– Jeden z pocisków musiał odłupać kawałek skały – powiedział mag. – Obawiam się, że wyszarpał ci kawałek twarzy.

– No i po mojej urodzie – westchnąłem.

– Może nie będzie śladu. – Mężczyzna próbował dodać mi otuchy, choć widział, że żartowałem.

– Wątpię – odparłem, badając krawędzie rany palcem. Byłem niemal pewien, że zostanie mi po tym biała blizna w kształcie pióra. Wykonałem dobrą robotę, przedostając się przez prowizoryczny most, co przyznał sam bóg złodziei, choć nie każdy byłby w stanie rozpoznać znak jego aprobaty.

– Co jeśli wysłali pościg także i tym brzegiem rzeki? – zapytał Sofos.

Mag spojrzał na mnie, a ja wzruszyłem jednym ramieniem.

– Możemy się rozejrzeć – skwitowałem. Zostawiliśmy za sobą położoną na przeciwległym brzegu dystopię. Po tej stronie też były skały, jednak teren szybko stawał się bardziej płaski. Dalej rozciągały się pola, przecinane szpalerami krzewów i drzew. Między polami biegła prowadząca od rzeki droga. Nie dostrzegliśmy żadnych domów, a na drodze nie było śladu żywej duszy.

– Myślę, że możemy być dobrej myśli – powiedziałem. – Jednak tamci mogą zawrócić, przekroczyć most i znaleźć się po tej stronie. Musimy ruszać.

– Dokąd? – zapytał mag.

Raz jeszcze wzruszyłem ramieniem i machnąłem zdrową ręką w górę rzeki.

– Tam. – Z dała od ścigających nas ludzi.

Ześliznęliśmy się po skarpie ku drodze i pomaszerowaliśmy dalej. Był to pylasty szlak dla wozów. Moje stopy miały się dużo lepiej, podobnie jak wolne od szarpnięć ramię. Krzepiące uczucie sunięcia po drodze powróciło. Z czasem pola po naszej prawej stronie zniknęły, zastąpione wykarczowaną ziemią, nieobsiewaną jednak od dłuższego czasu. Rosły tam dzikie trawy oraz krzaki, jednak to my stanowiliśmy najwyższe punkty terenu. Miałem wrażenie, że jesteśmy straszliwie odsłonięci.

Poczułem się znacznie lepiej, kiedy słońce zniknęło za wzgórzami i zapadła noc, lecz wraz z nią zapanował chłód. Pół godziny później, lodowaty wiatr zaczął dmuchać mi w kark. Natomiast nie wyglądało na to, by w jakikolwiek sposób dokuczał magowi i Sofosowi. Przyspieszyłem kroku, by trochę się rozgrzać i postanowiłem oddychać z otwartymi ustami, by nie szczekać zębami. Nie potrafiłem jednak pozbyć się przyprawiającego o dreszcze odczucia pochodzącego gdzieś ze środkowej części moich pleców. Wciąż rozmyślałem o tym, że attolijskiej królowej bardzo zależy na pojmaniu przynajmniej jednego z jej więźniów.

Przed nami rozciągały się góry, w których stronę zmierzaliśmy w ciemności. Po tej stronie łańcucha wyrastały bardzo stromo, bezpośrednio z równiny attolijskiej, podobnie jak wcześniej z Morza Oliwnego. Trzymaliśmy się drogi na wyczucie. Kiedy moje bose stopy natrafiały na ściernisko, wiedziałem, że musiałem zboczyć ze szlaku. Mimo, że popychał mnie wiatr, szliśmy bardzo wolno. Byłem zmęczony. Wciąż słyszałem ryk rzeki dochodzący z wnętrza przepaści i marzyłem choćby o łyku czystej wody. Kiedy zacząłem się potykać, mag próbował mi pomagać, przerzucając sobie przez szyję moje zdrowe ramię, ale okazał się zbyt wysoki. Jego miejsce zajął więc Sofos. Myśl o jeźdźcach, mogących deptać nam po piętach nie pozwalała nam na choćby chwilę odpoczynku.

Po dłuższym czasie wzeszedł księżyc, a Seperchia, która w pewnej chwili oddaliła się od drogi, znów zakręciła w jej kierunku. Teren zaczął się wznosić, a rzeka toczyła swe wody tuż obok, na dnie głębokiej na jakieś trzydzieści czy czterdzieści stóp przepaści. Przeciwległy brzeg był w zasadzie ścianą urwiska, łączącego się bezpośrednio z boczną granią gór. Gdybyśmy nie przeszli na drugą stronę po prowizorycznej kładce, szlak, którym podążaliśmy, urwałby się gwałtownie na skraju rzeki.

Na końcu drogi znajdował się most. Weszliśmy na niego, nie wdając się w żadne dyskusje. Nim jednak dotarliśmy do szczytu kamiennego łuku, mag zatrzymał się i odwrócił. Gdyby miał końskie uszy, najpewniej by nimi zastrzygł.

– Co usłyszałeś? – zapytałem.

– Tętent kopyt.

Przeszliśmy na drugą stronę mostu, wpadając prosto w ramiona czekających tam żołnierzy.

## Rozdział dwunasty

Po drugiej stronie mostu znajdowała się półka skalna, na której przycupnęła przysadzista wieża, broniąca dostępu do bramy wieńczącej rozpadlinę w ścianie klifu. Brama stała przed nami otworem. Żołnierze skupiali się przy trzech płonących przed nią ogniskach, grając w kości, drzemiąc albo zajmując się rzeczami, które wojskowi robią po służbie. Przy moście rozmieszczono jedynie dwóch wartowników, którzy siedzieli na kamiennych filarach na odległym końcu. Nie widzieli nas, dopóki nie znaleźliśmy się niemal u ich stóp. Przez krótką chwilę jedynie gapili się na nas w zdumieniu. Potem na ich twarzach pojawiły się ironiczne uśmiešky. Wreszcie zeskoczyli na dół. Jeden z nich wbił włócznię w ziemię tuż obok nas, sprawiając nagle wrażenie rzeźkiego i gotowego do walki. Drugi zaś pobiegł po kapitana. Nikt nie odezwał się choćby słowem. Skupieni wokół ognisk żołnierze nawet nie podnieśli głów znad kości.

Po dotarciu na miejsce, dowódca nie miał do powiedzenia wiele więcej niż którykolwiek z wartowników. Kiedy nam się przyglądał, wsparłem się na Sofosie, a mag podtrzymał nas obu.

Kapitan pokręcił głową.

– Witamy w Eddis – powiedział do maga, po czym zwrócił się do porucznika, który pojawił się za jego plecami. – Sprowadź konie – rzucił zwięźle – i czterech albo pięciu gwardzistów do eskorty. To nie jest sprawa dla nas. Wracać na most, gdzie wasze miejsce – rozkazał dwóm wartownikom, którzy natychmiast wspieśli się na szczyt kamiennego łuku i zaczęli wpatrywać się w równinę skąpaną w świetle księżyca. – Wy trzej pójdziecie ze mną – powiedział do nas, kiwając przy tym palcem.

Kilku spośród żołnierzy zauważyło poruszenie przy moście i z wolna coraz więcej głów zaczęło się odwracać. Zniknęły gdzieś oznaki rozluźnienia



i nagle w obozowisku znajdowali się sami zawodowcy, gorliwi i podejrzliwi. Nim porucznik powrócił z pięcioma mężczyznami i sześcioma niewielkimi końmi, tętent kopyt, usłyszany wcześniej przez maga, dotarł także do uszu wartowników, którzy zameldowali o tym fakcie kapitanowi.

– To gwardia attolijska – powiedział królewski doradca. Bardzo możliwe, iż spodziewał się, że zostanie natychmiast oddany w jej ręce.

– Zajmę się tym – powiedział porucznikowi kapitan. – Ty zajmij się nimi.  
– Z niesmakiem machnął ręką w naszą stronę. Następnie odmaszerował, dając znak, by podążyło za nim kilku gwardzistów.

Dosiadaniu koni towarzyszyło ogólne pobrzękiwanie oraz łomoty. Muskularny żołnierz wyciągnął Sofosa spod mojego ramienia. Chwytając go za łokieć i spodnie na wysokości siedzenia, wrzucił go na grzbiet wierzchowca. Ktoś złapał podobnie i mnie, zamierzając zrobić to samo, ale gdy tylko poczułem pierwsze szarpnięcie, obróciłem się i opadłem na kolana.

– Stop! Nie róbcie tego! – krzyknął Sofos załamującym się głosem i próbował zejść z siodła. Muskularny żołnierz przytrzymał go, każąc mu się uspokoić.

Mężczyzna trzymający mnie za łokieć przyjrzał się dokładniej mojej twarzy i kazał przynieść koc. Pled, który mu podano, musiał leżeć przy ogniu, bo był przyjemnie ciepły. Otulono mnie nim i podniesiono delikatnie wprost w ramiona porucznika.

Przejeżdżając pod bramą, dostrzegłem nad głową rzeźbione gryfy. Potem musiałem chyba zapaść w sen. Śniłem o skalnych ścianach mijanych po obu stronach i słyszałem łoskot kopyt kuców, wspinających się po kamiennej drodze, biegnącej ponad rozpadliną w zboczu góry. W jednym miejscu przecinał ją Araktus, który dalej zmieniał swój bieg.

Gdy dotarliśmy do pałacu, główny dziedziniec oświetlały latarnie, jednak większość okien była ciemna. Dawno minęła północ. Wszyscy zsiadli z koni,

mi pomogło dwóch mężczyzn. Potem nastąpiła długa chwila niepewności. Nikt w zasadzie nie wiedział, co dalej robić. Sofos podszedł do mnie i wcisnął się pod moje zdrowie ramię. Mag zajął miejsce obok. Pozostali za to odsunęli się nieco, jakby obawiali się, że nasze problemy mogą okazać się zaraźliwe.

Wreszcie ktoś otworzył podwójne wrota prowadzące do hallu i gromadnie weszliśmy do środka. Łoskot butów na marmurowych posadzkach oznajmił nasze przybycie wszystkim, którzy nie słyszeli hałasu na dziedzińcu. Służba oraz gapie pojawili się u szczytów dwóch klatek schodowych. W mniejszej sali tronowej wciąż paliły się światła, dlatego też to tam skierowała się cała nasza grupa. Ludzie na schodach dołączali do nas, gdy ich mijaliśmy, tak więc gdy zostawiliśmy za sobą ciemny hall i znaleźliśmy się w rzęsiście oświetlonej sali tronowej, czułem się niczym główna atrakcja obwoźnego cyrku. Brakowało tylko tańczących niedźwiedzi.

Z początku byłem w stanie dostrzec jedynie ściany blisko sufitu, gdzie namalowano pikujące górskie jaskółki. Do komnaty prowadziło jednak kilka stopni, więc gdy ludzie, którzy szli przede mną zeszli po nich, moim oczom ukazała się niższa, ciemnoczerwona część ścian oraz dwa złote gryfy, leżące po obu stronach tronu. Ten jednak był pusty. Przy palenisku przed nim siedziało kilka kobiet pogrążonych w rozmowie, a dwie inne grały w szachy. Zdecydowanie najmniej atrakcyjna z nich wstała.

Miała czarne włosy, jak Attolia, i jej szatę również wykonano z czerwonego aksamitu, ale na tym kończyły się wszelkie podobieństwa. Królowa Eddis stała wyprostowana niczym żołnierz. Marszczenia na ramionach sprawiały, że jej ręce wydawały się wystarczająco długie, by mogła sięgnąć kolan. Jej nos został kiedyś złamany i zrósł się krzywo. Włosy, obcięte na krótko jak u mężczyzny, kręciły się na tyle mocno, że niemal zupełnie przesłaniały prostą, srebrną koronę, którą nosiła na głowie.

Odszukała wzrokiem porucznika, który nas tu przyprowadził i zażądała wyjaśnień. Wojskowy nie usłyszał jednak, pośród gwaru tylu głosów, czego sobie życzyła i jedynie przeprasząc wzruszył ramionami.

Kobieta uniosła dłoń i zmarszczyła brew, spoglądając na zgromadzony tłum. W pomieszczeniu zapadła cisza. Otaczający nas żołnierze rozstąpili się pospiesznie. Ujrzawszy nas, królowa opuściła dłoń.

– Ach – odezwała się z pobrzmiewającym w głosie poirytowaniem, ale i zrozumieniem. – To ty, Eugenidesie.

Spojrzałem na swoje zakurzone stopy. Byłem zmęczony i wydawałem się sobie lekki jak chmura, którą wiatr lada chwila może zdmuchnąć z nieba. Nie miałem nawet siły czuć rozgoryczenia, że oto znów przyniosłem wstyd mojej królowej i najwierniejszej obrończyni, robiąc z siebie widowisko przed całym dworem Eddis. Nigdy jeszcze nie byłem tak szczęśliwy, słysząc swoje imię.

Jak zauważyłem, maga ani trochę nie zaskoczyło takie powitanie. Trochę mnie to rozdrażniło, bo spodziewałem się, że opadnie mu szczęka. Musiałem zadowolić się zdumieniem Sofosa – ten gapił się z ustami rozdziawionymi aż miło – i mieć nadzieję, że królewski doradca nie rozgryzł wszystkich moich tajemnic.

– W dół, po schodach – szepnąłem chłopcu do ucha, szturchając go lekko. Pomógł mi zejść, a ludzie po obu stronach rozsuwali się na boki, obawiając się, że poirytowanie królowej może odbić się także i na nich. Nie musieli się tym martwić. Zniknąłem kilka miesięcy temu bez jej zgody, ale zarówno ona, jak i kilku ministrów musiało odgadnąć dlaczego, więc choć złościła się na mnie, to tylko dlatego, że się o mnie martwiła.

Zdrową ręką sięgnąłem pod warkocz na wysokości karku i zacząłem rozwiązywać sznurek. Był to krótszy z dwóch kawałków, które otrzymałem od Pola na brzegu Araktusa. Przy użyciu jednej dłoni rozwiązanie go nie było wcale takie łatwe, więc gdy wreszcie udało mi się rozsypać węzeł, poza

sznurkiem wyciągnąłem też kilka włosów.

Przelotnie spojrzełem na maga i z przyjemnością zauważyłem, że tym razem otworzył usta ze zdziwienia.

– Gen – szepnął. – Ty źmijo.

Ponad wyciągniętą ręką królowej trzymałem Dar Hamiatesa. Wisiał ukryty pomiędzy moimi włosami, bo sam go tam wplotłem po pierwszym starciu w Morzu Oliwnym. Widząc atakujących jeźdźców, podjechałem jeszcze bliżej maga i scyzorykiem, skradzionym pierwszego czy drugiego dnia na wolności, przeciąłem rzemyk na jego szyi. Nawet tego nie zauważył, a później, dokładnie tak, jak przypuszczałem, założył, że sznurek przeciął któryś z atakujących, zaś Dar wpadł do strumienia.

Artefakt kołysał się przez chwilę na kawałku skórzanego sznurka – ot, mały, zwyczajny otoczek z dna rzeki, ale nikt ze zgromadzonych nie wątpił w jego autentyczność. Precyzyjnie wyryte runy znaku Hefestii zwróciły się najpierw w moją stronę, a potem w przeciwną. Ukryty we wnętrzu kamienia szafir zamigotał w świetle i wydawało się, jakby jasnoblękitne litery zawisły w powietrzu.

Zamierzałem wygłosić przemowę. Układałem ją schodząc z góry i kierując się w stronę Sounis, a potem ćwiczyłem, raz za razem, w królewskim więzieniu. Teraz jednak nie potrafiłem przypomnieć sobie ani słowa, poza tym byłem zbyt zmęczony. Jedynie świadomość, że niosłem Dar Hamiatesa mojej królowej pozwolił mi pokonać drogę z attolijskiej twierdzy aż na sam szczyt góry. W chwili, gdy wypuściłem go z dłoni, pochłonęła mnie ciemność i osunąłem się na podłogę bez słowa.

Spałem przez długi czas, nienękany żadnymi wizjami bogów, a gdy się wreszcie obudziłem, znajdowałem się we własnym łóżku. Przesunąłem dłonią w tę i z powrotem po miękkiej pościeli. Była równie wytworna co te sprzedawane w Sounis, bo najlepsze tkaniny dostępne w Sounis zostały

utkane właśnie w Eddis. Na wezgielciu mojego łóżka wyrzeźbiono jodły na tle świętych gór. Odwróciwszy głowę, mogłem zobaczyć je za oknem. Wznosiły się ze wszystkich stron, tworząc wokół mnie bezpieczne sanktuarium.

Przypomniała mi się opowieść, według której Hefestia stworzyła górskie doliny dla swego wybranego ludu i zastanawiałem się, czy mogła to być prawda. Choć ujrzałem bogów na własne oczy, nie przestałem wątpić w mity, które o nich słyszałem. Nie potrafiłem określić, czy rzeczywiście stanowili wcielenia gór i rzek, i czy to z nich czerpali swą potęgę. Dysponowali mocą większą niż którykolwiek ze śmiertelników, a jeśli wystarczyłaby ona do zmiany oblicza ziemi, to wcale nie chciałem się o tym przekonać. Miałem jedynie nadzieję, że wysłuchają moich modlitw, przyjmą ofiarowane przeze mnie dary i nie będą więcej nawiedzać mnie w snach. Dar Hamiatesa był dla mnie ciężarem bardziej niż błogosławieństwem, cieszyło mnie więc, że się go pozbyłem.

Leżałem, podziwiając widok, lecz po chwili zorientowałem się, że kilka osób rozmawia ściszymi głosami w bibliotece, którą od pomieszczenia, będącego jednocześnie moją sypialnią i gabinetem, dzieliło jedynie otwarte przejście. Odwróciłem głowę, by lepiej słyszeć. Rozpoznałem maga i królową. Królewski doradca zwracał się też do kogoś per „ministrze”, założyłem więc, że najprawdopodobniej chodzi o ministra wojny.

– Celowo dopilnowaliśmy, by wiadomość od króla brzmiała jak najbardziej niejasno, aby Gen mógł ludzić się, że kamień jest w naszym posiadaniu. Myślę, że nie mogąc go znaleźć, nie natrafiwszy też na żadną wzmiankę o nim w moich dokumentach, postanowił stworzyć sobie reputację jako złodziej, i to sounijski. W sfałszowanych dokumentach sądowych wspomniał o pochodzącej z Eddis matce, by wyjaśnić w ten sposób ciemny kolor swojej skóry i wszelkie ślady akcentu, których nie potrafiłby ukryć, a

potem zaczął przechwalać się zdolnością dokonania jakiegoś niezwykłego wyczynu, który zwróciłby moją uwagę. Mógł jedynie łądzić się, że przyjdzie mi do głowy, iż przyda mi się wprawny, acz anonimowy złodziej, którego zniknięcia z miasta nikt nie zauważy. Nie mógł natomiast wiedzieć, że mężczyzna, przed którym przechwalał się w winiarni naprawdę był moim szpiegiem.

Nie wiedziałem tego i niemalże wybuchnąłem śmiechem, gdy mag wspomniał o tym przed wejściem do świątyni. To istne zrządzenie losu.

– Nie mam pojęcia, jak samodzielnie wydostałby się z więzienia – stwierdził królewski doradca. – To dość ryzykowne posunięcie, by liczyć na moją interwencję.

Jestem mistrzem ryzykownych posunięć, pomyślałem. Mam w tym taką wprawę, że uważam je za ryzyko zawodowe. Prędzej czy później potrzebowałiby celi i łańcuchów dla kogoś ważniejszego, na przykład ministra czy kanclerza skarbu, a mnie przeniesiono by gdzie indziej. Prędzej czy później nadarzyłaby się okazja do ucieczki, o ile oczywiście nie umarłbym od chorób.

– Nie mógł poznać miejsca ukrycia kamienia z dokumentów w moim gabinecie – ciągnął mag. – Starannie zniszczyłem wszelkie zapisy. Mógł jednak śledzić nas i ukraść Dar, kiedy już udałoby się nam go odnaleźć.

Minister wojny prychnął lekceważąco.

– Nie jeśli musiałyby podążać za wami konno.

Królowa wybuchnęła śmiechem, a ja oblałem się rumieńcem w zaciszu swej sypialni. Nienawidzę koni, to fakt. To był pierwszy znak, że jednak nie zostanę żołnierzem, jak życzyłby sobie mój ojciec.

– Posiada za to inne umiejętności, z których można być dumnym – powiedział mag, jakby słysząc moje myśli. Na przykład, przyszło mi do głowy, kradzież Daru Hamiatesa nie raz, a dwukrotnie. Kto jeszcze dokonał

czegoś takiego? Jednak królewskiemu doradcy chodziło o walkę z Gwardią Królowej, którą stoczyłem u podnóża góry. Nie był to talent, który zbyt sobie ceniłem. Gdybym z mieczem radził sobie równie marnie jak z końmi, być może mojemu ojcu nie zależałoby tak strasznie na tym, bym został żołnierzem i nie pozwoliłby, żeby tytuł Złodzieja Króla przepadł na zawsze. Od wielu wieków była to już tylko pusta nazwa, więc ojciec żywił silne przekonanie, że najlepiej, gdyby zupełnie przestał istnieć.

Tymczasem mag opowiedział ze szczegółami o mojej walce z gwardią i naprawdę przedstawił mnie w dobrym świetle.

Minister wojny znów prychnął. Zdaniem królewskiego doradcy nie była to dostateczna pochwała.

– Jak słyszałem, jego ojciec chciał, żeby został żołnierzem. Z przyjemnością przekażę mu, iż może być dumny z syna – skwitował chłodno.

W ciszy, jaka nastąpiła po tej wypowiedzi, tym razem to ja parsknąłem. Mag musiał być jeszcze bardzo zmęczony. Musiał wiedzieć, a w tym momencie po prostu zapomnieć, że minister wojny poślubił córkę poprzedniego Złodzieja Króla. Rozmawiał z moim ojcem. Mógłby to sobie przypomnieć, mógłby nawet rozpoznać mnie podczas naszego pierwszego spotkania w Sounis, ale nigdy nas sobie nie przedstawiono. Kiedy przybył tu z propozycją małżeństwa od Sounisa, snułem się nadąsany po swoich komnatach.

Kiedy, zrozumiawszy swój błąd, próbował znaleźć słowa przeprosin, zajrzał do mnie ojciec.

– Wydawało mi się, że słyszałem, jak śmiejesz się w rękaw – powiedział.

Jedna z moich rąk została tak ciasno owinięta bandażami, że nie mogłem nią poruszać, ale uniosłem drugą, by pokazać mu, że poza łokciem w rękawie koszuli nocnej nie mam niczego innego.

– Przyjdę później. – Nim zniknął w przejściu, skinął mi głową.

Wiedziałem, że to jedyna oznaka aprobaty za całą moją ciężką pracę, jaką od niego dostanę. Nie lubił strzepić języka.

Po wielu latach spędzonych na próbach odwiedzenia mnie od marnowania czasu na zdobywanie bezużytecznych umiejętności, przyszedł pewnej nocy do mojego gabinetu, by powiedzieć mi, dlaczego królowa Eddis poważnie rozważy propozycję małżeństwa z Sounisem oraz dlaczego rada, z nim włącznie, będzie nakłaniać ją do zgody. Zostawił mi na stole stos ciężkich monet i wyszedł.

Chwilę później w przejściu pojawił się mag z Sofosem depczącym mu po piętach.

– Cieszę się, że wyglądasz dużo lepiej – powiedział.

Spojrzałem na niego kątem oka.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Postanowiłem, że nie dam ci tej satysfakcji i nie zobaczysz, jak zgrzytam zębami. – Roześmiałem się, a on rozejrzał się po pokoju, szukając krzesła, na którym mógłby spocząć.

– To jest najwygodniejsze. – Wyjąłem rękę spod kołdry i pokazałem mu palcem.

Królewski doradca usiadł i oparł nogi na stosie książek. Obaj pamiętaliśmy nasze pierwsze spotkanie.

– Chyba będę musiał je spalić – mruknąłem.

– Co to, to nie – zaprotestował mag. – Miałem kilka dni na porządne umycie się.

– Dni? – zapytałem. Sofos wciąż kręcił się po pomieszczeniu. – Zepchnij książki z parapetu i usiądź sobie – zwróciłem się do niego. – Naprawdę minęło kilka dni?

– Owszem.

– Co mnie ominęło?



– Niewiele – odpowiedział mag. – Wizyta wysłannika królowej Attolii, a także kilku z Sounis. Cóż, czterech z Sounis.

– Czterech?

Królewski doradca wzruszył jednym ramieniem w wytwornym geście znudzenia.

– Mów albo wstanę i uduszę cię jedną ręką – zagroziłem. – Jakie wieści przynieśli?

– Och, wydaje mi się, że Attolia dała wyraz swej trosce o stan zdrowia Złodzieja Królowej oraz dodała, że ma nadzieję, iż w przyszłości dane jej będzie nieco dłużej gościć go u siebie.

Skrzywiłem się na samą myśl.

– Wiedziała, kim jesteś?

– Musiała podejrzewać. Spotkaliśmy się dość przelotnie, ale zna moją reputację lepiej, niż ty.

– Z pewnością snuje już misterne plany zemsty.

– A ty?

– Czy snuję plany zemsty? Nie, jakoś nie przyszło mi do głowy nic odpowiedniego.

Znów się roześmiałem.

– Nie, chodziło mi o to, czy coś podejrzewałeś.

Mag westchnął.

– Nie, absolutnie nic. A przynajmniej do momentu, kiedy niespodziewanie natrafiliśmy na kładkę nad Seperchią. Zacząłem wtedy przypuszczać, iż może wcale nie był to przypadek, że zabłądziłem w mieście po ciemku. Zastanawiałem się też, czy czasem nie rozpoznali cię wartownicy przy kamiennym moście. Odniosłem wrażenie, że przyjęli twoje pojawienie się bez większego zaskoczenia. Nie byłem jednak pewien, dopóki kapitan nie powitał mnie w Addis w taki sposób, jakbyś stąd pochodził, a mnie oraz

Sofosa sprowadził w charakterze gości. Ta kładka, wiedziałeś, że tam będzie?

– Co roku schodzę tam, gdy już ustąpią wody i układam kłodę. Zwykłem robić to wraz z dziadkiem, gdy jeszcze żył. Lubił mieć taki dostęp do Attolii, żeby nikt nie widział, jak nadchodzi.

– Pol wiedział – odezwał się Sofos od strony okna.

– To prawda – zgodził się mag. – Kiedy przyglądaliśmy się jak walczysz mieczem Sofosa, szepnął mi, że musiałeś przejść eddijskie szkolenie. Dopiero później zrozumiałem, co chciał mi przez to powiedzieć.

Pol wiedział już wcześniej, byłem tego pewien. Wiedział od chwili, kiedy nierozważnie podziękowałem mu za osile w swojej mowie. Gdyby nie musiał martwić się o ścigających nas Attolijczyków i gdyby nie był przekonany, że Dar wpadł do strumienia, nie pozwoliłby mi odejść, uprzednio mnie nie przeszukawszy.

Jednak to, że swą wiedzą nie podzielił się z magiem, dało mi do zrozumienia, iż spodziewał się, że umknę, kiedy tylko znajdziemy się w górach i wcale nie zamierzał mnie zatrzymywać. Miał rozkaz zapewnić bezpieczeństwo Sofosowi i sprowadzić Dar z powrotem. Nie wspomniano natomiast, jak sądzę, o sprowadzeniu Złodzieja Królowej z Eddis, tak więc Pol nie miał powodu do nadgorliwości. Wydaje mi się, że lubił mnie, tak jak i ja lubiłem jego.

– Ambiades mógł się domyślić – powiedziałem. Niechcący wymieniliśmy kilka informacji na swój temat nieopodal dystopii. Ja zdałem sobie sprawę, że pracował dla kogoś jeszcze poza magiem, on natomiast zrozumiał, że tylko oszust rozpozna drugiego oszusta.

Królewski doradca pokręcił głową.

– Ambiades był bystry. Szkoda, że przy tym okazał się głupcem, który pragnął większych bogactw, większej władzy... i większego szacunku. Mógłby zostać świetnym magiem, gdyby tylko przestał być wnukiem księcia.

Przez chwilę wszyscy siedzieliśmy w milczeniu, snując własne rozważania na temat ambicji. Wspomniałem Pola, który wydawał się być jej pozbawiony. Miałem nadzieję, że zepchnięcie Ambiadesa z klifu dało mu satysfakcję. W sumie sam chciałem to zrobić.

– I pomyśleć, że wysmagałem Złodzieja Królowej batem jeździeckim – odezwał się wreszcie mag.

Uśmiechnąłem się i zdradziłem, że tylko nieliczni dostępują tego zaszczytu.

– Ach tak? A więc tu w górach wszyscy posługują się mieczem tak wprawnie jak ty?

– Ale ja wcale nie używam miecza. – Wyjaśniłem, że nie miałem tej broni w dłoniach od dwóch lat, a konkretnie od momentu, kiedy to podarłem dokumenty zaciągu do Gwardii Eddijskiej. W czasie kłótni z ojcem, przysiągłem przed kłopotliwą wręcz ilością ludzi, że nigdy nie wezmę miecza do ręki, chyba że moje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie.

– Ach tak – mruknął mag, jakby wiele rzeczy nagle się wyjaśniło. Ciekawiło mnie, do kogo właściwie się zwracał.

– Jesteś zmęczony – powiedział po chwili i miał rację. – Pójdziemy już.

– Poczekaj – zatrzymałem go. – Nie powiedziałaś mi, co było w wiadomościach od Sounisa.

Mag pokręcił głową.

– O to będziesz musiał zapytać królową. – Podążyłem za jego spojrzeniem i zobaczyłem władczynię. Nie miałem pojęcia, jak długo już tam stała.

Miała na sobie zieloną suknię z mieniącego się jedwabiu, obciskającą ją pod pachami, przez co wyglądała jak pawica ubrana w strój mniejszego od siebie męża. Mój brat Temenus złamał jej nos mieczem treningowym, gdy oboje mieli po jedenaście lat. Garb, który jej po tym pozostał, nadawał jej

pewnej prostoty, która była o wiele atrakcyjniejsza niż całe piękno Attolii, ona jednak nie miała o tym pojęcia i często wydawało jej się, że przynosi wstyd swojemu ludowi tym, że brakuje jej urody. W ciągu pięciu lat swych rządów udało jej się zaskarbić sobie lojalność oraz miłość poddanych. Dla nich była piękna, tak jej powtarzałem, byliby więc równie szczęśliwi widząc ją w zwykłym worku, co w wymyślnych strojach, w które wbijały ją garderobiane.

Skrzywiła wargi, by przypomnieć mi, że jej zdaniem powinna chociaż wyglądać strojnie, jeśli nie może pięknie. Zmarszczyłem brwi widząc, że ewidentnie zapomniała o moich dobrych radach, kiedy mnie nie było.

Mag przeprosił ją za to, że uciął naszą rozmowę w połowie, ale królowa jedynie machnęła ręką, usiadła na łóżku obok mnie i ścisnęła mnie za rękę.

– Myślę, że przyda ci się więcej odpoczynku – powiedziała.

– Ale najpierw muszę wiedzieć, co mieli do przekazania wysłannicy Sounisa.

– Eugenidesie, jesteś zmęczony.

– Bo wstanę i poszukam kogoś, kto mi powie – zagroziłem.

Ustąpiła. Wiedziałem, że tak będzie. W przeciwnym razie nie przyszłaby tutaj i nie usiadła na skraju łóżka.

– Za pierwszym razem była to jedynie zwięzła informacja, że Sounis usunął swoich ludzi z lasu na południowym zboczu góry Irkes.

– Próbował ukradkiem przerzucić armię przez las?

– Tak.

– Phi. – Odrzuciłem głowę do tyłu w geście pogardy. – Idiota. Widzisz, co wyprawia, kiedy nie ma przy sobie swojego maga, który mógłby go powstrzymać? Podpaliliście drzewa?

Królowa potrząsnęła głową.

– Nie, nie było takiej potrzeby. Przekazałam mu wiadomość za

pośrednictwem twojego kuzyna Crodesa. Kazałam mu wycofać wojska przed zachodem słońca, bo w przeciwnym razie spalimy las do gołej ziemi.

Królewski doradca zbladł na samą myśl o tym, że cała armia jego kraju miałyby obrócić się w popiół.

– Drugi wysłannik był już grzeczniejszy – ciągnęła królowa, opierając się wygodnie o moje poduszki. – Władca Sounis dopytywał, czy wiemy coś o miejscu pobytu i stanie zdrowia jego maga oraz jego następcy.

– Następcy maga? – zapytałem.

– Następcy tronu.

Spojrzałem na Sofosa.

– Twój ojciec, książę, jest bratem króla?

– Nie wiedziałeś? – zdziwił się chłopiec.

– Nie.

Królowa roześmiała się.

– Za jednym zamachem zabezpieczyłeś moje rządy *oraz* sprowadziłeś mi następcę tronu mojego wroga. Dwór jest pod wrażeniem. – Większość z nich po raz pierwszy w życiu, pomyślałem. – Chyba wyciągnę od Sounisa kilka umów handlowych, zanim odeślę jego bratanka z powrotem.

Uśmiechnęła się do Sofosa, który zarumienił się, po czym odpowiedział jej tym samym. Działała tak na większość ludzi, nie tylko na niego. Jej uśmiech sprawiał, że każdemu krew szybciej krążyła w żyłach. Nic dziwnego, że mag chciał, aby została królową i jego kraju.

– Teraz jednak pora odejść – powiedziała, wstając. Pochyliła się i pocałowała mnie w czoło, uwalniając dłoń z mojej. Zauważyłem, że na złotym torques na jej szyi kołysał się Dar Hamiatesa. Gdy wstała, artefakt spoczął znów na jej ciele, tuż poniżej obojczyków.

Dwa dni później, zanim jeszcze byłem w pełni gotowy w niej uczestniczyć, odbyła się oficjalna ceremonia, w czasie której moja kuzynka

została królową poprzez Posiadanie Daru Hamiatesa. Najwyraźniej samo wręczenie jej artefaktu nie wystarczyło do spełnienia wymagań sztywnej etykiety. Garderobiany mojego ojca pomógł mi wcisnąć się w wymyślny strój. Kręciłem się otumaniony w czasie całej ceremonii i tylko przelotnie pojawiłem się na późniejszym przyjęciu. Moi kuzyni jak zwykle czynili mi zawołowane przytyki. Ciotki spoglądały na mnie z góry, a wujowie mimochodem obrażali mnie mówiąc, jak to *zaskakująco* zaczynam przypominać swojego ojca, w przeciwieństwie do bezużytecznej rodziny od strony mojej matki.

Nie potrafiłem zdobyć się na żadną z moich zwyczajowych ciętych ripost. Jak sądzę, stała za tym roztropność. W rzeczywistości, kompletnie mnie to nie obchodziło i rozumiałem, że wychodzi to w zasadzie na jedno i to samo. Wróciłem do łóżka.

W nocy podniosła mi się gorączka, a przez kolejny tydzień moimi nieodłącznymi towarzyszami stali się medyk oraz jego asystenci.

Pamiętam, że pewnej nocy odwiedziła mnie królowa, chcąc ofiarować mi Dar Hamiatesa, ale odpowiedziałem, że wolałbym umrzeć. Miałem już dość tego kamienia oraz jego domniemanej mocy zapewniającej nieśmiertelność. Jak odkryłem, jest coś straszliwego, przerażającego i bardzo, ale to bardzo bolesnego w byciu więźniem życia, kiedy przychodzi czas, by pójść dalej. Królowa bez słowa kiwnęła potakująco głową, jakby już to rozumiała. Mógł to być tylko sen.

Kiedy ostatecznie poczułem się lepiej, zostałem niemal przykuty do łóżka przez królewskiego lekarza. Wziąłem udział w ceremonii mimo jego zdecydowanego sprzeciwu, więc gdy okazało się, że miał rację, zaczął zachowywać się dość despotycznie. Ostrzegł mnie, że jeśli postawię stopę na ziemi, osobiście mi ją utnie. Wytknąłem mu, że wyznawcy Asklepiosa składali przysięgę, że nie będą działać na niczyją szkodę. Medyk stwierdził,

że zrobi dla mnie wyjątek.

Negocjacje między Sounis a Addis wreszcie dobiegły końca. Podpisano nowy traktat pokojowy, do skarbcza Eddis wpłynęły odszkodowania, a mag wraz z następcą tronu zaczęli przygotowania do podróży do domu. Udało im się przekonać medyka, że przybyli mnie jedynie pożegnać.

Gdy weszli do środka, usiadłem na łóżku.

– Magu – powitałem go skinieniem głowy. – Wasza Wysokość. – Wykonałem ten sam gest w stronę Sofosa. Chłopiec oblał się rumieńcem.

– Czy to z tego powodu, że twoja matka była Złodziejem Królowej, dano ci na imię Eugenides?

– Po części tak. Bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że Eugenides to imię rodowe i otrzymałem je po dziadku. Poza tym, wiesz, moja matka nigdy nie była Złodziejem Królowej. Umarła wcześniej niż mój dziadek i to ja odziedziczyłem po nim tytuł.

– Ale ludzie nazywają twoją matkę Złodziejem Królowej. – Sofos sprawiał wrażenie zdezorientowanego. – A przynajmniej tak słyszałem.

Uśmiechnąłem się.

– Była ulubienicą całego dworu. Nazywano ją Królową Złodziei, a nie Złodziejem Królowej. Mawiano, że potrafiła kraść ludziom serca. Na pewno kradła im biżuterię i albo nosiła ją sama, albo składała w ofierze. Lubiła przywłaszczać sobie te rzeczy, z których inni byli najbardziej dumni. Tak więc, jeśli ktoś obnosił się z nowymi szmaragdami, wkrótce mógł zobaczyć je na ołtarzu Eugenidesa, a przedmiotów złożonych jako dary nie dało się już odzyskać. Wszyscy bardzo uważali, aby jej czymś nie urazić. – Nauczyli się też, by nie obrażać i mnie.

– Czy ona... – zaczął Sofos, ale urwał, gdy zdał sobie sprawę z tego, o co zamierzał zapytać.

– Czy wypadła z okna, gdy miałem dziesięć lat? Tak, ale nie stało się to

w willi barona Eruktesa. Tańczyła na dachu i spadła, wchodząc z powrotem do środka.

Chłopiec milczał przez chwilę, poszukując jakiegoś bezpieczniejszego tematu do rozmowy.

– Jak myślisz, kiedy się ożenisz? – wypalił wreszcie.

– Myślę, że wtedy, kiedy znajdę kogoś z kim mógłbym – odparłem zaskoczony.

– Ale, no wiesz... – znów się zająknął.

Spojrzałem na niego kompletnie osłupiały. Sofos oblał się rumieńcem. Popatrzyłem na maga, by zorientować się, czy on wie, co chłopiec miał na myśli, ale wyglądało na to, że i on nie miał pojęcia. Wreszcie musiałem zapytać wprost:

– Sofosie, o co ci chodzi?

– Nie ożenisz się z królową? Nie jesteś jej ulubieńcem? A ona, czyż nie została królową dzięki tobie?

– Lubi mnie, ale tylko dlatego, że reszta jej kuzynów to idioci. Sam lubię ją z tego samego powodu, ale nie wydaje mi się, bym mógł uczynić ją królową, a potem domagać się, by w zamian zgodziła się wyjść za mnie. Władczyni *nie może* poślubić złodzieja. W ogóle nieczęsto zdarza się taka sposobność, a poza tym... – zawahałem się, spojrzawszy na maga – trzeba jeszcze wziąć pod uwagę korzyści polityczne. – Może jeszcze uda się zawrzeć sojusz między Eddis a Sounis, choć gdyby nasza królowa miała poślubić ich króla, to tylko po moim trupie.

– Genie... – Sofos chciał zadać kolejne pytanie, ale mu przerwałem.

– Nie, nie Genie. Od tej pory tylko Eugenides. Nie chcę słyszeć o Genie już nigdy więcej.

Mag roześmiał się, a ja pokręciłem głową.

– Nie spędziłeś ani chwili w królewskim więzieniu – powiedziałem. –



Nie musiałeś też chlać w każdej nędznej winiarni w Sounis. Nie potrafię wyrazić, jak strasznie miałem dość taniego wina i wiecznego brudu. Mówienia z na wpół zamkniętymi ustami i jedzenia z otwartymi. Wszy we włosach i towarzystwa ludzi, którzy uważają, że Archimedes to artysta cyrkowy, który potrafi utrzymać cztery oliwki na nosie.

Mag rozejrzył się po moim gabinecie, obrzucając wzrokiem stosy książek.

– Pamiętam tego Archimedes. Wydaje mi się, że to było pięć oliwek – sprostował z powagą.

– Mogło ich być nawet dwanaście, nic mnie to nie obchodzi.

Królewski doradca przesunął dłonią po starannie oprawionej kopii drugiego tomu Archimedes. Spoczywała na samym szczycie stosu obok.

– Przydałoby ci się kilku współczesniejszych pisarzy – powiedział. – Eddis zbyt długo pozostawało odizolowane. Przyślę kilka książek wraz z kolejnym poselstwem.

Podziękowałem mu, ale wiem, że obaj myśleliśmy o zagrożeniu ze strony Medejczyków.

– Kogo teraz poślubi Sounis? – zapytałem.

– Nie wiem.

– Zawsze możecie złożyć propozycję Attolii – podsunąłem.

Mag przewrócił oczami i wyszedł, zabierając ze sobą Sofosa.

Zostałem sam, mogąc rozkoszować się bawełnianą pościelą i nabierać sił. Poprosiłem niechętnego medyka, by przyniósł mi książki z biblioteki. Chciałem sprawdzić daty na filarach przed wejściem do labiryntu. Nie przypominały niczego, co udało mi się znaleźć w zapisach, więc w końcu doszedłem do wniosku, że nim nasze wybrzeża zaatakowali najeźdźcy, Dar Hamiatesa przez setki lat ukrywany był co pokolenie w świątyni pod wodami Araktusa i również co pokolenie stamtąd wydobywany, acz jedynie za

przyzwoleniem bogów.

Jeśli chcesz uchronić coś przed złodziejami, ukryj to dokładnie i strzeż czujnie.

Ojciec zaglądał do mnie często, acz na krótko. W czasie jednej z wizyt wspomniał, że czas spędzony w pałacu upłynął Sofosowi na opowiadaniu wszystkim moim kuzynom po kolei, że przysięga, którą złożyłem, dotycząca używania miecza, została honorowo anulowana. Pojawiło się u mnie też kilka innych osób, a wszystkie czuły się w obowiązku nadmienić, jak bardzo zacząłem przypominać mojego ojca. Nie wszystkie komentarze wydawały się nieszczerze. Może w przyszłości moje ciotki i wujowie zechcą przymknąć oko na fakt, że czytam zbyt wiele książek, nie umiem jeździć konno, śpiewać czysto czy prowadzić uprzejmej rozmowy – wszystkie osiągnięcia, które powinny być cenione wyżej niż szermierka, a nie są.

Kiedy odwiedziła mnie królowa, powiedziała mi, że podobieństwo do ojca objawia się w sposobie, w jaki obaj kulimy się, zaprzeczając jednocześnie, że cokolwiek nas boli. Próbowałem utrzymać, że ręka naprawdę mi nie dokucza i mogę już wstać. Ona tylko roześmiała się i odeszła.

Tydzień później, gdy wreszcie opuściłem łóżko i siedziałem na krześle, została dłużej niż kilka minut. Wieczne słońce prześlizgiwało się po stokach góry Hefestii, wypełniając pokój pomarańczowym blaskiem.

– Sofos odwiedził kapliczkę wzniesioną przez twoją rodzinę ku czci Eugenidesa – powiedziała. – Podziwiał wszystkie kolczyki złożone przez ciebie w ofierze. Szczególnie spodobały mu się kaboszonowe szmaragdy księżnej Alenii. – Ktoś musiał powiedzieć mu, jak strasznie rozzłościła się ich wcześniejsza właścicielka, gdy ukradłem je w zasadzie tuż sprzed jej nosa. Podejrzewam, że tym kimś była królowa.

Musiałem przyznać, że było to dla mnie nieco krępujące, iż podziwiał

dary złożone w ofierze bogu, w którego wówczas nie wierzyłem.

– Wiem – zgodziła się ze mną władczyni. Oboje spojrzeliśmy na Dar, obracający się powoli w jej dłoniach.

– Będziesz go nosić? – zapytałem.

– Myślę, że nie dałabym rady – odparła.

– W takim razie gdzie go ukryjesz? – Świątynia legła w gruzach, nie można było więc go tam zwrócić.

Przez dłuższą chwilę królowa milczała.

– Zniosę go na szczyt świętej góry i wrzucę w ogień Hefestii.

– Zamierzasz go zniszczyć? – Byłem kompletnie zszokowany.

– Tak. Wezmę ze sobą świadków z naszego królestwa, a także z Sounis i Attolii. Kiedy kamień przestanie istnieć, rządy w Eddis będą przekazywane w taki sam sposób, jak w innych krajach. – Spojrzała na mnie. – Moira mi tak powiedziała.

Kiwnąłem głową, przypomniawszy sobie wysłanniczkę bogów w jej długim, białym peplosie.

– Nie miał istnieć wiecznie – powiedziała cicho królowa. – Nie przynależy do tego świata.

– Za sto lat nikt nie uwierzy, że był prawdziwy – dodałem.

– Ale ty wciąż będziesz sławny.

– No nie wiem. – Ostatnimi czasy, sława stała się dla mnie dużo mniej istotna.

– Owszem. Ponieważ spiszesz to i dołożysz w ten sposób kolejną książkę do swojej biblioteki. Ale najpierw o wszystkim mi opowiesz. O rzeczach, o których nie wiedział mag.

Poczułem wielką ulgę, mogąc jej wszystko wyjaśnić: opowiedzieć o więzieniu, świątyni i o tym, co myślałem o królewskim doradcy na samym początku, a co pod koniec. Jak to było, stać się obiektem zainteresowania

bogów i ich narzędziem, użytym do zmiany oblicza świata. Miło było też trochę się poprzehwalać.

Zajęło mi to wiele dni, bo mieliśmy do dyspozycji jedynie krótkie chwile, które udawało jej się wygospodarować między królewskimi obowiązkami a spotkaniami z ministrami, ale chciała wiedzieć wszystko, więc wszystko jej opowiedziałem. W ciągu kilku kolejnych miesięcy, spisałem to, co mnie spotkało. Wkrótce jej to pokażę, by poznać jej opinię. Może wyślę też kopię magowi.

– A więc Sofos myśli, że mnie poślubisz.

– Ja zaś myślę, że ty poślubisz Sofosa.

– Możliwe. Zobaczymy, jaki będzie, gdy dorośnie.

– Myślałem, że rada chce, byś poślubiła kuzyna Attolii.

– Nie, to było dlatego, że on mógłby okazać się lepszy niż Sounis. Teraz jednak nie muszę wychodzić za żadnego z nich. Co jest szczęśliwym zrządzeniem dla nas wszystkich. Znienawidziliby Eddis, ale Sofos..... myślę, że Sofos byłby tu szczęśliwy.

– Każdy, kto miałby tyle szczęścia, by móc cię poślubić, dziękowałby bogom.

– Pochlebca.

– Skądże znowu.

– Eugenidesie.....

– Tak? Przestań przygryzać wargę i wykrztuś to z siebie.

– Dziękuję, złodzieju.

– Nie ma za co, moja pani.

# Od Autorki

Żadna z zawartych w tej książce rzeczy nie jest prawdą historyczną, choć kilka faktów zapożyczyłam z historii Grecji i powplatałam je w moją opowieść. Oglądane przez Gena krajobrazy mocno przypominają wygląd starożytnej Grecji, a miejscami także i tej współczesnej. Bogowie, z którymi miał okazję się spotkać nie przynależą do greckiego panteonu. Sama ich wymyśliłam.

W świecie rzeczywistym, przybyła znad wschodnich rejonów Morza Czarnego, epidemia dżumy rozprzestrzeniła się po całej Europie, zabijając wiele milionów ludzi. Prochu strzelniczego zaczęto używać w roku 1339. Jan Gutenberg zaczął drukować książki z wykorzystaniem ruchomej czcionki w 1445, zaś zegarek kieszonkowy wynaleziono dopiero w 1550 roku.

Tytuł oryginału:

The Thief

Copyright © 1996 by Megan Whalen Turner  
Published by arrangement with HarperCollins Children's  
Books, a division of HarperCollins Publishers.

Copyright for the Polish translation © 2012  
by Wydawnictwo Ars Machina

Tłumaczenie:

Dominika Rycerz-Jakubiec

Redakcja i korekta:

Jolanta Chabik, Andrzej Jakubiec

Ilustracja na okładce:

Vince Natale

Opracowanie graficzne okładki:

Łukasz Fedorowicz

Skład i łamanie:

Michał Piesto

Wydanie I

ISBN: 978-83-932319-8-0

Wydawnictwo:

Wydawnictwo „Ars Machina”  
ul. Hetmańska 6/5, 20-553 Lublin

[www.arsmachina.pl](http://www.arsmachina.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**  
[www.woblink.com](http://www.woblink.com)